TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Igrzyska: Lindsey Vonn, narciarka z tytanu i krwi

Jak pokonać Rosję: Sławomir Dębski w debacie „TP”

Psyche: po co nam empatia

Peter Thiel: portret mesjasza z Doliny Krzemowej

Kto pisze nasze piosenki

Czego historyk szuka w Karpatach

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 4 – 10 lutego 2026 | nr 06 (3996)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Czytam, więc jestem

RAPORT: KUPUJEMY CORAZ WIĘCEJ KSIĄŻEK – TO POTRZEBA I MODA
STRONY 12 – 16

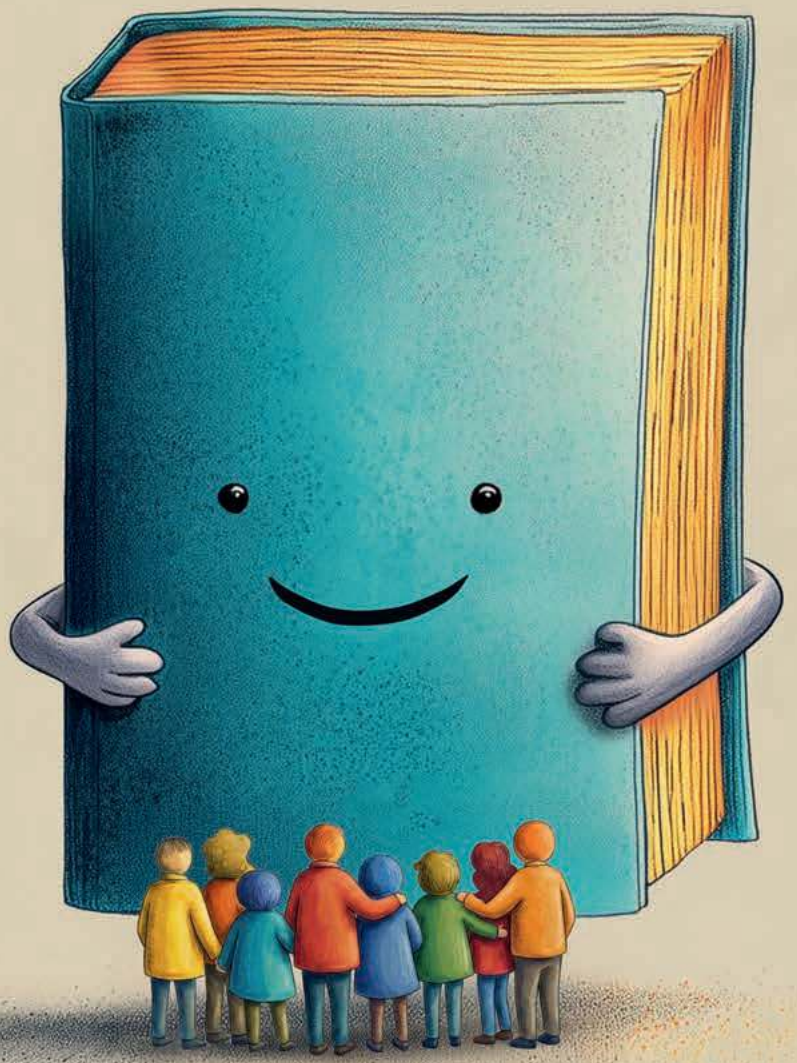

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

Tygodnik to doskonały partner dla Twojego wydarzenia!

Od lat towarzyszymy instytucjom kultury, samorządom, firmom oraz NGO w podejmowanych inicjatywach, oferując wsparcie redakcyjne i promocyjne. Wspólnie z naszymi Partnerami wydaliśmy dziesiątki publikacji, dodatków tematycznych i specjalnych serwisów internetowych, robiąc to z największym profesjonalizmem i z pełnym zaangażowaniem.

Odwiedź naszą stronę i poznaj dotychczasowe realizacje:
TygodnikPowszechny.pl/dodatki-tematyczne

Napisz na **promocja@tygodnikpowszechny.pl** lub zadzwoń do nas:

Anna Pietrzykowska	tel. 602 590 416
Mateusz Gawron	tel. 602 331 791
Michalina Kościelny	tel. 660 692 134

Poznajmy się, porozmawiajmy i zostańmy Partnerami!

KS. ADAM

Boniecki: *Jeszcze książka nie umarła*

Nie sprawdziła się przepowiednia, że ludzie nie będą czytać: czytają, i to całkiem sporo. Byłem niedawno na targach książki: widziałem tłumy odwiedzających, widziałem stare i nowe wydawnictwa, widziałem książki, które świetnie się sprzedają.

Ja sam pierwszą książkę samodzielnie przeczytałem... mniejsza z tym, ale wcześnie. Wcześnie też doświadczyłem tego momentu, w którym w trakcie zimowych wieczorów domownicy gromadzili się, a ktoś (albo moja mama, albo jej siostra, ciocia Litka) głośno im czytał. W ten sposób poznałem „Trylogię" i „Krzyżaków". Dzięki głośnej lekturze zapamiętałem je tak dobrze, że później już nigdy ich w całości nie przeczytałem. Po prostu je pamiętam.

Oczywiście dziś pisze się inaczej niż w czasach Sienkiewicza. Nie wiem, czy Jon Fosse, którego czytam teraz dużo, jest dobrym przykładem na ten inny sposób pisania – ale nie narzekam na tę zmianę. Tak samo jak nie narzekam na książki napisane bez talentu. To nie jest przecież żadną winą – nie mieć talentu, a pisać bez talentu czasem warto.

Dam przykład: przeczytałem ostatnio gruby tom, wspomnienia pewnej pani. Miała wspaniałego syna, sama też pewnie była wspaniała, lecz nie była wspaniałą pisarką. Opracowanie tomu wspomnień, chyba na podstawie jej zapisków, musiało kosztować sporo trudu, a i tak wyszła z tego książka słaba jako pamiętnik, za to bezcenna dzięki odnotowaniu bardzo wielu postaci. Wydarzenia są opisywane – co tu mówić – na ogół nieudolnie, z reguły dość powierzchownie, ale poznajemy z imienia i nazwiska osoby biorące w nich udział. W ten sposób informacja o nich została uwieczniona i może dotrzeć do ludzi, dla których byli bliscy – w tym do mnie. Książkę, dość sporą, pochłonąłem od deski do deski, nawet jeśli nie jest to wielka literatura.

GRAŻYNA MAKARA

Wróćmy więc do literatury. Hanna Krall jest tu szczególnie godna uwagi. Ona nie pisze niepotrzebnych słów. To bynajmniej nie jest proste ani łatwe, a Hanna Krall to potrafi. Czasem – przyznaję – też próbowałem tak pisać. Nic z tego nie wychodziło. Być może to mój własny defekt. Nie wiem: w myśli czy na papierze, Krall wyrzuca z tekstu wszystkie słowa, które nie są konieczne do wyrażenia tego, co chce wyrazić. To jest trudne. Czytasz i myślisz: „jacy to jesteśmy rozgadani" i „tyle tych zupełnie niepotrzebnie słów" – widzisz to, skreślasz, ale wtedy tekst robi się niezrozumiały albo koślawy. No to przywracasz. Trudno, nie każdy styl jest dla każdego. Jest styl epoki i własny styl, z którego się łatwo nie wyzwolisz.

Sądzę, że do końca świata ludzie będą pisali książki. Styl się będzie zmieniał, ale one będą powstawały: powieści, pamiętniki, książki o problemach, naukowe i popularne. I książki religijne.

Na przykładzie tych ostatnich właśnie widać, jak pisanie się zmienia. Bo zmienia się mówienie religijne, ba: zmienia się myślenie religijne. I, co może być dziwne dla tych, którzy na ogół książek religijnych nie czytają, zmienia się sposób ich lektury. Nie wiem, czy dawne książki religijne były blisko człowieka religijnego, ale jeśli tak, to znaczy, że także zmienił się człowiek religijny. Przykładem mogą być książki księdza (kardynała) Grzegorza Rysia. Czyta się je świetnie, bo są jak rozmowa, nie kazanie czy wykład.

Na koniec napiszę więc tylko, że książka nie umarła, nie odeszła do składu ze starociami. Czytajmy, choćby nie wiem co się zdarzyło. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

OLAF OSICA
Debata „TP": NATO znalazło się w kryzysie. Jakie sojusze powinna zawierać Polska w epoce Trumpa, na wypadek „szaleństwa hegemona"?

DOROTA MALINA
na Walentynki o mieście zakochanych, czyli gdzie w Paryżu spędzimy miło czas, unikając tłumów.

STEFAN SĘKOWSKI
Przez ponad 20 lat oswoiliśmy się z Unią tak bardzo, że w końcu przestaliśmy ją szanować. Jakie byłyby gospodarcze skutki polexitu?

W czasach, kiedy media społecznościowe nie były jeszcze tak antyspołecznościowe jak dziś, krążył po nich łańcuszek, którego uczestnicy wymieniali dziesięć ważnych dla siebie książek. Pamiętam dobrze, że wziąłem w tej zabawie udział, zaproszony przez Beatę Chomątowską. Gorzej pamiętam tytuły, które wymieniłem, choć jestem w zasadzie pewien, że były tam np. „Porwanie Baltazara Gąbki", „Winnetou", „Idiota", „Lalka", „Władca pierścieni", „Kwartet aleksandryjski" i „Odwrócona piramida". O tytuły zresztą mniejsza: ważne było uświadomienie sobie, że to, co w nich znalazłem, ukształtowało mnie równie mocno jak to, co przeżyłem. Że to, kim jestem, stanowi efekt tyleż ważnych spotkań, co właśnie lektur.

Oczywiście czasami bywa to kłopotliwe. We wstępie do „Widzeń nad Zatoką San Francisco" wyczytałem, że zapożyczony z lektur język wiele ułatwia, ale też prowadzi w labirynt: można się obudzić w obcym korytarzu, z którego żadne wyjście nie jest nasze. „Czytałem dużo książek, ale układając ich tomy jeden na drugim i stając na nich, nie dodam sobie ani centymetra wzrostu" – zauważa trzeźwo Czesław Miłosz.

Tylko czy troski pisarzy i erudytów nie są z dzisiejszej perspektywy przejawem pięknoduchostwa, by nie rzec: odklejenia? Czy wspomniane media społecznościowe i szerzej: cyfrowy świat nie oduczą nas czytania? Może lepiej postawić na słuchanie – np. „Streets of Minneapolis", o których pisze **JERZY JARNIEWICZ**?

Otóż nic na to nie wskazuje. Dawno w moje redaktorskie ręce nie wpadł tekst równie optymistyczny jak „Czytam, więc jestem" **MONIKI OCHĘDOWSKIEJ**, z którego wynika, że im więcej ważnych dla nas spraw rozgrywa się w przestrzeni wirtualnej, tym bardziej tęsknimy za czymś, co pomaga zakorzenić się w rzeczywistości. Książki, pisze cytowana przez Monikę Jessica Pressman, dają schronienie w obliczu kryzysu związanego z przeciążeniem informacyjnym. Czytamy dla pocieszenia i dla przyjemności; czytamy – jak głosił Harold Bloom – szykując się na zmiany.

Fraza „Czytam, więc jestem" nie musi dotyczyć tylko książek – także zajmujących się nimi pism, takich jak „Tygodnik". Przyjemnej lektury! ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

ROZMOWY TYGODNIKA

30 Wejdź w moje buty
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ GAMBIN:
Empatia jest wyrazem troski o relacje. Wymaga umiejętności wyobrażenia sobie, co i dlaczego może odczuwać druga osoba.

62 Weź, słuchaj
ROZMOWA Z JEFFEM JARVISEM:
Jeszcze nigdy w historii tak wiele osób nie miało możliwości wypowiadania się. Ale częścią doktryny wolności słowa jest też prawo wyboru, kogo słuchamy.

78 Gdy Wołosi zeszli z gór
ROZMOWA Z MACIEJEM JANOWSKIM:
Z dwóch obrazów – gór jako granicy oraz przełęczy, przez którą prowadzą drogi – bliższa mi jest ta druga, łącząca.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MATERIAŁY PRASOWE // ROD LAMKEY / CNP / MEDIAPUNCH / BE&W // SLAVICA STAJIC / ADOBE STOCK

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wymiar niematerialny
WOJCIECH PIĘCIAK

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Gorączka czarnego złota
MAREK RABIJ: *Polska to ostatni kraj UE, w którym wydobywa się jeszcze węgiel kamienny. Co gorsza: nie wiadomo, po co*

22 Drzwi w drzwi
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Z sąsiadami rzadko zawieramy bliższą znajomość. Dlaczego separujemy się od ludzi, którzy są najbliżej?*

25 Jak uciec z ruchomych piasków
SŁAWOMIR DĘBSKI: *Rosję odstraszy nie Tarcza Wschód czy 5 proc. PKB na obronność, tylko gotowość do użycia przeciw niej takich sił, jakie mamy*

■ ■ PSYCHE

30 Wejdź w moje buty
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ GAMBIN

■ ■ ŚWIAT

34 Narciarki z krwi i tytanu
BARTEK DOBROCH: *To nie Polacy zawojują igrzyska olimpijskie we Włoszech*

38 Upadek Rożawy
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Dwa tygodnie wystarczyły, by kurdyjskie parapaństwo w Syrii właściwie przestało istnieć*

40 Walka o milion
MARTA ZDZIEBORSKA: *Po śmierci demonstrantów w Minneapolis ICE złagodniała. Nic jednak nie wskazuje, by Trump miał zahamować politykę antyimigracyjną*

■ ■ WIARA

42 Mesjasz z Krzemowej Doliny
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Kim jest straszący Apokalipsą Peter Thiel – technomiliarder i guru amerykańskich elit*

46 Lekcja ducha
WOJCIECH BONOWICZ: *Jak radzić sobie z lękiem przed wojną i chaosem, gdy religia też staje się orężem?*

TEMAT TYGODNIKA

12
Czytam, więc jestem
MONIKA OCHĘDOWSKA

Wbrew ponurym przepowiedniom kupujemy coraz więcej książek. Czytanie przynosi ukojenie i jest modne. Sprawia przyjemność i oswaja ze zmianami.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 OLGA DRENDA
52 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS
& MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

49 Siła milczenia
TOMASZ MAĆKOWIAK: *W „Bílej Vodzie" – czeskim bestsellerze Kateřiny Tučkovej – religia jest przestrzenią, w której kształtuje się człowieczeństwo*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Okno na świat
JAN SZKUDLIŃSKI: *Sto lat temu Gdynia otrzymała prawa miejskie i zamieniła się w główny port odrodzonej Rzeczypospolitej*

■ ■ NAUKA

58 Jak duże mogą być kwanty
ŁUKASZ LAMŻA: *Eksperyment wiedeńskich fizyków dowodzi, że granica między światem kwantowym a klasycznym jest bardziej płynna, niż myśleliśmy*

■ ■ KULTURA

62 Weź, słuchaj
ROZMOWA Z JEFFEM JARVISEM

66 Papież w piżamie
MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Czego szukają w Kościele twórcy filmów i seriali?*

69 Kto będzie pisał nasze piosenki
JAN BŁASZCZAK: *Wytwórnie muzyczne podpisują umowy z firmami AI. Czy nie lepiej, by zwalczały muzykę tworzoną przez sztuczną inteligencję?*

72 Szkatułka z niespodzianką
ADAM WOŹNIAK: *Powieść Jennifer Croft opisuje świat, w którym nie ma już faktów, a słowo straciło moc*

74 Z gracją zejść ze świecznika
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „La Grazia" Paola Sorrentino*

75 Rumaki i ślimaki
LEKTOR *o książce „Józef Czapski, Wojciech Karpiński. Korespondencja"*

■ ■ PSYCHE

78 Gdy Wołosi zeszli z gór
ROZMOWA Z MACIEJEM JANOWSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WYMIAR NIEMATERIALNY

Całego świata nie można zmienić, ale można zmienić cały świat niektórym ludziom. Marcie i Denisowi z Buczy, których blok dostanie agregat. Olegowi w okopie pod Kupiańskiem, któremu włożona do buta „grzejka" uratuje palce u stóp.

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

POWYŻEJ:
Wolontariusze organizacji charytatywnej World Central Kitchen rozdają ciepłe posiłki mieszkańcom Kijowa, 22 stycznia 2026 r.

Minus siedem. Taką temperaturę odnotował rano w sali operacyjnej. Świtało. Ludwika, 49-letniego anestezjologa ze stabpunktu – punktu stabilizacyjnego na odcinku pokrowskim, 16 km od linii frontu – zbudził alert. Ewak, zespół ewakuacyjny, dawał znać, że wiozą rannego w hipotermii i będą za pół godziny. Moment, gdy noc przechodzi w dzień (i odwrotnie), to czas ewaków: jest szansa, że w szarówce drony będą na pół ślepe. Zwłaszcza gdy zalega mgła.

Pół godziny. Ludwik miał czas, by włączyć lampy-promienniki i ogrzać salkę, w której za chwilę mieli oceniać stan rannego, by potem owinąć go w „kołderkę", koc elektryczny podłączony do urządzenia ogrzewającego IOB. Ściślej: garaż we wsi na pograniczu obwodu dnipropietrowskiego i donieckiego. Na salę operacyjną zamienili go, wykładając ściany folią aluminiową, by choć przytrzymały ciepło.

Dwa aparaty IOB, zapas „kołderek", dwie lampy-promienniki, źródło prądu dla nich (agregat i stacja zasilania), ratunkowe koce samonagrzewające się (używa takich GOPR), a także starlink do zapewniania łączności z ewakami: wszystko to trafiło w styczniu do stabpunktu Ludwika. Z Polski, sfinansowane przez czytelników „Tygodnika" i zaprzyjaźnioną instytucję z Niemiec (chce być anonimowa).

Z POLSKI | Już wcześniej, w grudniu, do stabpunktu Ludwika trafił koagulator – elektrochirurgiczny aparat do zamykania ran prądem, podarowany przez czytelnika, producenta tego sprzętu. Za chwilę był w użyciu: ranny stracił przedramię, a Ludwik tamował krwawienie, by potem, po ustabilizowaniu rannego, odesłać go do szpitala w Dnieprze.

Tymczasem dalej na północ, w rejonie Kupiańska, Oleg odbierał z wysuniętej placówki Nowej Poczty przesyłkę: transport

tzw. grzejek, chemicznych ogrzewaczy do stóp, rąk i ciała. Łącznie kilkaset kilo, z Polski. Rozdzielone możliwie sprawiedliwie, w kolejnych dniach miały zapewnić trochę ciepła ludziom rzuconym w warunki ekstremalne. Od tego „trochę” mogło zależeć, czy zachowają palce. Zwłaszcza u stóp. Oleg powie, iż bywa, że dwóch ludzi dzieli jedną grzejkę – ponieważ trzyma ciepło 6-8 godzin, mogą się nią wymieniać.

Kilkaset kilometrów na zachód, w Buczy pod Kijowem, 34-letnia Marta i jej 13-letni syn Denis marzli w wieżowcu. I tak mogli mówić o szczęściu: ich mieszkanie jest w środku bloku, nie wyziębia się tak szybko jak narożne. Szczęście to jednak relatywne, bo ostatnio prąd bywał dwie godziny na dobę. Brak prądu to także brak ogrzewania, ryzyko rozsadzenia kaloryferów, brak bieżącej wody. Do tego można jednak przywyknąć. Ważne, że wraca stacjonarna szkoła. No i będzie prąd – z agregatu, który ma dostać ich blok, z Polski.

ZNÓW CZAS MROKU | Odcinana przez agresora od prądu i ciepła przez czwartą już wojenną zimę, tym razem skutecznie – Ukraina znów doświadcza mrocznej godziny. Będąc tam, można odnieść wrażenie *déjà vu*: przypomina się koniec lutego i początek marca 2022 r.: niepewność, mrok właśnie. Ale też determinacja. Choćby i taka, której nieobcy jest fatalizm.

Podobna do tamtej chwili sprzed czterech lat – ona przesądziła, że kraj się obronił – jest też mobilizacja poza Ukrainą. Dziś już nie tylko w Polsce i krajach bałtyckich, także w Niemczech, w Unii. Systemowa, a po części – jak wtedy – znów oddolna. Ktoś nazwał ją wówczas „burzą kropel w oceanie”: krople, skumulowane, mogą zmienić bieg wydarzeń.

Oczywiście, inny jest klimat. Wtedy, gdy polski rząd i miliony Polaków rzuciły się pomagać, było to oczywiste. Dziś pewien poseł pod nazwiskiem powiela kłamstwa (rodzime, suflowane?), że Ukraińcy sprzedają agregaty, które dopiero co otrzymali. Inni są „zmęczeni wojną” (zmęczeni współczuciem?). Jeszcze inni nie chcą przyjąć, że jest różnica między chwilą obecną, gdy rosyjski potencjał jest ścierany nadal pod Pokrowskiem (za cenę krwi), a sytuacją hipotetyczną, gdyby – po upadku Ukrainy – armia Putina, zaprawiona w mordowaniu i głodna łupów, koncentrowała się naprzeciw Zamościa.

WIĘZI | Całego świata nie zmienimy, ale możemy zmienić cały świat niektórym. Ludwikowi. Marcie i Denisowi. Olegowi i jego kolegom.

Apele biskupów z Krakowa, potem Łodzi i Gniezna (jeśli w międzyczasie dołączyli inni, niech wybaczą). Zbiórki na tacę w ich diecezjach. Zbiórki „Ciepło dla Kijowa”, Caritasu, Czerwonego Krzyża, PCPM, PMM, PAH-u. Wiele, znów bardzo wiele inicjatyw oddolnych i zdecentralizowanych. W tym nieustająca ofiarność czytelników „Tygodnika” – dzięki niej kolejny nasz transport, organizowany we współpracy z Inicjatywą Sąsiedzką, pojedzie na Ukrainę już za kilka dni – ze sprzętem dla służb medycznych w strefie frontowej. Wszystko to ma wymiar nie tylko materialny.

Ktoś mi powiedział – było to zimą 2022/23 r., gdy jechaliśmy do marznącego już wtedy Chersonia – że wraz z agregatami i grzejkami zawozimy tam również coś niematerialnego: nadzieję, przyjaźń, więzi. Braterstwo.

PROŚBA | Lekarzem frontowym Ludwik jest od 2017 r. Mówi, że gdy akurat nie ma zajęcia, lubi uciec w inny świat – i czytać, najchętniej fantastykę.

Gdy żegnaliśmy się, podczas rozmowy przez komunikator, chciałem powiedzieć mu coś, co by nie zabrzmiało banalnie. Życzyłem mu, aby w stabpunkcie miał jak najmniej pracy. Zafrasował się. Wyjaśnił, że gdy nie mają rannych, to nie znaczy, że ich nie ma. To znaczy, że ewaki nie mogą ich wywieźć. Czasem wiele godzin. Po takim czasie nawet lekko ranny trafia do nich w stanie ciężkiego wychłodzenia.

Poprosił, abyśmy przysłali mu polską flagę. Chce, powiedział, zawiesić ją w sali operacyjnej. ©℗

SERGEI GAPON / AFP / EAST NEWS

Terror w Iranie

MAREK KĘSKRAWIEC

Według irańskich władz podczas rozruchów 8 i 9 stycznia zginęło 3 tys. osób. Jednak dane zbierane m.in. przez lekarzy (wielu aresztowano za potajemne operowanie rannych) ukazują zupełnie inną skalę: od 23 do 36,5 tys. zabitych. Dla porównania, w Gazie przez ponad dwa lata zginęło prawdopodobnie 70 tys., w Srebrenicy 8 tys. osób.

Wszystkie większe irańskie miasta są dziś zmrożone skalą zbrodni, ciągłymi aresztowaniami, zmuszaniem ludzi do płacenia za wydanie zwłok lub do oświadczeń, że zabójcami byli terroryści uzbrojeni przez Mosad i CIA. Postępowanie władz budzi gniew także w konserwatywnych rodzinach wspierających system. Widzą one zrozpaczonych sąsiadów i zastanawiają się, dokąd zmierza islamska „republika”.

93-milionowym, wykształconym (na tle państw regionu) społeczeństwem, nie da się w ten sposób długo rządzić. Ten system musi upaść.

Ajatollahowie i broniący ich rzeźnicy z Korpusu Strażników Rewolucji stracili poparcie studentów, klasy średniej, dużej części robotników oraz wpływowych kupców z wielkich irańskich bazarów. To oni rozpoczęli protesty z powodu zapaści ekonomicznej, a dopiero potem przybrały one polityczny charakter.

Ludzie są tak wściekli, że niektórzy oczekują powrotu wspieranego przez Izrael syna ostatniego szacha. Tak naprawdę nie miałby on jednak szans w wyborach, tak samo jak dawni liderzy opozycji, Mousavi i Karroubi; obaj są już starzy. Większy autorytet ma laureatka pokojowego Nobla, więziona od 5 lat Narges Mohammadi.

Aktywność Rezy Pahlawiego przynosi Irańczykom szkodę. Daje pretekst lewicowym aktywistom na Zachodzie, by zapomnieć o łamaniu praw kobiet (wiele z nich zginęło podczas rozruchów), a irańską rewoltę opisywać jako spisek Mosadu. Na propalestyńskich demonstracjach dochodzi dziś do absurdalnych sytuacji, np. noszenia portretów ajatollaha Chameneiego, głównego sponsora Hamasu.

Donald Trump skierował w stronę Iranu armadę: z lotniskowcami USS Lincoln i USS Roosevelt oraz ogromnymi siłami lotniczymi. Grozi atakiem, jeśli Teheran nie zakończy programu atomowego i nie zaprzestanie mordów na cywilach. Ewentualne zbombardowanie siedzib władz i baz Strażników jest jednak ryzykowne; może pomóc obalić system – albo doprowadzić do chaosu i długotrwałej wojny: nie tylko domowej, ale w całym regionie. ©℗

Auschwitz bez skandalu

JACEK STAWISKI

Zasady są znane i były akceptowane przez najważniejsze polskie instytucje, w tym Kancelarię Prezydenta i Ministerstwo Kultury. Brzmią w skrócie tak: podczas obchodów rocznicy wyzwolenia Auschwitz głos oddać należy przede wszystkim byłym więźniom żydowskim, ocalałym z Zagłady, a także byłym więźniom polskim, romskim i innym. Została ich garstka. To jedna z nielicznych okazji, by móc ich usłyszeć i by choć przez chwilę pomyśleć o tym, co mają nam do powiedzenia. Ich przesłanie musi z nami pozostać – to ważniejsze niż polityka.

W rocznicy wyzwolenia Auschwitz uczestniczyłem kilkakrotnie – byłem także w tym roku. Słuchałem m.in. wystąpienia Bernarda Offena, urodzonego w 1929 r. Żyda z Krakowa, który przeszedł przez krakowskie getto oraz obozy KL Plaszow, KL Auschwitz, KL Mauthausen i KL Dachau. Po wojnie Offen wyjechał do USA, ale od kilku lat znów mieszka w Krakowie. Miałem okazję go poznać i wiem, jak ogromne znaczenie ma dla niego opowiadanie o swoim losie. To fragment jego wystąpienia: „Kiedy zapytałem, co stało się z moim ojcem, współwięźniowie odpowiedzieli, że zamienił się w dym. Zajęło mi trochę czasu, zanim zrozumiałem, co to znaczy. Widziałem, jak ludzie umierali z głodu i tortur. Słyszałem odgłosy cierpienia, strzałów, psów. Czułem smród palonych zwłok”.

Podczas tegorocznych uroczystości odczytano też zapiski Załmena Gradowskiego, który został skierowany przez Niemców do Sonderkommando i prawdopodobnie zginął w czasie buntu tej grupy więźniów w październiku 1944 r.

W jego odnalezionych po wojnie notatkach czytamy: „Mojemu pisaniu towarzyszy pragnienie, aby chociaż minimum informacji o tej rzeczywistości dotarło do świata, a wówczas Ty, świecie, pomścij wszystko”.

Takich głosów przez lata było więcej. W 2020 r. Marian Turski wzywał nas do tego, byśmy nie pozostawali obojętni, w przeciwnym razie „jakieś Auschwitz spadnie nagle z nieba”. Innym razem Władysław Bartoszewski przywoływał biblijny cytat: „Ziemio, nie kryj mojej krwi, iżby mój krzyk nie ustawał”. Pamiętam taki krzyk jednej z byłych więźniarek: „Stałam tu naga. Dlaczego spalono mój naród?”.

27 stycznia 2026 r. prezydent Karol Nawrocki wygłosił na terenie Muzeum szeroko relacjonowane przez media oświadczenie – odbyło się to jednak poza główną częścią obchodów. I dobrze. Bo czy naprawdę po takich słowach, jak powyższe, potrzebujemy polityków? ©℗

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ocalały Bernard Offen podczas głównych obchodów Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu na terenie byłego KL Auschwitz II-Birkenau w Brzezince. 27 stycznia 2026 r.

Dziwna krucjata

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Profanacja krzyża – taki nagłówek nadal widnieje przy depeszach dotyczących grudniowego aktu rzekomej „obrazy uczuć religijnych”, którego dokonała anglistka z Kielna. Miała ona wyrzucić do kosza religijny symbol. „Nie był to pierwszy raz, gdy wyrażała swój sprzeciw wobec krzyża” – takie zdanie, wypowiedziane przez przejętego reportera prawicowej telewizji stojącego przed szkołą, padło potem z ust wielu innych dziennikarzy. Podobnie jak z ust walczących „w obronie krzyża” polityków, a także punktujących „niedopuszczalne zachowanie” kościelnych hierarchów.

Tymczasem półtora miesiąca po incydencie, a trzy tygodnie po tym, jak dyrektorka zawiesiła swoją anglistkę, komisja dyscyplinarna przy wojewodzie pomorskim decyzję uchyliła, wskazując m.in. na ogólnikowe uzasadnienie zawieszenia, a także brak precyzyjnego wskazania, „na czym miało polegać znieważenie przedmiotu czci religijnej”.

Wedle anglistki nie zdjęła ona ze ściany krzyża, a usunęła powieszony przez uczniów nad klatką chomika plastikowy haloweenowy gadżet.

I choć nieprawomocna decyzja komisji nadal nie rozstrzyga, co się wydarzyło, powinna dać do myślenia srogim sędziom nauczycielki.

Sprawa powinna stać się także przyczynkiem do namysłu nad pozycją nauczyciela i dyrektora w polskim systemie edukacji. W kraju, w którym oświata jest tak mocno scentralizowana, a życie szkół regulują dekrety kolejnych ministrów, dyrektorzy nie są przyzwyczajeni do korzystania ze swojej autonomii – trudno się więc dziwić, że wielu z nich podejmuje decyzje dyktowane moralną paniką.

Ponadto, jak zauważa ekspertka edukacyjna Iga Kazimierczyk, polska szkoła nie daje niemal żadnego prawnego wsparcia dyrektorowi placówki: – W normalnych warunkach po kwadransie od wybuchu takiej afery miałby on przy sobie radcę prawnego, który poradzi, jak reagować – mówi Kazimierczyk. – W polskich realiach dyrektor zostaje sam. W efekcie niemal nigdy nie zwolni słabego nauczyciela, nie mając na jego miejsce nikogo innego, za to szybko zawiesi pracownika pod presją mediów.

Incydent z Kielna, który zamienił się nieledwie w krucjatę, powinien być lekcją. By nie spieszyć się z wyrokami i także wobec nauczycieli stosować zasadę domniemania niewinności. Zwłaszcza że w polskich warunkach nie bardzo ma ich kto chronić. ©℗

NA PUNKTY

KAPELUSZ
Jest szansa, że za tydzień nie napiszemy już o Polsce 2050: po wielotygodniowych dramach wokół wyborów nową przewodniczącą partii została Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, a Szymon Hołownia w mediach społecznościowych poinformował, że kupił pierwszy w życiu kapelusz.

MANDAT
Media i politycy to w ogóle śliski temat. W jednym z internetowych programów Waldemar Żurek udzielał wywiadu za kierownicą samochodu, a kamery sfilmowały, jak nie przepuszcza pieszej na przejściu. Policja poinformowała, że minister sprawiedliwości zrzekł się immunitetu i przyjął mandat.

RIPOSTA
Szef polskiej dyplomacji nie od dziś spiera się na portalu X z jego właścicielem, Elonem Muskiem, a po tym, jak tego ostatniego wsparł współpracownik prezydenta Rosji, w obronie ministra stanął jeden z polityków PiS. „Hej, kretynie, tylko my w Polsce mamy prawo krytykować Radosława Sikorskiego. Podnóżki Putina nie, więc wyp..." – napisał Janusz Cieszyński do Kiriłła Dmitrijewa. ©℗

W krainie oszczędności

MAREK RABIJ

Jest coś iście perwersyjnego w skłonności polskiego państwa do samookaleczeń. Od lat decyzje kolejnych gabinetów, bez względu na polityczną proweniencję, układają się podług tej samej myśli: jeśli w jakiejś sferze aktywności państwa chwilowo przestaje się palić, trzeba jak najszybciej wdrożyć tam oszczędności.

Spotkało to nawet armię, którą rozbroiliśmy wraz z wejściem do NATO. Teraz padło na powiatowe urzędy pracy, którym resort Agnieszki Dziemianowicz-Bąk (Nowa Lewica, na zdjęciu) wraz z ministrem finansów średnio o 40 proc. obciął pieniądze na aktywizację bezrobotnych. Funduszy na staże i szkolenia dla tych, którzy w swoim fachu nie mogą znaleźć zatrudnienia, będzie o 1,5 mld zł mniej niż w zeszłym roku. Niektóre placówki – jak PUP w Jarosławiu – sygnalizują, że nie dostały na ten cel złamanego grosza.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Ministerstwo widzi statystyki bezrobocia, które wciąż oscyluje blisko tzw. naturalnej stopy (tyle samo ofert pracy, ilu chętnych do jej podjęcia). Nie może jednak nie dostrzegać, że tendencja spadkowa wyhamowała i zaczyna się nawet lekkie odbicie. Rewolucja AI puka w okna wielu firm, już sponiewierała polski sektor usług wspólnych dla biznesu. W kasie Funduszu Pracy, na który zrzucają się wszyscy płatnicy ZUS, zebrało się rekordowe 28 mld zł. Państwo ma za co pomóc bezrobotnym w nabyciu nowych kwalifikacji, ale przecież na razie się nie pali. Do pośredniaków nie ustawiają się długie kolejki. To co? Tniemy? Tniemy! W polskiej polityce nie ciuła się punktów poparcia za profilaktykę i dalekowzroczność. Lepiej doprowadzić do kryzysu, by potem bohatersko zmagać się z jego skutkami.

Inny przykład: tylko w styczniu 2026 r. zlikwidowano 18 oddziałów położniczych. Od roku 2010 ich liczba zmalała z ponad 400 do ok. 266. Owszem, dzieci rodzi się w Polsce coraz mniej, ale rzeź porodówek może ten fatalny dla kraju trend jedynie pogłębić. ©℗

Leon XIV zamieszka na poddaszu

EDWARD AUGUSTYN

Długo oczekiwany powrót papieża do Pałacu Apostolskiego (po konklawe Leon XIV pozostał w swoim kardynalskim mieszkaniu w Palazzo del Sant'Uffizio) ma się wkrótce dokonać.

Nie będzie to jednak powrót do papieskich apartamentów na trzecim piętrze, ale – jak poinformował dziennik „La Repubblica", do dużo skromniejszych pomieszczeń ulokowanych ponad nim.

Kiedyś (do 2013 r.) mieszkali tam sekretarze osobiści papieży i zakonnice opiekujące się położonym niżej apartamentem. Na luksusy liczyć nie mogli, co więcej, już za czasów Benedykta problemem był przeciekający, nadmiernie obciążony strop (Paweł VI kazał zrobić na dachu taras z ogrodem, Jan Paweł II postawił w nim Grotę Matki Bożej i niewielki basen).

Franciszek, jak wiadomo, w Pałacu Apostolskim w ogóle nie zamieszkał, wybierając Dom św. Marty. Przez ostatnie dwanaście lat pomieszczenia na trzecim piętrze i poddaszu pałacu niszczały, stąd konieczny był wielomiesięczny, gruntowny remont.

Nowe „apartamenty" papieża będą mniejsze i wręcz ascetyczne. Leon XIV będzie miał do dyspozycji małą sypialnię bez łazienki (do której będzie musiał przejść przez niewielki korytarz). Do dyspozycji będzie mieć też kaplicę, mieszczącą raptem kilka osób, kuchnię i nieco większą siłownię.

W przeciwieństwie do „starego apartamentu", żadne okno z papieskich pokoi nie będzie wychodzić na Plac św. Piotra (wszystkie też będą niemal trzykrotnie mniejsze od tamtych, jak przystało na poddasze). Pozostałe pokoje, obok papieskiego, zajmą jego sekretarze oraz dwaj augustianie – w ten sposób Leon zrealizuje swój plan pozostania w niewielkiej wspólnocie klasztornej, która wspólnie się modli i jada posiłki.

Niewyszukane ma być także – jak donosi „La Repubblica" – wyposażenie i umeblowanie pomieszczeń, do których wprowadzi się papież: wszystkie meble zostały zakupione w jednym ze sklepów, żadne nie były robione na zamówienie.

Daty przeprowadzki papieża oficjalnie nie podano, choć zapewne nastąpi w najbliższych tygodniach. ©℗

Ameryka i Europa są sobie potrzebne

BEZPIECZEŃSTWO ▪ Ostatnie dni stycznia przyniosły ważne wypowiedzi kluczowych polityków zachodnich: amerykańskiego sekretarza stanu Marca Rubio, sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego i kanclerza Niemiec Friedricha Merza. Każdy z nich w trzech parlamentach – Senacie USA, Parlamencie Europejskim i niemieckim Bundestagu – referował stan stosunków w NATO i stan stosunków między Waszyngtonem a Europą.

Rubio wypowiadał się przed wpływową komisją senacką do spraw zagranicznych. Pytany, czy wierzy, że Ameryka korzysta z NATO, odpowiadał, że owszem, ale „NATO musi być wyobrażone na nowo". Jego zdaniem, Ameryka nie będzie w stanie zajmować się wyłącznie obroną Europy, ponieważ ma interesy na całej planecie i nie ma nieograniczonych środków. Europa będzie dla Ameryki ważna, Ameryka nie wyjdzie z Europy, ale ta będzie musiała przejąć dużą część odpowiedzialności za swoje bezpieczeństwo. Rubio podkreślał, że zakomunikowano to państwom europejskim i większość to przyjęła.

Z kolei kanclerz Merz, prezentując stanowisko wobec zmieniającego się świata stwierdził, że Europa może być mocarstwem, że już ma do tego atrybuty i nadal może kształtować politykę globalną. Europa wciąż jest atrakcyjna, choćby jako mocarstwo handlowe. Musi tylko unowocześnić i wzmocnić swoją gospodarkę, by nadgonić innych. Europa i Niemcy potrzebują Stanów Zjednoczonych, a NATO jest wartością samą w sobie, mówił Merz, i do tego potrzebne jest znaczące podniesienie wydatków zbrojeniowych.

Natomiast sekretarz generalny NATO Mark Rutte, „wielki spinacz" między Donaldem Trumpem a europejskimi sojusznikami, ostrzega Europę, aby budując europejski wymiar bezpieczeństwa, nie dublowała istniejących już struktur i zadań Sojuszu. Rutte wzywa Europę do współpracy z Waszyngtonem, który także potrzebuje Europy. Całkowita samodzielność Europy w kwestii obronności to jego zdaniem mrzonka. Bez Ameryki państwa europejskie musiałyby wydawać nawet 10 procent swoich budżetów na wojsko oraz przeznaczyć miliardy na budowę europejskiego potencjału atomowego. Koniec współpracy z Ameryką to koniec amerykańskiego parasola atomowego nad Europą, który, jak przypomina Rutte, zagwarantował Europie wolność.

Trzy ciekawe wystąpienia na początek burzliwego roku. I wniosek dla Polski. Zarówno zwolennicy zacieśniania związków z Europą, jak i zwolennicy sojuszu z Ameryką, mają w dyskusji o polityce zagranicznej swoje racje. Te racje nie są sprzeczne, po prostu się uzupełniają. Oby jak najdłużej. W spolaryzowanej polityce ten akurat spór trzeba zawiesić i dbać o silniejszą pozycję Polski w Europie i w NATO.

©℗ JACEK STAWISKI

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK, SINOLOG I DYPLOMATA:

W Chinach powiada się, że to partia trzyma lufę karabinu. Nie ma mowy, by wojskowi zerwali się ze smyczy.

MAREK RABIJ: Czy w Chinach doszło do próby przewrotu?
BOGDAN GÓRALCZYK: Doszło do czystki. Xi Jinping skupił w swoim ręku pełnię władzy nad armią, pozbywając się generała Zhanga Youxia, wiceprzewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej, najwyższego organu kontrolującego wojsko.

Wszystko odbyło się pod hasłem walki z korupcją. Przewodniczący Xi lubi posługiwać się tym zarzutem w personalnych rozgrywkach. W 2013 r. w ten sam sposób pozbył się Zhou Yongkanga, ministra bezpieczeństwa publicznego, którego skazano potem na dożywocie. Wcześniej nawet Mao Zedong nie odważył się tknąć szefa bezpieki, bo Chiny to *guanxi*, kultura oparta na relacjach osobistych i sieci koneksji.

Ale czy Xi Jinping, jako szef partii, nie miał i tak władzy nad armią?
Oczywiście, że miał. Usuwając Zhanga Youxia, stał się jednak *de facto* jedynowładcą.

Ten proces trwa od kilku lat. W 2023 r. pozbył się Li Shangfu, ministra obrony. Od tamtej pory kontrolę nad armią sprawowała Centralna Komisja, na czele której stoi Xi Jinping. 75-letni Zhang Youxia, jego pierwszy zastępca, cieszył się jednak dużym autorytetem w armii. To jeden z nielicznych generałów, którzy mieli doświadczenie na polu bitwy, gdyż brał udział w kampanii wietnamskiej w 1979 r. I dobry znajomy Xi Jinpinga, bo ich ojcowie znali się z wojska.

Zhang Youxia zniknął w listopadzie 2025 r. po wizycie w Moskwie i dopiero teraz, pod koniec stycznia, partia podała do publicznej wiadomości, że został usunięty ze stanowiska. Wcześniej z CKW odszedł He Wei Dong – jego miejsce zajął zaufany współpracownik Xi, gen. Zhang Shen Min, który służył dotychczas w jednostkach porządkowych. Z najwyższych stanowisk w wojsku w 2025 r. usunięto też dziewięciu generałów. Teraz zdymisjonowano dodatkowo Liu Zhenli, szefa sztabu.

Xi Jinping obawia się nadmiernej autonomii armii?
Myślę, że chodzi o coś poważniejszego. W Chinach powiada się, że to partia trzyma lufę karabinu. Nie ma mowy, żeby wojskowi zerwali się jej ze smyczy. W chińskiej kulturze militarnej konsolidacja władzy zwykle poprzedza jednak poważne ruchy. Jeśli nadchodzi czas walki, nie ma miejsca na kolegialne dowództwo.

1 sierpnia 2027 r. chińska armia będzie obchodzić 100-lecie istnienia. Chiny to znaki, symbole, odniesienia. Trudno nie łączyć tej daty z ostatnimi czystkami.

Armia jest gotowa na taką konfrontację?
Dobre pytanie. Nie wiadomo. Ostatni raz walczyła na poważnie w Wietnamie na przełomie lat 70. i 80. XX w. Wiemy, że Pekin intensywnie ją dozbraja, zwłaszcza lotnictwo, marynarkę i cyberwojsko, ale jej możliwości, szczególnie ofensywnych, nie są w tej chwili w stanie trafnie ocenić chyba nawet sami Chińczycy. ©℗

ALEX KORMANN / ZUMA PRESS / FORUM

Bruce Springsteen podczas koncertu zorganizowanego w proteście przeciwko działaniom agentów ICE w Minnesocie. Minneapolis, 30 stycznia 2026 r.

Minneapolis, Springsteen i pieśni protestu

AMERYKA ▪ Trzeciego dnia po drugim zabójstwie popełnionym przez agentów ICE w stolicy Minnesoty gwiazda rocka nagrywa utwór „Streets of Minneapolis" („Ulice Minneapolis"). Znów się okazuje, że kultura masowa, w tym rock, może, gdy rozgrywają się akty politycznej przemocy, odzywać się głosem sprzeciwu. I to bez taryfy ulgowej dla uprawianej sztuki.

W „Streets of Minneapolis" Bruce Springsteen jest bowiem kimś więcej niż uosobieniem społecznego gniewu – jest świadkiem, którego słowa dają odpór zakłamanej narracji władzy. Z nazwiska wymienia oprawców i manipulatorów, z nazwiska też wymienia ich ofiary, pamiętając słowa Yeatsa z elegii dla pomordowanych powstańców irlandzkich, że jedną z ról pieśniarza jest „za imieniem imię powtarzać szeptem", choć zamiast szeptu wybiera krzyk i nie żałobą śpiewa, lecz ogniem.

Jego pieśń to kolejna odsłona bogatej tradycji amerykańskich protest songów, której symbolicznym początkiem jest „Strange Fruit" („Dziwny owoc") Billie Holiday, wstrząsający utwór o rasistowskim linczu. Tradycja ta, mająca swój złoty wiek w latach 50. i 60., gdy towarzyszyła ruchowi praw obywatelskich, jest naturalnym kontekstem dla Springsteena. Są tu klasycy gatunku: Woody Guthrie, Pete Seeger, Nina Simone, Phil Ochs, Joan Baez. Są tu pieśni Boba Dylana, do którego Springsteen nawiązuje. Jest tu „Ohio" Neila Younga – utwór napisany po tym, gdy Gwardia Narodowa zastrzeliła czworo studentów Uniwersytetu w Kent, protestujących przeciw wojnie w Wietnamie. Jest tu song Johna Lennona, powstały w reakcji na krwawo stłumiony bunt więźniów w Attica. Są wcześniejsze protest songi samego „Bossa".

Choć aktów politycznego bezprawia współczesność nam nie oszczędza, reakcje artystów rockowych nie są oczywistością. Sam koncept protest songów mógłby wydawać się zwietrzały: w czasach, gdy rozdzieliły się role artysty i aktywisty, od tych pierwszych nie oczekuje się politycznych deklaracji, powszechna mądrość zaś każe wierzyć, że sztuka, zwłaszcza masowa, służyć winna przede wszystkim rozrywce (i pieniądzu). Z drugiej strony artyści, którzy mimo wszystko wykrzykują niezgodę na nadużycia władzy, zapewniają sobie i słuchaczom komfortowe, bo niewymagające innego działania poczucie, że spełnili obowiązek. Przykładem, który każe postawić pytanie o sens takich gestów, może być wpisująca się w mechanizmy przemysłu kulturalnego kariera Bono jako dyżurnego sumienia rockowego establishmentu.

Czym jest zasługujący na tę nazwę protest song? Na pewno nie jest nim każdy utwór z politycznym przesłaniem. Chodzi raczej o coś, co wykuwa się w działaniu: o pieśń, którą społeczność przyjmuje jako język sprzeciwu, jednocząc się wokół konkretnego wydarzenia i przeciw nazwanemu złu. „Streets of Minneapolis" taką funkcję już zaczęły pełnić. Choć informacja, że pieśń o popełnionych w imię prawa zabójstwach wspięła się na topkę list przebojów w 19 krajach, brzmi jak zgrzyt w szlachetnej melodii.

© JERZY JARNIEWICZ

BARTOSZ MINKIEWICZ

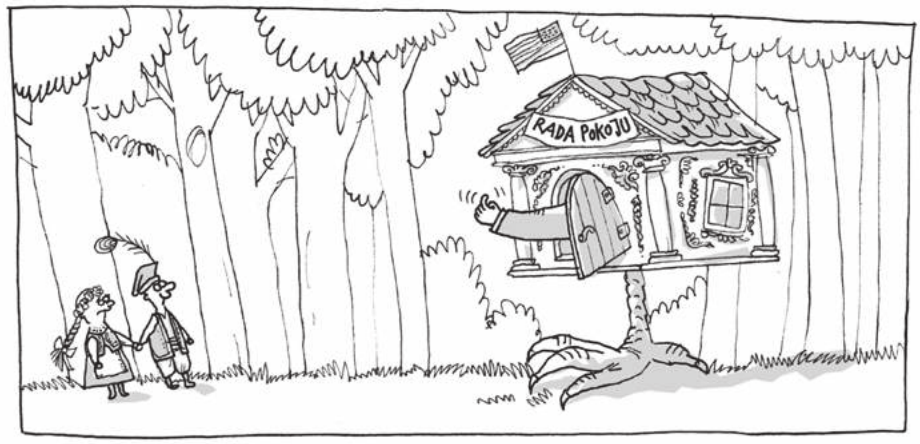

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

CZYTAM, WIĘC JESTEM

Wbrew ponurym przepowiedniom kupujemy coraz więcej książek. Czytanie przynosi ukojenie i jest modne. Sprawia przyjemność i oswaja ze zmianami.

MONIKA OCHĘDOWSKA

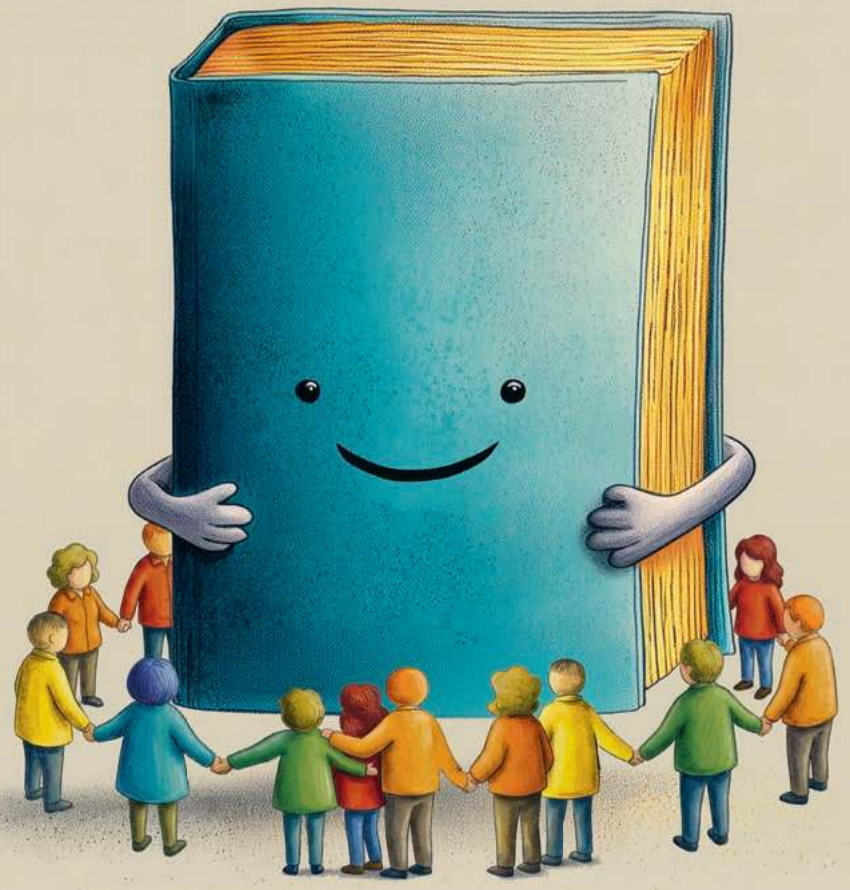

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Zacznijmy od tzw. efektu aureoli – znanego w psychologii mechanizmu, który chętnie wykorzystują twórcy reklam. W dużym uproszczeniu polega on na tym, że jeśli ktoś odnosi sukcesy jako sportowiec lub artysta, jesteśmy skłonni uznać go za autorytet także w innych dziedzinach. Nimb zwycięzcy rozświetla wszystkie sfery życia naszych idoli, pomagając im w ten sposób budować wizerunek osób nieomylnych. A nas skłania do naśladowania ich decyzji i wyborów. To m.in. dlatego tak chętnie sięgamy po przekąski polecane przez ulubionego piłkarza albo decydujemy się otworzyć konto w banku, którego twarzą jest nagradzany aktor.

Efekt aureoli całkiem nieźle działa też w funkcji promotora trendów. Przykład? Kiedy najpopularniejsza na świecie piosenkarka Taylor Swift nawiązała w jednym z teledysków do obrazu niemieckiego malarza Friedricha Heysera, natychmiast ustawiły się do niego kolejki zwiedzających.

Podobnie rzecz się ma z modą na czytanie. Nie będę tu przywoływać zasięgów popularnych bookstagramerek i booktokerek oraz opowiadać o ich wpływie na sprzedaż konkretnych tytułów (wiemy, że jest ogromna). Na tyle często mówimy jednak o wpływie mediów społecznościowych na to, co i dlaczego czytamy, że młodzi książkowi influencerzy są już regularnymi gośćmi wszystkich targów książki, nie tylko w Polsce. To oni wpływają na gust najmłodszych czytelniczek i czytelników.

Tym razem pozwolę sobie podać przykład z wyższej półki: oto dom mody Dior odświeżył kolekcję toreb inspirowanych klasyką literatury. Wśród wyhaftowanych precyzyjnie okładek klasycznych powieści znajdziemy m.in. „Drakulę" Brama Stokera, „Ulissesa" Jamesa Joyce'a, ale też niezwykle modną w latach 60. Sagankę (Françoise Sagan). Za niewiele ponad 13 tys. zł możemy codziennie witać świat, dźwigając na ramieniu jej młodzieńczy smutek.

Własną torbę na książki z metką Diora posiada m.in. prowadząca popularny klub książkowy aktorka i producentka filmowa Natalie Portman. W sesji dla francuskiego domu mody sfotografowała się w bibliotece. A wspominam o tym dlatego, że skoro *haute couture* promuje czytelnictwo, możemy być pewni, że trend zadomowi się również na ulicach. Tak działa efekt aureoli.

Zresztą moda na bycie „książkarą" i w ogóle „książkowość" (bookishness) kilka lat temu stała się na tyle powszechna, że literaturoznawczyni z Uniwersytetu Harvarda, Jessica Pressman, poświęciła im obszerną rozprawę krytyczną. Teza? Im głębiej zanurzamy się w internecie, tym chętniej wracamy do książek albo przedmiotów przypominających nam o czytaniu. Książka okazała się, na dobre i na złe, fetyszem ery cyfrowej – twierdzi Pressman.

No dobrze, ale właściwie dlaczego mając dostęp do setek tysięcy filmów, seriali i piosenek w streamingu, nadal trzymamy w domach staroświeckie egzemplarze powieści? Dlaczego Polki i Polacy kupują coraz więcej książek i coraz częściej zaglądają do osiedlowej biblioteki?

Schronienie

Jedna z odpowiedzi na to pytanie wyłania się z publikowanych raz na pięć lat badań Głównego Urzędu Statystycznego, w których podsumowywana jest nasza skłonność do i częstotliwość tzw. bywania. Ze świeżutkiego raportu, który dostaliśmy w grudniu 2025 r., wynika, co ciekawe, że cenimy sobie ludzi kulturalnych oraz aspirujemy do tego, by nas za takich uważano. Dla 85 proc. Polek i Polaków kultura jest istotną częścią codzienności – a przynajmniej życzymy sobie, by inni o nas sądzili, że tak jest.

A po czym poznajemy, że ktoś jest kulturalny? Otóż kulturalny człowiek potrafi zachować się w każdej sytuacji (w tym także schludnie i odpowiednio do okazji się ubrać) oraz dba o sposób wypowiadania się, czyli posługuje się ładną polszczyzną. Poza tym jest tolerancyjny wobec odmiennych przekonań i wyznawców różnych religii – słowem: akceptuje, że sąsiad ma inne zdanie. To jednak nie wszystko, bo w pierwszej piątce wskazań znalazło się – jako jedna z głównych cech człowieka obytego – czytanie i bywanie w bibliotece (takiej odpowiedzi udzieliło 23,5 proc. ankietowanych).

Badacze GUS-u zauważyli tu zresztą wzrost w porównaniu do badań z roku 2019. Co ciekawe, największa zmiana dotyczy osób, które nie skończyły 25. roku życia. O ile pięć lat temu 20 proc. młodych Polek i Polaków było zdania, że człowiek kulturalny czyta książki, pięć lat później tę cechę jako istotną wskazało już 27 proc. dwudziestolatków.

Popularność książek właśnie w tej, dorastającej pośród ekranów grupie potwierdzałaby tezę literaturoznawczyni z Harvardu: im więcej spraw ważnych dla naszego życia rozgrywa się w przestrzeni wirtualnej, tym bardziej tęsknimy za przedmiotami, które pomagają nam się zakorzenić w rzeczywistości. Książki, pisze Pressman, są naszym schronieniem w obliczu kryzysu związanego z przeciążeniem informacyjnym.

Jeśli Dior, dostrzegając ten trend, proponuje nam kolekcję toreb inspirowanych klasyką literatury, a nie np. grami komputerowymi czy portalami newsowymi, elitarne kalifornijskie szkoły dla dzieci pracownic i pracowników Doliny Krzemowej podążają podobnym szlakiem.

Pressman opowiada, powołując się zresztą na reportaże „Guardiana", że o ile uczniowie publicznych szkół w USA uczą się większości na tabletach, prywatne placówki przyjmują odmienny model przekazywania wiedzy, oparty na „niskim poziomie technologicznym". Oznacza to, że dzieci uprzywilejowanych, bogatych Amerykanów pracujących w Big Techach korzystają na lekcjach ze zwykłych podręczników.

Wróćmy jednak do Polski. Raport GUS-u pokazuje nam bowiem coś jeszcze: nawet mieszkańcy dużych miast, którzy mają łatwy dostęp do szerokiej oferty kulturalnej, są zdania, że czytanie w większym stopniu świadczy o kulturalnym obyciu niż chodzenie do teatru, kina czy galerii sztuki. Słowem: książka pośród wszystkich dostępnych sposobów uczestnictwa w kulturze jest nam najbliższa i to ją cenimy najwyżej.

Być może właśnie dlatego, że możemy ją – w odróżnieniu od wyświetlanego na ekranie filmu czy gry, którą tylko na chwilę ściągamy na konsolę – mieć na własność. Zmęczeni nieustannym patrzeniem w ekran, chętniej czytamy w papierze (57 proc. osób wobec 55 proc. w 2019 r.) niż na czytniku. Taka lektura sprawia nam po prostu przyjemność.

Przyjemność

No dobrze, wiemy już, że uważamy książki za ważne i potrzebne, ale czy rzeczywiście tak dużo czytamy? Otóż odpowiedź jest krzepiąca, bo prawie 60 proc. dorosłych Polek i Polaków miało ostatnio w rękach ↦

↦ jakiś tytuł – jest nas więcej niż pięć lat temu. Ogólny wynik zaniżają (na całym świecie zresztą) panowie. Dysproporcja czytających kobiet i mężczyzn jest wciąż spora: aż 71 proc. Polek to czytelniczki książek, jeśli zaś chodzi o Polaków – tylko 47,5 proc. z nich znajduje czas na lektury.

Interesujące są również powody naszych czytelniczych wyborów, bo większość osób, które przeczytały przynajmniej jedną książkę, deklaruje w ankietach GUS-u, że zrobiła to nie z obowiązku, a dla przyjemności. Podobny wynik zaprezentował w zeszłym roku popularny serwis LubimyCzytać.pl (w jego ankiecie wzięło wówczas udział aż 15 tys. Polek i Polaków).

Okazuje się zatem, że książki są dla nas w dużej mierze „odskocznią od codziennych problemów" (52 proc. ankietowanych) i „jedną z form spędzania czasu" (47,5 proc.). Generalnie codzienne lektury zaspokajają bardzo różne potrzeby, ale raczej oczekujemy od nich „przeżyć i wzruszeń" (33,5 proc.) niż konkretnej wiedzy czy „informacji o świecie" (13 proc. odpowiedzi). Może dzieje się tak po prostu dlatego, że czytanie dla przyjemności – co potwierdzają całkiem poważne badania naukowe – poprawia jakość naszego snu i obniża poziom lęku.

Z tym poszukiwaniem przyjemności w lekturze nie jesteśmy też wcale wyjątkowi. Liczba czytających dla przyjemności Hiszpanów przekroczyła niedawno, jak donosili tamtejsi wydawcy, 65 proc. populacji. Więcej książek czytają ostatnio Włosi i Szwajcarzy. Czytelnictwo na poziomie zbliżonym do 70 proc. notują kraje nadbałtyckie: Estonia, Norwegia, Finlandia i Szwecja. W Niemczech sprzedaż literatury pięknej wzrosła w porównaniu z rokiem 2022 o prawie 15 proc.

Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w całkiem sympatycznym gronie, a smutne wiadomości płyną jedynie ze Stanów Zjednoczonych.

Nierówności

We wrześniowym numerze renomowanego pisma „iScience" znajdziemy artykuł, którego autorzy przeanalizowali nawyki czytelnicze Amerykanów na przestrzeni ostatnich 20 lat. Zamieszczone tam słupki i wykresy wskazują, niestety, że odsetek osób czytających codziennie dla przyjemności zmalał z 28 do 16 proc., choć ci, którzy nie przestali czytać, poświęcają na tę czynność coraz więcej czasu.

Przyczyna? Pogłębiające się za oceanem nierówności społeczne. To jasne: przestajemy czytać, kiedy gwałtownie zmniejszają się nasze dochody. Nie mamy wtedy czasu na przyjemności, poszukujemy nowych źródeł utrzymania, a stres jest tak duży, że lektura na uspokojenie to za mało. Krzepiący jest natomiast fakt, że bez względu na status materialny i inne codzienne zmartwienia, Amerykanie nie rezygnują z czytania dzieciom, dostrzegając w tej czynności rodzaj stawianej ponad wszystko troski o najbliższych.

Rosnące niepokoje Amerykanów mają oczywiście odzwierciedlenie w tworzonej przez nich literaturze. Wspominana tu Jessica Pressman przeanalizowała wiele publikowanych w jej kraju powieści, które ukazywały się w czasie prowadzenia badania z „iScience", czyli przez pierwsze dwie dekady XXI w. Badaczka zauważyła, że niezależnie od tego, czy punktem odniesienia opowiadanych historii był traumatyczny 11 września, czy równie niepokojąca Amerykanów ekspansja Doliny Krzemowej, powieściowe narracje kreśliły obraz świata zmieniającego się w takim tempie, że bohaterowie – podobnie jak czytelnicy – nie byli w stanie za nim nadążyć.

Książki i związane z nimi przestrzenie (biblioteki, czytelnie, księgarnie) jawiły się jednak w tych opowieściach jako miejsca schronienia i regeneracji. Pressman zauważa paradoks: otóż im bardziej nierównomiernie rozłożone są materialne i kulturowe zasoby dostępne czytelnikom i czytelniczkom, tym bardziej wizje bezpieczeństwa, które narracje te wytwarzają i podtrzymują, są do siebie zbliżone.

Biblioteczka

A skoro mowa o schronieniu – wiadomo, że nie ma lepszego miejsca na kryjówkę niż przestrzeń z książkami. Zdawał sobie z tego sprawę bohater „Niekończącej się opowieści", gdy przed goniącymi go chuliganami skrył się w antykwariacie, co, jak wiadomo, odmieniło potem jego życie.

My także, aspirując do grona ludzi kulturalnych, coraz chętniej gromadzimy w domach biblioteczki. Aż 91 proc. Polek i Polaków może się pochwalić księgozbiorem zawierającym więcej pozycji niż

Po co do biblioteki

MINIONY ROK W SZCZECINIE należał do twórców kryminałów: Marka Stelara i Remigiusza Mroza, a Toruń do autora karkonoskiej serii kryminalnej, Sławka Gortycha. W kujawsko-pomorskim chętnie wypożyczano też „Chłopki" Joanny Kuciel-Frydryszak, fantastykę Lynette Noni i powieści obyczajowe Jakuba Bączykowskiego.

W GDAŃSKICH BIBLIOTEKACH najczęściej pytano o „Chłopki" oraz cykl „Kolory zła" Małgorzaty Oliwii Sobczak. Powodzeniem cieszyła się też ośmiotomowa kaszubska saga Darii Kaszubowskiej, romanse Barbary Wysoczańskiej oraz twórczość brytyjskiej powieściopisarki Lucindy Riley. Riley i Wysoczańską równie chętnie czytała w zeszłym roku Zielona Góra.

GORZÓW WIELKOPOLSKI poza Riley i Wysoczańską ciekaw był twórczości Gortycha i Freidy McFadden, autorki „Pomocy domowej". Młodzież z Lublina do biblioteki chodziła po mangi i komiksy, przede wszystkim te z Kaczorem Donaldem. Dorośli natomiast wypożyczali kryminały Chmielarza i Sobczak. Z biblioteki dla dzieci i młodzieży w Olsztynie brano mangi, a z wypożyczalni dla dorosłych: romanse Joanny Jax oraz „Chłopki" i „Króla Warmii i Saturna" Joanny Wielengowskiej.

W BIBLIOTECE ŚLĄSKIEJ w Katowicach najczęściej pytano o „Aglo. Banką po Śląsku" Zbigniewa Rokity, „Kaput: koniec niemieckiego cudu gospodarczego" Wolfganga Münchaua oraz nagrodzoną Nike książkę Elizy Kąckiej. Popularne były też poradniki dotyczące stylu życia, zdrowia i finansów (głównie Mela Robbinsa).

KRAKÓW zaczytywał się w Kąckiej i węgierskim nobliście, Laszlo Krasznahorkaim. Dzieciom wypożyczano książki Zofii Staneckiej. Rzeszów postawił na romanse, ale co trzy tygodnie ktoś zaglądał do biblioteki również po „Chłopki". ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Dane zebrała Sonia Brożek

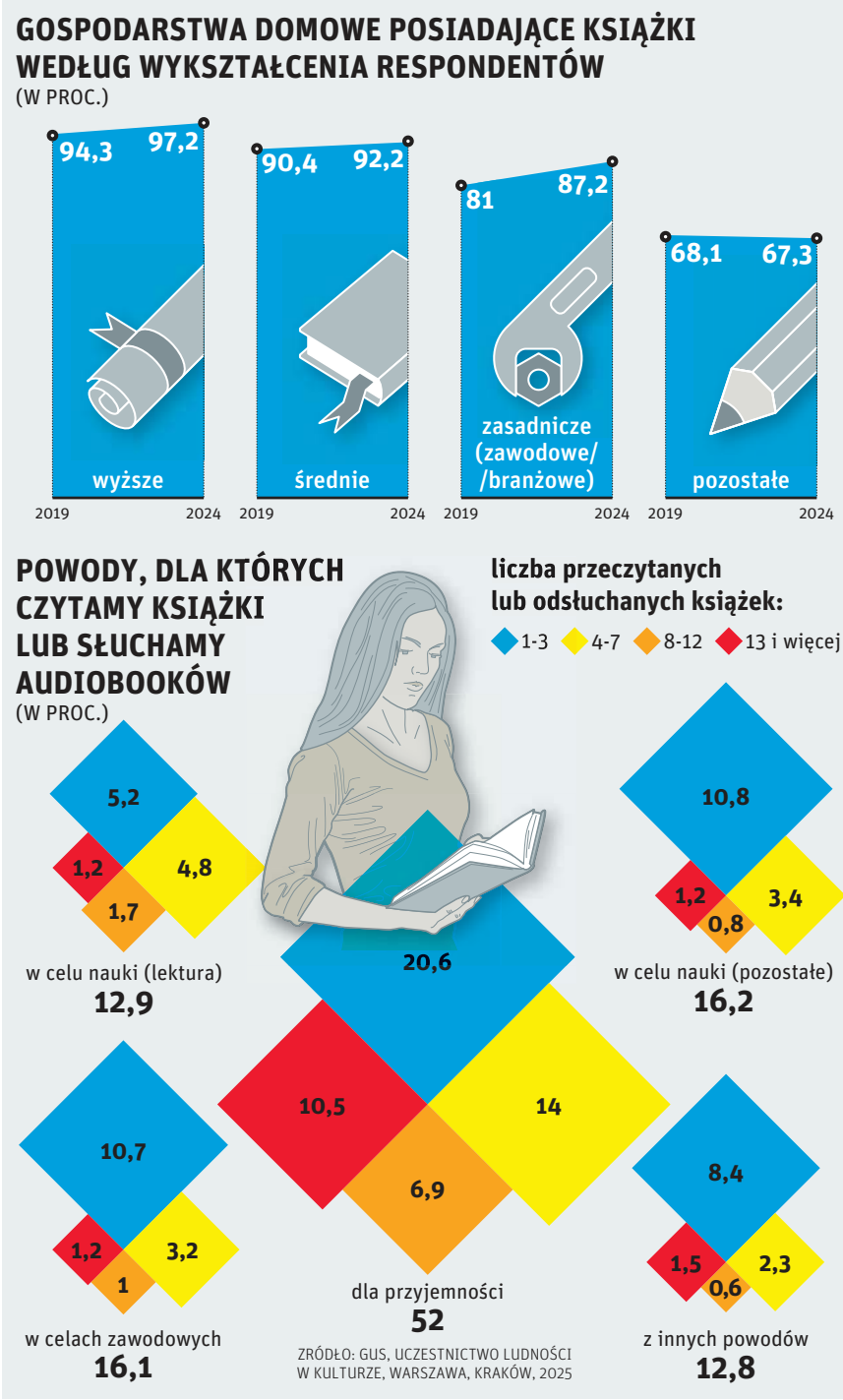

LECH MAZURCZYK

tylko podręczniki szkolne. W miastach liczących co najmniej 500 tys. mieszkańców odsetek gospodarstw domowych posiadających książki jest jeszcze wyższy: sięga 96 proc. Co najchętniej zbieramy? Głównie czytaną dla przyjemności literaturę piękną, ale też leksykony, atlasy i różnego rodzaju poradniki.

I to właśnie ten prywatny, coraz chętniej gromadzony księgozbiór służy nam jako źródło lektury – tak zadeklarowało w badaniach GUS-u ponad 26 proc. ankietowanych. Książki kupujemy głównie przez internet, w sklepach takich jak Bonito czy Allegro, ale też na targach, kiermaszach, w księgarniach. Jedna czwarta Polek i Polaków odwiedza biblioteki, coraz częściej zamawiamy wybrane tytuły za pośrednictwem wyspecjalizowanych aplikacji i serwisów.

Ponieważ dane dotyczące naszego rynku książki są niepełne (ani dystrybutorzy, ani wydawcy nie mają na razie obowiązku informowania o nakładach i liczbie sprzedanych egzemplarzy), najlepszym probierzem naszego czytelniczego apetytu mogą być informacje, którymi dzielą się właśnie platformy takie jak Allegro. Jej dane z roku 2025 poznamy dopiero w kwietniu, na razie wiemy jednak, że w roku 2024 roku sprzedano tam Polkom i Polakom aż 25 mln książek – to średnio 47 egzemplarzy na minutę (ok. 13 proc. tej liczby to książki używane).

W ostatnim czasie, jak mówią w rozmowie z „Tygodnikiem" pracownicy Allegro, wzrosło zainteresowanie komiksami, szczególnie mangą – co wskazywałoby na zakupy robione tam przez najmłodszych czytelników i czytelniczki. Najmocniejszą i najważniejszą kategorią pozostają książki dla dzieci oraz poradniki związane z samorozwojem i zdrowiem. Beletrystyka utrzymuje stabilny poziom, skoki sprzedaży zależą od liczby wydawniczych nowości i nagród literackich. Okazuje się więc, że także one mają jeszcze wpływ na nasze decyzje czytelnicze.

Popularną platformą kupna i sprzedaży książek stał się też w ostatnich latach internetowy Skupszop. Prezentowane w zeznaniach finansowych spółki słupki muszą cieszyć jej założycieli. Jeśli w roku 2020 zysk netto wyniósł 784 tys. zł, to sprawozdanie z roku 2024 mówi już o 2,8 mln. Firma chwali się też, że wprowadziła automatyzację w zakresie logistyki, sortowania i obsługi zamówień oraz wdrożyła rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji, pomagające klasyfikować i wyceniać używane książki (wystarczy wpisać na stronie numer ISBN, by program wycenił książkę, którą chcemy sprzedać, z uwzględnieniem stanu magazynowego i popularności tytułu).

Widać, że handel książkami w Polsce, także używanymi, całkiem się opłaca.

Tradycja

Zebrane tu liczby i raporty pokazują, że umacniamy ściany naszych domów coraz bardziej szczelnymi warstwami książek, szukając przyjemności i pocieszenia w staromodnej lekturze. Co ciekawe, ten trend wpisuje się w klasyczną mądrość rozpowszechnianą przez słynnego amerykańskiego krytyka literackiego Harolda Blooma. Mawiał on bowiem, że czytanie służy w dużej mierze przygotowaniu nas na zmiany. Kiedy rosną słupki czytelnictwa, oznacza to, że świat się gwałtownie zmienia. ↦

Kryje się w tym pewien paradoks, o którym też mówił Bloom, bo przecież sposób, w jaki czytamy, zachowuje ciągłość z przeszłością – czytamy w takiej samej pozycji, jak robiono to kilkaset lat temu. Niezmienna jest też, jak się okazuje, treść czytanych przez nas książek.

Kanadyjczyk Andrew Piper, dyrektor laboratorium analityki kulturowej z Montrealu, przeanalizował niedawno z pomocą sztucznej inteligencji dziewięć tysięcy streszczeń książek z Wikipedii, chcąc wydobyć z nich „ukryte lekcje życiowe i wartości etyczne". Dlaczego akurat z Wikipedii? Ponieważ nie mówi nam ona wprost o tym, o czym są książki, a raczej o tym, jak je rozumieją czytelniczki i czytelnicy, którzy potem dzielą się swoją wiedzą z użytkownikami internetu. Wikipedia najwięcej mówi nam o nas samych.

Wyniki badania Piper opublikował na swoim blogu. Okazuje się, że po lekturze opisów powieści i analizie słów kluczowych AI uznało, że nasza beletrystyka koncentruje się na tematach związanych głównie z wytrwałością i relacjami międzyludzkimi. Czy nie to samo wywnioskowała Pressman, pisząca swoją rozprawę jeszcze przed tym, jak zyskaliśmy dostęp do AI?

Pamięć

Sztuczna inteligencja bardzo szybko rozbudziła w nas wiarę w to, że jesteśmy w stanie przeczytać, a więc poznać wszystko. Wystarczy wrzucić dowolnej długości tekst do wybranej aplikacji, by AI streściła nam jego sens, podsumowując najważniejsze tezy. Nie ma znaczenia, w jakim języku jest tekst ani czy potrafimy czytać zamieszczone w nim tabelki i wykresy – AI przeanalizuje dla nas wszystko, grzecznie generując odpowiedzi na kolejne pytania. Tymczasem nasze prywatne, analogowe sposoby czytania silnie łączą się przecież ze skończonością i poczuciem porażki.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Im głębiej zanurzamy się w internecie, tym chętniej wracamy do papierowych książek. Powieść stała się, na dobre i na złe, fetyszem ery cyfrowej.

Na studiach polonistycznych, o ile pamiętam, czyta się kilkaset książek rocznie. Odkrycie, ile potrafimy przeczytać, nawet zbierając materiał do napisania tekstu takiego jak ten, bywa ekscytujące. Do chwalenia się liczbą poznanych tytułów służą nam zresztą liczne aplikacje i serwisy, takie jak LubimyCzytać – a my lubimy z nich korzystać.

Ale im jesteśmy starsi i im więcej udaje nam się przeczytać, nawet gdy poznamy znaczną część kanonu, dostrzegamy, że to i tak niewielki wycinek tego, co zostało wydane i co na bieżąco przyjeżdża do naszej księgarni (albo trafia na redakcyjne biurko). Z czasem ujawnia się jeszcze inny rodzaj ograniczenia: pamięć. Może i przeczytałam kiedyś cztery tomy „W poszukiwaniu straconego czasu", ale czy dziś pamiętam coś więcej niż kilka wątków i główną myśl Prousta, wedle której literatura pozwala nam uporządkować chaos wspomnień, nadać im formę i ocalić przed zapomnieniem?

Każda opowieść, nawet ta ofiarowana przez Prousta, kiedyś się kończy, ale staroświeckie podejście do czytania pozwala nam, jak nic innego, mierzyć się z własnymi ograniczeniami. Andrew Piper pisze, że książka jest nam tak bardzo bliska, bo – jak my sami – zajmuje konkretne miejsce w przestrzeni. Fizyczna obecność książki to dziś, być może, jej najważniejsza cecha. „Z definicji książki tym właśnie są: są – pisze Piper – i przypominają nam o tym, że także my jeszcze tu jesteśmy".

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

PREZENT!

– dostęp do wydania cyfrowego na czas trwania prenumeraty*

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*
- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na* ***bok@TygodnikPowszechny.pl*** *z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

GORĄCZKA CZARNEGO ZŁOTA

Jeszcze przez niemal ćwierć wieku Polska będzie jedynym krajem Unii wydobywającym węgiel kamienny. Co gorsza: nie wiadomo, czemu ma to służyć.

MAREK RABIJ

Punktualnie o dziesiątej brama zakładu w Stonawie, ostatniej czynnej czeskiej kopalni węgla kamiennego, zostanie otwarta dla wszystkich zainteresowanych. Około południa spod ziemi wyjedzie ostatni wagonik z węglem, przy którym na powierzchni, niczym dobrzy znajomi na pogrzebie, zgromadzą się pracownicy kopalni. Do godziny szesnastej można będzie sobie zrobić z nim pamiątkowe zdjęcie.

Po południu uroczystości przeniosą się do pobliskiej Ostrawy. Górnicy przejdą w uroczystym pochodzie do miejscowej katedry, w której mszę w intencji wszystkich pracowników czeskich kopalń odprawi biskup Martin David, ordynariusz diecezji orawsko-opawskiej. Harmonogram prac rządu premiera Andreja Babiša na 4 lutego 2026 r. – dzień, w którym zakończy się 250-letnia historia czeskiego górnictwa węgla kamiennego – nie przewiduje z tej okazji żadnych oficjalnych wystąpień.

– Wyobraża pan sobie podobny scenariusz w Polsce? – uśmiecha się ksiądz Mieczysław Augustynowicz, który od dwunastu lat pracuje w parafiach na Zaolziu wśród tamtejszych górników.

Nikt tu nie płacze po kopalniach

Trasa z Orłowej, w której znajduje się aktualna parafia ks. Augustynowicza, do sennej Stonawy zajmuje raptem dwadzieścia minut. Kontrolowane przez czeski skarb państwa Kopalnie Ostrawsko-Karwińskie (OKD), ostatni czeski producent węgla kamiennego, z końcem stycznia wygasiły tu wydobycie. Odchodzącym pracownikom zagwarantowano odprawy o łącznej wartości ponad 500 mln koron, czyli około 88 mln zł. Część górników otrzyma niemal równowartość średnich rocznych dochodów.

– Obeszło się bez napięć i protestów, nawet związki zawodowe dawno pogodziły się z zamknięciem okolicznych kopalń. Kto miał znaleźć sobie nową pracę, już dawno jeździ do niej do Ostrawy. Kto jeszcze robił pod ziemią, ale wypracował sobie prawo do górniczej emerytury, ten czekał ze spokojem na koniec stycznia. Mam wrażenie, że zakończenie wydobycia węgla kamiennego w Czechach rezo-

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Manifestacja związkowców z Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Jastrzębie-Zdrój, 14 października 2025 r.

nuje mocniej po polskiej stronie niż tutaj – zauważa polski duchowny. – Ale tutaj górnicy nigdy nie mieli takiej pozycji społecznej jak w Polsce. Nigdy też branża ta nie stała się przedmiotem doraźnej rozgrywki politycznej – dodaje.

Zaledwie kilka kilometrów od kopalni w Stonawie, w Karwinie, zerka niezdarnie w niebo dzwonnica barokowego kościoła pod wezwaniem św. Piotra z Alkantary. Jak dziesiątki okolicznych budynków, świątynia częściowo zapadła się w ziemi wskutek szkód górniczych, a jej wieżyczka odchyliła się od pionu niemal o siedem stopni. Kościoła nie rozebrano, bo był zabytkiem, a z czasem stał się także lokalną atrakcją turystyczną. Dziś przeżywa swoje piętnaście minut ogólnokrajowej sławy za sprawą Karin Lednickiej, pochodzącej z Zaolzia pisarki, której saga „Šikmý kostel" („Krzywy kościół"), traktująca o losach Karwiny i jej górniczej ludności z perspektywy żon górników, bije w Czechach rekordy popularności (pisaliśmy o niej w „TP" 4/26).

Dla polskiego odbiorcy – wychowanego na Gustawie Morcinku, Kazimierzu Kutzu czy nawet na prozie Szczepana Twardocha – może to być chwilami zaskakująca lektura. Na kartach tej sagi kopalnia nie służy za tło opowieści o heroizmie czy tragizmie losów pracujących pod ziemią ludzi. Nie jest też zastępczym adresatem oskarżeń wymierzonych w rzeczywistości w ustój polityczny czy gospodarczy. Jest nienasyconym organizmem, który pochłania kolejne wsie i miasteczka. Niekiedy wraz z mieszkańcami.

– Goście, którzy odwiedzają nas w parafii, żartują czasem, że moglibyśmy założyć benedyktyńską pustelnię, bo z kościoła mamy pięć kilometrów do najbliższych zamieszkanych zabudowań. Wszystko dookoła rozebrane lub opuszczone z powodu szkód górniczych albo pod planowaną, ale nigdy nie rozpoczętą eksploatację – ciągnie Augustynowicz. – W rolniczej Polsce, zwłaszcza po II wojnie światowej, górnictwo niosło ze sobą obietnicę lepszego życia. Tutaj, w gęściej zaludnionych Czechach, to, co pod ziemią, od zawsze wydobywano niejako kosztem tego, co na powierzchni. Myślę, że to jeden z powodów, dla których nikt tu nie płacze po kopalniach.

Pożegnanie z hałdami

Z Karwiny do polskiego Jastrzębia-Zdroju przy dobrych warunkach drogowych można dojechać w kwadrans. Kilka minut więcej zajmie podróż do Czechowic-Dziedzic. W obu miejscowościach wciąż jeszcze działają kopalnie.

Po zamknięciu zakładu w Stonawie Polska stała się jedynym krajem UE z czynnym górnictwem węgla kamiennego. Założenia programu likwidacji tego sektora przewidują, że wydobycie zakończy się do roku 2049. Plan przewiduje sukcesywną likwidację kolejnych kopalń, aby dać czas górnikom na przebranżowienie. „Bolesław Śmiały" ma zatrzymać fedrunek w 2028 r. KWK „Sośnica" – rok później. W 2035 r. ostatni wagon z węglem ma wyjechać z kopalni „Piast".

Tyle plany. W praktyce – jak pokazuje opublikowany niedawno raport fundacji Instrat – pożegnanie z węglem kamiennym może nastąpić w Polsce szybciej, niż przewiduje rządowy harmonogram przyjęty na początku tej dekady. Aktualnie w naszym kraju używa się ok. 40 mln ton węgla energetycznego. Jednak Instrat prognozuje, że w ciągu czterech najbliższych lat zużycie tego surowca spadnie do około 15 mln ton i będzie nadal maleć w kolejnych latach. „Jeśli tempo wygaszania wydobycia ↦

↦ podyktuje rynek, a nie dotacje z budżetu, to w 2030 r. w Polsce pozostaną trzy-cztery kopalnie węgla kamiennego" – podkreślają autorzy raportu.

Plany wygaszania wydobycia wymagają pilnej aktualizacji – z uwagi na sytuację w krajowej energetyce. Jeszcze 10 lat temu ponad 80 proc. prądu wytwarzały siłownie węglowe; dziś ich udział w polskim miksie energetycznym spadł w okolice 50 proc.

Na znaczeniu szybko zyskują w nim odnawialne źródła energii, które latem już regularnie zaspokajają nawet 40-50 proc. dobowego zapotrzebowania na prąd. Rzecz jasna, w polskich warunkach klimatycznych OZE samodzielnie nie są w stanie zasilać kraju przez okrągły rok, ale w rolę fundamentu polskiego systemu energetycznego, którą przez lata pełniły siłownie węglowe, zaczyna płynnie wchodzić gaz. A ok. 2040 r. prąd powinien popłynąć z pierwszej polskiej elektrowni jądrowej.

– Mieszkam na Śląsku całe życie, jestem górnikiem z wykształcenia, całą karierę związałem z tą branżą, ale mimo to uważam, że górnictwo węgla kamiennego powinno jak najszybciej zostać w Polsce pożegnane – mówi Janusz Steinhoff, minister gospodarki w rządzie Jerzego Buzka i jeden z architektów przeprowadzonej wówczas restrukturyzacji górnictwa. – Z należnymi mu honorami, bo odegrało ważną rolę w dziejach naszego kraju, ale bez zbędnej zwłoki.

Półtora związkowca na etat

Liczba zatrudnionych przy produkcji węgla kamiennego w Polsce w październiku ub. roku spadła do 71 543. Maleje nieprzerwanie od roku 2008, gdy w branży pracowało jeszcze ponad 118 tys. osób. Wydobycie, które pod koniec pierwszej dekady tego stulecia oscylowało na poziomie 8-9 mln ton miesięcznie, obecnie stopniało do poniżej 4 mln ton.

Rosną za to koszty. Tylko między rokiem 2021 a 2025 średnia cena wydobycia tony węgla o standardowej wartości opałowej wzrosła w polskich kopalniach z 470 do 945 zł. Polskie „czarne złoto" wywiezione na powierzchnię w Knurowie, Jastrzębiu-Zdroju czy w Rudzie kosztuje dziś niemal tyle samo, ile węgiel importowany z RPA czy Kolumbii.

– Przyczyny? – powtarza pytanie Steinhoff. – Pierwszą jest niewątpliwie geologia, bo złoża mamy położone głęboko, nawet 1,3 kilometra pod ziemią. Wielu pokładów nie da się też łatwo eksploatować metodami wielkoprzemysłowymi, czyli z użyciem ciężkiego sprzętu górniczego, który znacząco zwiększa efektywność. Ale samymi trudnościami technicznymi nie da się wytłumaczyć, dlaczego w naszych kopalniach już średnio połowę kosztów działalności stanowią wynagrodzenia.

> W cztery lata średnia cena wydobycia tony węgla kamiennego wzrosła w Polsce z 470 do 945 zł. **Import z RPA jest niewiele droższy.**

Kopalniami, jak mówi Steinhoff, trzęsą związki zawodowe. W Jastrzębskiej Spółce Węglowej działa blisko 70 organizacji związkowych, a uzwiązkowienie sięga 150 proc. Oznacza to, że wielu pracowników należy do więcej niż jednej organizacji. Związkowcy oczywiście licytują się, kto wywalczy więcej dla załogi (ale i dla samych działaczy). W 2024 r., który JSW zamknęła z ponad 7 mld zł straty, związkowcy wynegocjowali 14. pensję oraz nagrodę roczną.

W październiku ub. roku – gdy resort energii wpisał zadłużoną JSW na listę podmiotów, które mają zostać objęte tzw. Nowym Mechanizmem Wsparcia w ramach noweli ustawy górniczej – zagrozili strajkiem. Część organizacji związkowych odrzuca także pomysł włączenia JSW do Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Wielka Orkiestra Górniczej Pomocy

Po trzech kwartałach 2025 r. polskie kopalnie miały łącznie 6,175 mld zł straty, a ich szefowie mogli cieszyć się tylko z tego, że rok wcześniej branża była pod kreską aż na 9,2 mld. Bez dotacji z budżetu górnictwo węgla kamiennego dawno utraciłoby więc płynność i musiałoby zawiesić kaski na kołkach. W ub. roku na ratowanie branży poszło z budżetu niemal 9 mld. W tegorocznej ustawie budżetowej przewidziano już tylko ok. 5 mld zł wsparcia dla sektora górniczego, ale Ministerstwo Energii wnioskuje o co najmniej 2,5 mld zł więcej, powołując się na „zapotrzebowanie spółek węglowych sięgające ponad 10 mld zł". Nazywając rzecz po imieniu: podatnicy mają się zrzucić po 200 zł na pensje dla 70 tysięcy pracowników kopalń, dostarczających surowiec *de facto* krajowi niepotrzebny.

Przed końcem roku koalicja rządząca przyjęła pakiet ustaw mających przyspieszyć proces dobrowolnych odejść z pracy przy „czarnym złocie". Górnicy węgla kamiennego mogą liczyć na aż 176 tys. zł jednorazowej odprawy – w dodatku w pełni zwolnionej z podatku PIT. Alternatywnym rozwiązaniem jest płatny pięcioletni urlop z wynagrodzeniem na poziomie 80 proc. ostatniej górniczej pensji.

Taktyczna cisza rozpostarta nad tymi propozycjami nie jest oczywiście zbiegiem okoliczności. Rząd obawia się reakcji pracowników z innych branż, na przykład nauczycieli, którzy mogą tylko marzyć o takim wsparciu w przebranżowieniu. W resorcie finansów pakiet pomocowy dla kopalń zdążył już nawet zdobyć ironiczną nazwę „Wielkiej Orkiestry Górniczej Pomocy".

Związki – uważa Steinhoff – stworzyły i narzuciły decydentom w Warszawie zafałszowany obraz znaczenia kopalń dla Śląska: – Kiedy zaczynaliśmy restrukturyzację, w mediach jak refren powracała opowieść o siedmiu etatach utrzymywanych rzekomo na Śląsku z jednej górniczej pensji. Tymczasem tylko za mojej kadencji doprowadziliśmy do odejścia z górnictwa 100 tysięcy osób. To by oznaczało, że w liczącym ponad 4 miliony mieszkańców regionie pracę powinno stracić jakieś 700 tysięcy osób. Tymczasem statystyki pokazywały coś zgoła odwrotnego. Bezrobocie na Śląsku w okresie transformacji górnictwa było o dwa punkty procentowe niższe od średniej krajowej.

Horyzont bez szybów

Górniczy związkowcy mogą tłumaczyć, że kryzys tej branży nie rzutuje na jakość życia na Śląsku właśnie dzięki pakietom osłonowym z budżetu, których bronią jak lwy – tyle że to niepełne wytłumaczenie. Współczesny Śląsk, który wciąż darzy górnictwo estymą i sentymentem, nauczył się żyć i radzić sobie bez węgla. W przemyśle pracuje tu już niespełna pół miliona osób, z czego tylko 71 tysięcy w górnictwie. Handel, usługi, gastrono-

mia, transport oraz administracja zatrudniają dziś w regionie łącznie niemal dwa razy więcej osób w wieku produkcyjnym niż przemysł. Bezrobocie jest niemal dwukrotnie niższe niż średnia krajowa. Pensje zaś ją przewyższają.

Oczywiście Śląsk to nie tylko kwitnące Katowice, gdzie bezrobocie ociera się o 1 proc. W Bytomiu pracy nie ma blisko 9 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym.

Badanie stosunku do transformacji śląskiego górnictwa, które w 2024 r. przeprowadziły dr Justyna Orłowska i Alicja Piekarz, pokazało, że Ślązacy nie boją się przyszłości bez kopalń. Większość zatrudnionych bezpośrednio w górnictwie uważa, że bez trudu znajdzie zatrudnienie w innych sektorach, zwłaszcza przy produkcji energii ze źródeł odnawialnych, które w najbliższych latach powinny stworzyć w regionie około 300 tysięcy nowych miejsc pracy.

Ankietowani często podkreślali również zadowolenie, że ich region wreszcie przestaje się kojarzyć z pokopalnianym brudem i degradacją środowiska (o tym częściowo przemilczanym w Polsce aspekcie funkcjonowania kopalń opowiada serial „Ołowiane dzieci", który niebawem pokaże Netflix).

Ten aspekt transformacji śląskiej gospodarki za kluczowy uznało niemal tyle samo ankietowanych (35 proc.), co tych, dla których najważniejszą kwestią były niskie i stabilne ceny prądu i energii cieplnej (41 proc.). Jednocześnie Ślązacy oczekują, że pożegnanie z górnictwem odbędzie się z poszanowaniem ich tradycji – zwłaszcza ze zrozumieniem, że kopalnie były swoistymi punktami centralnymi, wokół których kręciło się życie lokalnych wspólnot.

Problem w tym, że dla wielu polityków takie oczekiwania sprowadzają się nadal do prostej konstatacji, że na Śląsku wciąż da się zbić kapitał polityczny, wzywając do krucjaty w obronie „czarnego złota".

„Klimatyczna fanaberia"

Ks. Augustynowicz: – Pamiętam, że gdy w 2018 r. w Katowicach odbywał się Międzynarodowy Szczyt Klimatyczny, premier Morawiecki zapewniał uczestników, że Polska podjęła decyzję o odejściu od węgla. W tym samym czasie opodal, na spotkaniu z górnikami, prezydent Duda obiecywał, że Polska nigdy węgla nie porzuci.

Niektórym taka fraza weszła już w krew. Wojciech Dąbrowski – były prezes spółki PGE od lat związany z PiS, a obecnie szef ideologicznie bliskiej tej partii Fundacji SET – w wywiadzie dla serwisu WNP przekonywał niedawno, że Polska powinna inwestować w nowe elektrociepłownie węglowe i rozpocząć eksploatację kolejnych złóż węgla kamiennego. „Jest to paliwo dostępne u nas, na miejscu" – podkreślał Dąbrowski, dorzucając do wywodu garść danych obrazujących wielkość jego wydobycia w Polsce i w Chinach.

W kalkulacji byłego prezesa zabrakło jednak słowa o tym, że przy obecnych cenach certyfikatów emisji CO_2 budowa elektrowni węglowej jest w zasadzie niemożliwa, bo nie skredytuje jej żaden bank i nie znajdzie się chętny na ubezpieczenie ryzyka inwestycyjnego.

Dąbrowski przemilczał również to, że Pekin, będąc istotnie liderem w wydobyciu węgla, jeszcze szybciej zwiększa moce wytwórcze swojej energetyki odnawialnej, zwłaszcza hydroelektrowni. Do 2030 r. udział OZE w chińskim miksie energetycznym ma wzrosnąć z 35 do co najmniej 40 proc., głównie kosztem paliw kopalnych, które obecnie odpowiadają za wytworzenie ok. 62 proc. energii. W planie maksimum mowa nawet o 50 proc. energii elektrycznej wytwarzanej przez źródła odnawialne.

Wywiad, w którym Dąbrowski nazwał dekarbonizację polskiej gospodarki „klimatyczną fanaberią", bijącą po kieszeni najbiedniejszych, ukazał się 28 stycznia. Dzień wcześniej Polska znów uplasowała się na niechlubnej pierwszej pozycji wśród krajów z najdroższą energią elektryczną w UE (jesteśmy też w ścisłej czołówce, jeśli chodzi o zanieczyszczenie środowiska). Za jedną megawatogodzinę płaciliśmy aż 222 euro. Francuzi, którzy swoją energetykę oparli na atomie, w tym samym czasie mieli stawkę 94 euro za 1 MWh. W Norwegii, która prąd czerpie głównie ze źródeł odnawialnych, najniższa lokalnie odnotowana cena nie przekraczała równowartości 30 euro za megawatogodzinę.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Drzwi w drzwi

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Są za ścianą, nad nami, pod nami, w domu obok. A jednak z sąsiadami rzadko zawieramy dziś bliższą znajomość – króluje raczej chłodny dystans. Dlaczego separujemy się od ludzi, którzy są najbliżej i mogliby nam pomóc w razie potrzeby?

Agata jest tuż po trzydziestce i od roku mieszka w nowym budownictwie. Przeprowadziła się tam po dziewięciu latach spędzonych w ponad stuletniej kamienicy na poznańskim Łazarzu. Mówi, że to dwa światy. – W poprzednim miejscu, gdy potrzebowałam cukru, wystarczyło mi zapukać do drzwi obok, a kiedy miałam problem z rowerem, szłam do sąsiada, który ratował pompką lub narzędziami. Podczas remontu sąsiadka z naprzeciwka powiedziała, że śmiało możemy korzystać z jej łazienki. A kiedy musiałam gdzieś pilnie wyjść, córkę zostawiałam u innej mamy, sąsiadki z góry – wylicza Agata.

W obecnym mieszkaniu, jak sama przyznaje, z rozrzewnieniem wspomina czasy, gdy z ludźmi zza ściany łączyły ją serdeczne więzi. – To może nie były bliskie przyjaźnie, ale wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć – mówi. Dziś jej relacje z sąsiadami ograniczają się do „dzień dobry" na korytarzu. Później każdy znika we własnych czterech ścianach.

Każdy sobie rzepkę skrobie

Historia Agaty nie jest odosobnionym przypadkiem, bo ochłodzenie sąsiedzkich więzi odczuwalne na klatkach schodowych czy w windach jest widoczne również w badaniach. Z tych realizowanych przez CBOS (od 1995 r.) wynika, że z biegiem lat budowanie relacji z sąsiadami staje się coraz mniej powszechne. Najnowsze dane z października 2024 r. wskazują, że Polki i Polacy mają do relacji sąsiedzkich stosunek ambiwalentny. Z jednej strony zdecydowana większość deklaruje otwartość na takie kontakty – aż 84 proc. ankietowanych twierdzi, że nie unika swoich sąsiadów, a 88 proc. stara się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając się lub zamieniając kilka słów, ale mają one wyłącznie grzecznościowy i konwencjonalny charakter.

Z tych samych badań dowiadujemy się, że aż 57 proc. ankietowanych stara się postępować tak, by nie wzbudzać pretensji sąsiadów, zarazem trzymając się od nich na dystans. 15 proc. (mniej więcej co siódmy badany) izoluje się w miejscu zamieszkania – i jest to wynik o 5 proc. wyższy niż ten notowany w badaniach z 2017 roku. W czasach PRL było zupełnie inaczej – sąsiedztwo oznaczało sieć społecznego wsparcia. Jeśli dziecko zapomniało kluczy, po szkole szło do sąsiadki lub kolegi z klatki. Gdy trzeba było iść na cały dzień do pracy lub wyjechać, psa zostawiało się „piętro niżej". Wtedy też drobne przysługi jak podlanie kwiatów (trzeba było komuś zaufać i powierzyć klucze) czy odbiór paczki – były czymś oczywistym.

Współcześni sąsiedzi pomagają sobie o wiele rzadziej niż ci żyjący jeszcze w połowie lat 90. Z najnowszych badań wynika, że 60 proc. ankietowanych przyznaje, że tego typu zażyłe stosunki mają jedynie z bardzo nielicznymi sąsiadami. Spontaniczna pomoc – opieka nad dziećmi czy zwierzętami – w przeszłości opierająca się na relacjach i wzajemnym zaufaniu, zastępowana jest płatnymi usługami, często poprzez aplikacje.

Mój dom, moja twierdza

Jak wyjaśnia prof. Katarzyna Popiołek, psycholożka społeczna z Uniwersytetu SWPS w Katowicach, kluczowym czynnikiem wpływającym na erozję sąsiedzkich więzi jest zmiana realiów społeczno-politycznych. Momentem granicznym był rok 1989 i późniejsza transformacja ustrojowa. – Wcześniej polskie społeczeństwo było bardzo egalitarne, prawie wszyscy mieli tyle samo, czyli niewiele, więc siłą rzeczy nie było porównań.

ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Festyn z okazji Dnia Sąsiada. Poznań, wrzesień 2014 r.

Ludzie potrzebowali też siebie nawzajem. Jedna sąsiadka zaopatrywała w ser, druga miała dojście do kawy, dlatego te relacje pielęgnowano – wyjaśnia ekspertka.

Nowa Polska przyniosła wiele nowych możliwości, a wraz z nimi inny styl życia. Kulturę kolektywną zastąpił indywidualizm: ceniący niezależność i uznający, że każdy jest kowalem swojego losu – niebagatelną rolę odgrywał także rosnący konsumpcjonizm. Skupienie się na sobie oraz pogoń za pieniędzmi i dobrami materialnymi przyczyniły się do rozwarstwienia społeczeństwa, co znalazło odbicie w relacjach sąsiedzkich. – Kiedyś garnęliśmy się do siebie, dziś jesteśmy nieufni, boimy się porównań i ocen. Z jednej strony nie chcemy, żeby sąsiad widział, iż mamy niemodne krzesła lub wysłużoną kanapę, z drugiej – sami nie chcemy wiedzieć, że komuś powodzi się lepiej niż nam – wyjaśnia ekspertka. Działa tu również odwrotny mechanizm – dystans lub protekcjonalność wobec tych, którym wiedzie się gorzej.

Nie bez znaczenia jest także to, że towarem deficytowym stał się czas – mamy go mało, więc chętniej poświęcamy go sobie, a nie budowaniu relacji z innymi. – Wracamy po pracy zmęczeni i zaszywamy się w swoich strefach komfortu, w których „obcy" nie są mile widziani. Jeszcze zaczną się wtrącać albo będą coś od nas chcieć – mówi prof. Popiołek.

Dziś substytutem relacji, w przeszłości budowanych pod blokiem lub na osiedlowym boisku, są grupy sąsiedzkie w przestrzeni online, np. fora internetowe wspólnot. – Tam łatwiej zachować dystans, kontrolować kontakt lub wycofać się, bez konieczności mierzenia się z czyjąś obecnością twarzą w twarz – podsumowuje badaczka. I choć oczywiście tego typu inicjatywy ułatwiają wymianę informacji, to nie zastępują osobistych relacji i rozmów „na żywo", które budują wzajemne zaufanie i kompetencje społeczne.

Co istotne, to czy i w jaki sposób budujemy relacje z ludźmi żyjącymi tuż obok, zależy także od tego, gdzie mieszkamy. Jak wyjaśnia prof. Marek Nowak, socjolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, na wsi sąsiedztwo jest znacznie bardziej „obowiązkowe" niż w mieście. – Ludzie tam często mieszkają obok siebie od pokoleń, więc nieutrzymywanie relacji jest społecznie nieakceptowane – wyjaśnia.

W miastach sytuacja wygląda inaczej – tu na pierwszy plan wysuwa się potrzeba autonomii. Wolimy *ersatz* kontaktów społecznych, czyli komunikatory.

Długo i szczęśliwie?

Tymczasem relacje z osobami mieszkającymi obok, z których dziś (zwłaszcza w dużych miastach) rezygnujemy, są istotnym elementem naszego kapitału społecznego. Dają nam poczucie bezpieczeństwa, sprawczości i przynależności do grupy. – Są też mechanizmem wsparcia, co w czasach kryzysów staje się niezwykle cenne i użyteczne – uważa prof. Nowak.

Prof. Popiołek dodaje, że człowiek jest istotą społeczną, kształtującą swoją tożsamość w relacjach z innymi. – Bez nich nie wie, kim jest. Dlatego nawiązywanie i pielęgnowanie więzi sprawia, że czujemy się lepiej, mamy więcej energii. Badania pokazują, że wsparcie innych ludzi poprawia nam samopoczucie – zauważa psycholożka społeczna. – Dziś jest zupełnie na odwrót, przeceniamy poczucie niezależności.

Co ciekawe, relacje z sąsiadami, które często uważamy za przeżytek, mają wpływ na długość i jakość życia. Jak tłumaczy dr Agnieszka Labus (architektka, urbanistka, założycielka Fundacji Lab60+ działającej na rzecz tzw. architektury długowieczności), współczesne badania wskazują, że geny odpowiadają jedynie za niewielką część (7-10 proc.) tego, jak długo żyjemy. Zdecydowanie większe znaczenie mają styl życia i czynniki środowiskowe, takie jak nasz dom czy najbliższe sąsiedztwo. – Silne więzi sąsiedzkie działają jak bufor chroniący przed stresem: obniżają ciśnienie krwi, poprawiają odporność i wzmacniają dobrostan psychiczny – wyjaśnia badaczka. Relacje ze współmieszkańcami okazują się więc nie tylko dodatkiem do dobrego i długiego życia, ale jednym z jego filarów.

Pewną przeszkodą w nawiązywaniu kontaktów z sąsiadami bywają stereotypy. W naszej społecznej świadomości od lat funkcjonuje figura wścibskiej sąsiadki, którą interesuje wszystko, która szuka sensacji i której lepiej unikać. Sami za żadne skarby świata nie chcemy za kogoś takiego uchodzić, dlatego niejednokrotnie uważamy, że oznaką dobrego wychowania jest nieinteresowanie się sprawami innych i niewtrącanie się w ich życie. W „dobrym tonie" jest więc prewencyjny dystans; nie chcemy, by posądzono nas o przekraczanie cudzych granic. – To defensywna postawa, mająca chronić przed podejrzeniami o niedyskrecję albo wręcz o nieczyste intencje – zauważa prof. Popiołek.

Nie mój cyrk

To, że miejsca zamieszkania zmieniamy dziś częściej i z większą swobodą niż w przeszłości, jest kolejną składową zmiany w podejściu do relacji sąsiedzkich. Większa mobilność oznacza mniejsze przywiązanie do lokalizacji i słabsze zaangażowanie w budowanie relacji z ludźmi, z którymi dzielimy przestrzeń. Dobre i trwałe więzi sąsiedzkie wymagają czasu.

– Badania pokazują, że dojrzałe sąsiedztwo rodzi się wtedy, gdy dłuższy czas funkcjonujemy w danej przestrzeni i zaczynamy traktować ją jak „swoją". Dopiero wtedy pojawia się poczucie odpowiedzialności za miejsce i przywiązanie ↦

↦ do ludzi, którzy z nami je zamieszkują – tłumaczy prof. Nowak i dodaje, że budowanie relacji jest inwestycją emocjonalną, z której osoby żyjące w danym miejscu tylko przez chwilę świadomie rezygnują. Nie opłaca im się w nią angażować, poświęcać czasu i energii.

Agata, eksmieszkanka poznańskiej kamienicy, opowiada, że żyjący w niej lokatorzy, z których wielu mogło pochwalić się ponad 20-letnim stażem, wyjątkowo dbali o wspólną przestrzeń. Przed świętami na klatce schodowej pojawiały się dekoracje, były „wymianki" książek, na korytarzach panował porządek. – Mieliśmy też zasady, np. do poręczy nigdy nie zapinaliśmy rowerów, by nie oszpecać i nie blokować przestrzeni. Jeśli nowy lokator nieświadomie złamał ten zwyczaj, następnego dnia znajdował karteczkę z uprzejmą prośbą – wspomina Agata.

Prof. Nowak potwierdza, że siła więzi sąsiedzkich przekłada się na to, jak wygląda i funkcjonuje kamienica lub blok. – Tam, gdzie ludzie czują się częścią wspólnoty, łatwiej o współodpowiedzialność i współpracę. Takie zbiorowości potrafią skuteczniej zabiegać o swoje sprawy, zdobywać finansowania, dbać o otoczenie. W miejscach, gdzie społeczność sąsiedzka jest zdezintegrowana, ta odpowiedzialność się rozprasza, a przestrzeń siłą rzeczy jest bardziej zaniedbana – wyjaśnia socjolog.

Brzydka chata z kraja

Niebagatelną rolę w zanikaniu więzi sąsiedzkich odgrywa także architektura. Jak przekonuje urbanistka dr Agnieszka Labus, nawiązywaniu takich relacji nie sprzyja fakt, że osiedla projektowane są według przestarzałych wyobrażeń o tym, kim są ich mieszkańcy. – Paradoksem jest to, że nadal funkcjonujemy w modelu „rodzina z dwójką dzieci", podczas gdy dynamika starzenia się naszego społeczeństwa jest jedną z najwyższych w Europie. Współczynnik dzietności mamy rekordowo niski, coraz więcej jest też osób samotnych, czasem mieszkających z psem czy kotem, które traktowane są niemal jak pełnoprawni domownicy. Mimo to na większości osiedli jedyną wspólną przestrzenią jest plac zabaw – zauważa badaczka i dodaje, że z jednej strony coraz głośniej mówi się o epidemii samotności, ale z drugiej w projektowaniu przestrzeni nie widać, by ktoś wyciągał z tego wnioski.

> Kiedyś, jeśli dziecko zapomniało kluczy, po szkole szło do sąsiadki lub kolegi z klatki. Gdy trzeba było dłużej zostać w pracy, psa zostawiało się „piętro niżej".
> **Te czasy się skończyły.**

Nikt nie myśli też o potrzebach seniorów. – Samorządy często opierają się na przestarzałych statystykach, które niewiele mówią o tym, kto naprawdę mieszka na danym osiedlu. Brakuje uważnego, „ludzkiego" przyjrzenia się temu, jak ta przestrzeń działa obecnie i jakie potrzeby jej mieszkańcy będą mieli za kilka lat – dodaje dr Labus.

Budowanie relacji sąsiedzkich wymaga wyjścia z domu, a dziś wyjść często nie ma dokąd. W przeszłości w blokach funkcjonowały np. wspólne pralnie i suszarnie, które – choć w założeniu pełniły funkcję typowo użytkową – przy okazji były również miejscem spotkań z sąsiadami i długich rozmów tworzących więzi. Podobną rolę pełniły boiska podwórkowe, na których zawierało się pierwsze przyjaźnie, uczyło współpracy z innymi, przeżywało radość i budowało odporność wobec niepowodzeń.

Dziś takich przestrzeni brakuje. Jak przekonuje Agnieszka Labus, odpowiedzią mogą być tzw. „trzecie miejsca", czyli dodatkowe wspólne przestrzenie – zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne – które umożliwiają kontakt, ale do niego nie zmuszają. Np. wspólne dziedzińce, stoły piknikowe, stoły do gry w szachy, klatki schodowe z lobby czy niewielkie salki z aneksami kuchennymi, umożliwiające mieszkańcom spotkania. – Jednak samo miejsce nie rozwiąże problemu. Dziś największym wyzwaniem jest przełamanie bariery wyjścia z mieszkania, dlatego trzeba zachęcać ludzi do korzystania ze wspólnych przestrzeni, uświadamiać im, że relacje z sąsiadami są wielką wartością, wpływającą na dobre życie i długowieczność – wyjaśnia ekspertka.

Człowiek człowiekowi

Opublikowany w październiku 2025 r. raport „Szczęśliwy Dom: Zróbmy sobie szczęśliwe sąsiedztwo" (przygotowany przez Otodom) potwierdza, że spontaniczna aktywność małych społeczności nadal jest w Polsce niska – zaledwie 23 proc. bierze udział w wydarzeniach sąsiedzkich. Jednocześnie aż 48 proc. badanych deklaruje, że odczuwa brak lokalnych liderów, którzy pchaliby sąsiedzkie inicjatywy do przodu.

To właśnie ten deficyt jest jedną z największych barier w budowaniu lokalnych wspólnot. Na wsiach wiele wartościowych inicjatyw realizują sołectwa i koła gospodyń, w miastach zaś na szczęście coraz prężniej działają komórki lokalnych samorządów. Filip Schmidt, aktywnie działający w Radzie Osiedla Jeżyce w Poznaniu, zauważa, że mimo dużej rotacji mieszkańców oraz powstawania wirtualnych grup sąsiedzkich, nadal sporo osób ceni sobie kontakty bezpośrednie, oparte na drobnych przysługach i rozmowach „na dzielnicy", np. podczas zakupów na ryneczku. – Staramy się podtrzymywać i rozwijać te relacje. Dobrze, że Jeżyce są kompaktowe i łatwo się spotkać. Dzięki temu sąsiedzkość stała się dewizą naszej dzielnicy – mówi działacz.

Jednym z narzędzi są organizowane rokrocznie wydarzenia: Dni Jeżyc czy Rynki Rozmaitości, podczas których lokalni wystawcy, twórcy, instytucje i restauracje mogą zaprezentować, co tworzą, a mieszkańcy zawrzeć nowe znajomości. – Mamy też coroczny konkurs na najbardziej ukwiecone i zazielenione balkony oraz podwórza, poza tym inicjujemy i finansujemy warsztaty, spotkania, wymiany rzeczy, potańcówki czy konsultacje, które cieszą się dużą popularnością – podsumowuje radny.

Może więc dziś, kiedy wspólnoty prawdziwe, a nie tylko z nazwy, powoli zanikają, zamiast zastanawiać się nad tym, po co nam sąsiedztwo, powinniśmy pomyśleć o tym, że relacje z ludźmi mieszkającymi tuż obok są ogromną wartością i udogodnieniem. Tyle że dobrego sąsiedztwa nie dostaje się w pakiecie wraz z mieszkaniem, komórką lokatorską i parkingiem. Ono wymaga – jak każda więź w życiu – czasu, uważności i dania czegoś od siebie. Jesteśmy na to gotowi?

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

MARTA KOZIEŁ / DWOT

Operacja „Horyzont", której celem jest zwiększenie ochrony kluczowych elementów infrastruktury krytycznej, w tym szlaków komunikacyjnych i węzłów transportowych.

Jak uciec z ruchomych piasków

SŁAWOMIR DĘBSKI

GEOPOLITYKA | Rosję odstraszy nie Tarcza Wschód czy 5 proc. PKB na obronność. Owszem, one są ważne. Ale na koniec Moskwę odstraszy przede wszystkim gotowość do użycia przeciw niej takich sił, jakie mamy – my, Litwini, Estończycy, Łotysze, Niemcy.

Europa Wschodnia to są przysłowiowe *quick sands* – ruchome piaski" – pisał w 1970 r. Juliusz Mieroszewski, klasyk polskiej myśli politycznej. Dodawał, że „ludzie z pobrzeżnych kasztelanii słyszeli tylokrotnie galop Historii, że siłą nawyku... nasłuchują".

Ten cytat otwiera jeden z rozdziałów książki, którą właśnie skończyliśmy pisać z gen. Rajmundem Andrzejczakiem. Stawiamy w niej tezę, że Polska potrzebuje nowego algorytmu strategicznego – wielkiej strategii zawierającej własną teorię bezpieczeństwa w coraz bardziej niebezpiecznym świecie. Polska potrzebuje też strategii, która będzie zawierać naszą teorię zwycięstwa nad potencjalnym agresorem – Rosją. Czyli odpowiedzi na pytanie, jak używać wobec niej siły (lub jak prezentować gotowość do jej użycia), aby osiągnąć cel: wolność, niepodległość i bezpieczeństwo Polski.

Ameryka jest przeciążona

Dlaczego jest to konieczne? Dziś cały system amerykańskich sojuszy znalazł się na ruchomych piaskach. USA wykonują nieskoordynowane ruchy, próbując ratować się przed utonięciem. W rezultacie zapadają się jeszcze głębiej, wciągając za sobą wszystkich wokoło.

Każdy, komu zdarzyło się ratować tonącego, wie, że nie przyjmuje on racjonalnych porad, nie słucha komend, i że jest zagrożeniem dla ratownika. Procedura nakazuje, by tonącego ogłuszyć. Tu jednak mówimy o najbogatszym państwie świata. Trzeba mieć nadzieję, że Ameryka jednak nie utonie, a my wraz nią. I dbać o siebie.

Stany bronią siebie – i tworzonego od stu lat ładu międzynarodowego, tzw. *Pax Americana* – przed utratą przewodnictwa w świecie na rzecz Chin. A może raczej hegemonii, która pozwalała kształtować wartości, normy, instytucje, a dla których podtrzymania USA gotowe były używać sił, jakich dziś im brakuje.

Po tym, jak w 1949 r. powstało NATO, i jak przez kolejne 76 lat USA utrzymywały nad Europą parasol bezpieczeństwa ↦

↦ (na jej prośbę zresztą: to szef MSZ Francji zaproponował Stanom w 1948 r. utworzenie Sojuszu), dziś Amerykanie mają poczucie, że słabną. Przerażeni perspektywą utraty przewodnictwa, szukają przyczyn w przytłoczeniu obowiązkami. Już w połowie lat 80. XX w. historyk imperiów Paul Kennedy ostrzegał, że dominacja USA może doprowadzić do przeciążenia systemu *Pax Americana*. Nie jest przypadkiem, że w 2025 r. przedstawiciele administracji Donalda Trumpa często powoływali się na jego klasyczną książkę pt. „Narodziny i upadek mocarstw".

Świat między porządkami

Od inauguracji drugiej kadencji Trumpa analitycy na całym świecie spierają się o to, czy USA próbują ratować się przez powrót do izolacjonizmu, czy też przez chaotyczny interwencjonizm. Debata nasiliła się po opublikowaniu Narodowej Strategii Bezpieczeństwa i Narodowej Strategii Obrony. Większość komentatorów z USA jest zgodna: to nie koniec *Pax Americana*. Administracja Trumpa też zapewnia, że nie ma mowy o izolacjonizmie.

Wess Mitchell, który w pierwszej administracji Trumpa odpowiadał za relacje z Europą, pisze w „Foreign Policy", że w polityce USA nastał czas „doktryny konsolidacji". Reagując na „przeciążenie" zobowiązaniami, USA muszą zaakceptować krótkoterminowe regionalne ryzyko w zamian za odbudowę długofalowych podstaw swej potęgi. To zaś oznacza redefinicję relacji z sojusznikami, delegowanie na nich części odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy i Bliskiego Wschodu oraz koncentrację na półkuli zachodniej, aby w przyszłości móc skuteczniej rywalizować z Chinami i Rosją.

Inny uznany amerykański strateg, Hal Brands, w artykule dla agencji Bloomberg dochodzi do podobnego wniosku: USA muszą zrestartować system operacyjny świata. Nie oznacza to zerwania dotychczasowych sojuszy, ale zmianę ich funkcjonowania, podziału kosztów, hierarchii priorytetów i mechanizmu reakcji. Handel staje się bronią, a integracja gospodarcza – narzędziem renegocjacji relacji strategicznych, a nie ich stabilizatorem.

Zdaniem Brandsa taka przebudowa może prowadzić do dwóch odmiennych rezultatów. W wariancie optymistycznym będzie to terapia szokowa, skutkująca mobilizacją wolnego świata i jego lepszym przygotowaniem do rywalizacji z Chinami i Rosją. W wariancie pesymistycznym – doprowadzi do rozregulowania sojuszy i przejścia od *burden-sharing* do *burden-dropping* (zamiast podziału kosztów – ucieczka od wspólnego bezpieczeństwa).

> Strategicznym analfabetom, którzy wzywają, by zaprzestać pomagania Ukrainie, chciałoby się odpowiedzieć parafrazą z Piłsudskiego: **wam kury szczać prowadzać, a nie geopolitykę robić!**

Z kolei Brytyjczyk Lawrence Freedman, komentując nowe amerykańskie dokumenty strategiczne, podkreśla, iż świat nie wchodzi w nowy porządek, lecz funkcjonuje „między porządkami". Odstraszanie wciąż działa w relacjach między mocarstwami. Poza nimi państwa coraz częściej stawiają na odporność, autonomię strategiczną i zarządzanie ryzykiem. Dotychczasowe instytucje słabną szybciej, niż pojawiają się ich odpowiedniki.

Spychanie sojuszników z sanek

Co to oznacza dla Polski? Że wchodzimy w epokę narodowych egoizmów. Nie wiemy, jak długo ona potrwa, ale należy się liczyć z tym, że w jej trakcie mobilizowanie sojuszników do wykonania ich zobowiązań będzie trudniejsze. Nie jest to jednak „efekt Trumpa": nie łudźmy się, że wraz z końcem jego kadencji wszystko wróci na dawne miejsce.

Większość uczestników strategicznej debaty w USA nie sympatyzuje z Trumpem, ale popiera skracanie przez USA frontu i przymuszanie sojuszników do cięższej pracy, do ponoszenia większego ryzyka i kosztów na rzecz wspólnoty (niektórych) interesów. Normy traktatowe, zwyczaje polityczne, a nawet interesy nie uruchomią już automatycznie sojuszy. Wchodzimy w epokę, w której „spychanie sojuszników z sanek" i/lub „wrzucanie ich pod autobus" będzie nie tylko dopuszczalne, ale też akceptowalne. Przypomnijmy myśl Mitchella: USA muszą tymczasowo zaakceptować większe regionalne ryzyko, aby skoncentrować się na mobilizacji własnego potencjału.

To dlatego administracja Trumpa jest gotowa porzucić Ukrainę, wymuszając na niej zgodę na pokój z Rosją, aby móc przestać jej pomagać. Oczywiście, szukając możliwości wywikłania się z wojny rosyjsko-ukraińskiej, USA chcą to zrobić tak, by Rosja nadmiernie się na tym nie wzmocniła. Tak wygląda pole manewru prezydenta Zełenskiego. Na dodatek kultura strategiczna w USA ma tradycję zamieniania adwersarzy w sojuszników. Dlatego w Waszyngtonie nie wyklucza się możliwości oderwania Rosji od Chin i włączenia jej do jakiejś antychińskiej konstelacji.

W Polsce uważamy, że to mrzonki. Ale to nie my zamienialiśmy postnazistowskie Niemcy (zachodnie) w sojusznika raptem kilka lat po II wojnie światowej. To także nie my zawieraliśmy sojusz z Japonią chwilę po tym, jak zrzuciliśmy na nią bomby atomowe. I to nie my zatrzymaliśmy rozliczenia z komunizmem w Europie Środkowej po końcu zimnej wojny, by wspólnie z ekskomunistami budować „Europę wolną, zjednoczoną i pokojową".

Strategia, która uwzględni użycie siły

Nasza kultura strategiczna różni się od amerykańskiej. Obok interesów wspólnych, mamy też sprzeczne. Dlatego musimy mieć strategię własną, a nie biernie uczestniczyć w realizowaniu amerykańskiej. Sojusz z USA nie może być celem samym w sobie – musi być instrumentem polskiej wielkiej strategii.

Amerykańskie próby wywikłania się z kosztów utrzymywania pokoju w Europie zwiększają ryzyko rosyjskiej agresji. Gdyby do niej doszło dziś, zaangażowanie sojusznicze USA mogłoby być uzależnione od tego, czy narody bałtyckie stawią zbrojny opór, i czy europejscy sojusznicy przyjdą im z pomocą. Mówiąc precyzyjnie: czy przyjdą im z pomocą Polska, Finlandia i Szwecja. A jeśli nie... Cóż, Amerykanie nikomu nie będą bronić ich ojczyzn. Nam także. Jeśli komuś się tak wydawało, to ulegał złudzeniu. „A co na to NATO? Amerykanie nas obronią! Po to przecież wysłaliśmy żołnierzy do Iraku i Afganistanu!" – taką fałszywą retoryką

raczono polskie społeczeństwo. Dziś potrzebuje ono strategicznej reedukacji.

Tak dochodzimy do ważnej konkluzji: wiele wskazuje, że nowa epoka będzie się charakteryzować częstszym odwoływaniem się do argumentu siły – co nie musi być równoznaczne z jej użyciem. Polacy muszą się do tej sytuacji szybko zaadaptować, jeśli nie chcą utracić tego, co udało im się osiągnąć w ciągu trzech dekad spektakularnego rozwoju.

Nigdy nie byliśmy tak zasobnym społeczeństwem jak dziś. Dlatego potrzebujemy „wielkiej strategii", aby w erze globalnych turbulencji nie dopuścić do wojny i zniszczenia naszych osiągnięć. Potrzebujemy też strategii użycia siły, lub gotowości do jej użycia.

Gdy braknie d'Artagnana

Nasi politycy lubią hasło „Polska silna w NATO!". Ale czy zdają sobie sprawę, co to dziś oznacza? Silny sojusznik to nie ten, kto ma potężną armię, lecz ten, który jest gotów użyć tego, co ma, w obronie innego kraju. Odstrasza przede wszystkim nie potencjał militarny, nie PKB na obronność, nie Tarcza Wschód. Owszem, są ważne. Ale koniec końców odstrasza gotowość użycia tego, co się posiada – tak, by narzucić agresorowi własną wolę. Aby wygrać.

„Powiedz mi, jak jesteś gotów użyć siły, a powiem ci, czy jesteś atrakcyjnym sojusznikiem". Sojusze opierają się na wzajemności. Jeśli liczymy, że np. Finowie pomogą nam w razie rosyjskiej agresji, musimy być gotowi pomóc zaatakowanym Estończykom.

Warto mieć świadomość, że nawet gdyby USA opuściły Sojusz Północnoatlantycki (co jest mało prawdopodobne), to na mocy traktatu waszyngtońskiego wciąż będziemy sojusznikiem Norwegii, Szwecji, Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Rumunii i Turcji. Będziemy zobowiązani do udzielenia im pomocy w razie agresji. NATO to sojusz wielostronny, a nie przymierze państw europejskich z USA. To sojusz oparty na maksymie muszkieterów: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego". Jeśli chcemy zwiększać nasze bezpieczeństwo, musimy się czuć nią związani, nawet jeśli zabraknie amerykańskiego d'Artagnana.

Niektórym może się to wydać banalne. Ale polskie społeczeństwo, wychowane bezstresowo w czasach końca historii, wymaga szybkiej resocjalizacji. W nowej epoce, jaką już mamy, strategiczny analfabetyzm jest groźny.

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktują półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chcą dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK POWINNA ZACHOWAĆ SIĘ POLSKA? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

NA ŁAMACH „TYGODNIKA" prowadzimy debatę o polskiej strategii bezpieczeństwa, rozpoczętą artykułem Zbigniewa Parafianowicza i kontynuowaną tekstem Piotra Oleksego i Damiana Szacawy.

Ciąg dalszy cyklu w następnym numerze. Wszystkie materiały dostępne są w serwisie **TygodnikPowszechny.pl/debata-bezpieczenstwo**

Ukraina ratuje nam skórę

Na szczęście redefinicja zaangażowania USA w sojusze następuje w czasie, gdy Rosja została poważnie osłabiona za sprawą oporu, który wciąż stawiają Ukraińcy. Dokumenty strategiczne ekipy Trumpa opisują Rosję jako wyzwanie „zarządzalne" nawet przez europejskich sojuszników działających samodzielnie, bez USA.

Można powiedzieć, że Ukraina uratowała nam skórę. W każdym miasteczku Polski powinien stanąć pomnik nieznanego ukraińskiego żołnierza, którego ofiara mogła nam zaoszczędzić powtórki z „rzezi Pragi", „reduty Ordona" i „katyńskiego lasku".

Sto lat temu Piłsudski próbował z niepodległej Ukrainy zbudować dla Polski bufor odgradzający ją od Rosji. Wtedy to się nie udało. Dziś Ukraina – także dzięki polskiemu wsparciu, materialnemu i politycznemu – skutecznie stawiła Rosji opór. Walczy i ściera rosyjski potencjał, który w czasie globalnej turbulencji stwarzałby dla Polski realne zagrożenie.

Tymczasem u nas chór strategicznych analfabetów wzywa do zaprzestania udzielania Ukrainie wsparcia. Twierdzą oni, że od niszczenia potencjału militarnego Rosji ważniejszy jest problem napływu ukraińskiego zboża. Albo że upamiętnianie polskich ofiar ukraińskich mordów sprzed 80 lat (tak, mordów strasznych) ma mieć pierwszeństwo przed bezpieczeństwem Polaków żyjących tu i teraz.

Takim ludziom chciałoby się sparafrazować Piłsudskiego: wam kury szczać prowadzać, a nie geopolitykę robić!

Jak wygrać z Rosją

Carl von Clausewitz, „filozof wojny" z przełomu wieków XVIII i XIX oraz twórca nowoczesnej myśli strategicznej, przestrzegał przed błędnym rozpoznaniem hierarchii problemów. „Małe zależy zawsze od dużego, nieważne od ważnego, przypadkowe od istotnego" – pisał.

Strategia polega na ustalaniu hierarchii celów i wartości, w imię których sięga się po broń, na gotowości do ponoszenia ryzyka i kosztów, a także na rezygnowaniu – lub odkładaniu w czasie – spraw, które nie mają bezpośredniego wpływu na szanse zwycięstwa. Zwycięstwa – gdyż celem użycia sił zbrojnych nie może być klęska.

Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie o satysfakcjonujące nas kryteria wygranej z Rosją. Czy zwycięski scenariusz to zajęcie przez Rosję raptem 20 proc. terenu Polski przez pięć lat wojny – co udało się osiągnąć Ukrainie? Pragniemy postawić sobie bardziej ambitne cele? Jak chcemy uniemożliwić Rosji ponowne zamienienie Polski w „Priwiślański Kraj"?

Stworzyliśmy Wojska Obrony Terytorialnej – formację przeznaczoną do nieregularnych działań na terenie okupowanym przez wroga. Wygląda to tak, jakbyśmy chcieli z Rosją walczyć jak w czasach powstania styczniowego i akcji „Burza". Obawiam się, że w ten sposób jej nie odstraszymy. Może zamiast tego zastanówmy się, jak pobić Rosję na jej terenie? ↦

↦ Niby dlaczego mielibyśmy pozwolić jej na niszczenie naszej infrastruktury?

Prezydent Nawrocki i minister Sikorski zgadzają się, że Rosja nie jest niepokonywalna. Zatem trzeba przejść od słów do czynów i wspólnie opracować narodową strategię bezpieczeństwa, która uwzględni tę myśl.

Polskie pytania

Jaką rolę w naszym przeciwdziałaniu Rosji chcemy powierzyć Finom, Szwedom, Bałtom i Ukraińcom? Jakiego wsparcia oczekujemy od Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii? Jak chcemy w naszą strategię zwycięstwa uwikłać USA? Wreszcie, jak to nasze zwycięstwo powinno wyglądać w scenariuszu krótkiej wojny, a jak w długiej, prowadzonej na wyniszczenie? Jak powinien wyglądać nasz system bezpieczeństwa po zakończeniu konfliktu?

Od odpowiedzi na te pytania zależy wiarygodność polskiego odstraszania Rosji.

Następny krok to dobór narzędzi do realizacji naszych celów. Czy do zwycięstwa potrzebujemy okrętów podwodnych? Własnej broni jądrowej? (tu warto mieć na uwadze, że proces jej pozyskiwania – gdyby władze RP podjęły taką decyzję – może, zanim ją uzyskamy, sprowokować Rosję zamiast ją odstraszyć). Wojsk powietrznodesantowych? Jak chcemy wywalczyć dominację naszego lotnictwa w powietrzu – przecież tylko ona umożliwia wykorzystanie wojsk powietrznodesantowych w funkcji, do której je przygotowujemy kosztem miliardów złotych.

I na koniec – jak zamierzamy wygrać bez Amerykanów, którzy nawet gdyby chcieli, to mogą nie być w stanie przyjść nam z pomocą z powodu uwikłania w możliwy konflikt na Pacyfiku.

Skończyły się dla Polski geopolityczne wakacje. Czas wrócić do szkoły i odrobić lekcje z polskiej, a nie amerykańskiej strategii.

© SŁAWOMIR DĘBSKI

Autor jest politologiem i historykiem. W latach 2011-2016 dyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, potem do 2024 r. dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Obecnie profesor Kolegium Europejskiego w Natolinie.

„TP" 4/2026

Sens przed procedurami

„Chrzest z sensem", o którym napisała Marta Glanc, to bardzo ważny temat. Autorka zwróciła uwagę na niektóre aspekty tego zjawiska, m.in. poruszając społeczno-środowiskowe przyczyny chrzczenia dzieci. Są jeszcze takie czynniki jak własne przekonanie rodziców o potrzebie chrztu dziecka (przekonanie wynikające z oczekiwań dotyczących życia po śmierci lub podejścia pascalowskiego: „zakładu o życie wieczne") lub przekonanie o jego bezcelowości (to w przypadku ludzi deklarujących się jako niewierzący, których mój autorytet absolutny, ks. prof. Michał Heller, pyta: „W jakiego Boga NIE wierzysz?"). Dodałbym jeszcze do tego zestawu pytanie, czy chrzest – bez późniejszych sakramentów i bez życia w duchu chrześcijańskim, według przesłania Jezusa – nie jest tylko kadzidłem, kropidłem, pustym gestem, który nie niesie za sobą jakichkolwiek skutków.

Sens chrztu uważam za istotniejszy niż związane z nim przepisy kościelne. Dla mnie niejasne są zresztą wymogi go dotyczące – z jednej strony potrzebne są „podkładki" formalne, z drugiej chrzest udzielany jest w przypadku zagrożenia życia dziecka. Znam dzieci, którym w jednym kościele odmówiono chrztu, a w innym ten sakrament został udzielony. JÓZEF

Reagujmy na antysemityzm

Naprawdę nie potrafię zrozumieć bierności mediów w sprawach nadzwyczaj ważnych. Jestem doktorem nauk społecznych, już od dziecka pasjonatem historii, a przy tym wciąż aktywnie działam na rzecz obrony praworządności. Część mojej rodziny – od strony ojca – ma żydowskie pochodzenie. Wśród moich przodków, nie w pierwszej linii, są ofiary bestialstwa antysemityzmu II wojny światowej.

Bacznie obserwuję to, co dzieje się wokół książki Wojciecha Sumlińskiego „Porozmawiajmy o Żydach", i czuję narastającą złość oraz bezradność. Sumliński chwali się komercyjnym sukcesem. A wy – redakcje, które na co dzień słusznie piszecie o prawach człowieka i zagrożeniach dla demokracji – w tej sprawie milczycie. W tej książce powielane są wprost antysemickie, fałszywe reminiscencje: Żydzi jako mroczna, zbiorowa siła, odpowiedzialna za spiski, wpływy i zło świata. Są tu też wątki, które można uznać za negowanie Holokaustu. Dopiero co usłyszeliśmy o ataku na wyznawców judaizmu na lotnisku w Balicach. I naprawdę trudno udawać, że nie ma tu żadnego związku – te sytuacje nie biorą się z powietrza. One wyrastają w klimacie, w którym antysemickie treści są normalizowane, sprzedawane jako bestsellery i nie spotykają się z żadną poważną krytyką ze strony mediów. Tak, znane jest mi pojęcie „efektu Streisand". Wiem, że tu również można było jeszcze niedawno argumentować: „Nie mówmy o książce głośno, bo to tylko pomoże sprzedaży". Tyle że ta książka i tak już jest na szczytach list sprzedaży – w Empikach, na stronach Świata Książki czy Bonito.

Piszę tę wiadomość, bo nie mogę się pogodzić z faktem, że w kraju, który tak często mówi o swojej traumie wojennej, można dziś bez większego sprzeciwu sprzedawać książkę opartą na antyżydowskich stereotypach. I że liberalne media, które tyle razy pokazywały odwagę w innych sprawach, w tej wybierają ciszę.

Jeśli dziś nie potrafimy zareagować na antysemityzm sprzedawany w formie książki-bestsellera, to jutro będziemy już tylko z przerażeniem czytać o kolejnych „incydentach", takich jak ten z Balic. Udając, że każdy kolejny przypadek jest autonomiczny, z niczym niepowiązany.

ŁUKASZ

OLGA

Drenda: *Czy można wybaczyć „ha, ha”*

Czasem najtrafniejsze obserwacje docierają do nas zupełnie mimochodem. „Nigdy nie powinniśmy byli wiedzieć tyle o sobie nawzajem”, powiedziała kiedyś nieznana mi zupełnie osoba w zasłyszanej ukradkiem rozmowie o rozłamach w rodzinie, i zgadzam się z tym rozpoznaniem. Jej zdaniem przyczyną tych rozłamów, czasem na śmierć i życie, był nadmiar ujawnianych informacji o światopoglądzie. Ujawnianych tak hojnie oczywiście w internecie, bo w bezpośrednim kontakcie jednak trzeba się nieco mitygować, żeby codzienność miała w miarę znośny smak. A komentowanie czy reagowanie w internecie ma w sobie coś z fałszowania pod prysznicem, gdy wydaje się, że nikt nie słyszy.

Tyle że słyszy. Ta nadmierna wylewność wyróżnia się przede wszystkim tym, że niepożądana wiedza dociera do nas niebezpośrednio, niekiedy przypadkiem. Dlatego działa tak niszczycielsko. Jest to bowiem odpowiednik bycia świadkiem obgadywania lub złośliwego komentowania za czyimiś plecami. Tak dowiadujesz się przypadkiem, że ktoś oddaje się z pasją zawiści, radości z cudzego wypadku, życzeniom zguby czy innym uczuciom, które zapewne każdy miewa, ale lepiej pozwolić im przeminąć w skrytości ducha.

Albo człowiek, którego kojarzysz, z którym być może będziesz kiedyś musiał współpracować, któremu będzie wypadało podać rękę, zostawia pod twoimi słowami złośliwą reakcję „ha, ha”.

Nie haha!

OLGA DRENDA

A czy da się utrzymywać pozory szacunku wobec kogoś, o kim wiesz, że nie szanuje ciebie? Można oczywiście wyciągnąć to na światło dzienne, lecz zbyt duże to ryzyko, że efekt okaże się małostkowy i śmieszny, trudno więc rozbroić tę bombę. Pozostaje więc kultywowanie po kryjomu małych uprzedzeń i niechęci.

Przyznaję, że to ostatecznie zniechęciło mnie do obecności w mediach społecznościowych: ta zbyt duża szansa, że dowiem się o kimś czegoś, czego wiedzieć nie chciałam. Zapewne nie ma czegoś takiego, jak zła czy zbędna wiedza, ale czasem staje się ona przeszkodą dla zwykłych, umiarkowanych społecznych relacji.

Jeszcze przed epoką komputerów osobistych sygnały tego zjawiska zauważył socjolog Richard Sennett, diagnozując koniec „człowieka publicznego”. Jego zdaniem poszukiwanie bliskości i szczerości przyniosło zarazem niespodziewany skutek uboczny we wzroście nieufności. Gdy każda sfera życia społecznego staje się potencjalnie osobistą, a personalnej urazy nie tłumi konwenans ani dyskrecja, ludzie ciążą w stronę najwęziej rozumianego podobieństwa, szukając bezskutecznie wystarczająco takich, jak oni sami. A czasem wystarczyłaby zwyczajna neutralna uprzejmość.

Podobno w ciągu pół wieku w USA podwoiła się liczba osób, które uważają związki „międzypartyjne” za niedopuszczalny mezalians, zupełnie tak, jakby przekonania nie były rzeczą nabytą, a niemal elementem DNA. Ze starej literatury reportażowej czy pamiętnikarskiej przypominam sobie historie o udanych małżeństwach między wierzącą żoną a mężem – zaprzysięgłym ateuszem, którzy się ze sobą jakoś dogadywali. Cóż, mieli ważniejsze sprawy na głowie niż debaty światopoglądowe, a do tego zapewne też gotowość do ustępstw i machnięcia ręką, że „niech już będzie” (co prawdopodobnie dzisiaj uchodzi, niestety, za wyraz zbyt małych ambicji).

Nie ma co oczywiście malować jakiegoś idealnego obrazka powszechnej zgody, ale może odrobina pragmatyzmu, podpowiadającego, by trzymać czasem język za zębami, nie jest zła. Koniec końców najważniejsza jest ostatecznie weryfikacja w tak zwanym praniu, gdy często okazuje się, że opinie i sądy nie mają najmniejszego znaczenia względem tego, co robimy.

Duże wrażenie zrobiła na mnie niegdyś osoba, która zaciekle broniła swojego prawa do nieujawniania informacji o tym, na kogo zamierza głosować, nawet najbliższym domownikom, kwitując to krótko: nos w sos. Nie chodziło tutaj o upór dla samego uporu czy o dążenie do utrzymywania jakichś obłudnych pozorów ogólnej zgody, ale o uszanowanie faktu, że myśli i przekonania mogą należeć do sfery prywatnej, w niej ewoluować, a czasem umierać śmiercią naturalną. Sama również – oczywiście przy pełnej świadomości, że ludzie często nie mogą wytrzymać bez przypisywania komuś przekonań na wyrost – mam nadzieję takim człowiekiem pozostać. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PSYCHE

WEJDŹ W MOJE BUTY

MAŁGORZATA GAMBIN, PSYCHOLOŻKA:

Empatia jest wyrazem troski o relacje. Wymaga umiejętności wyobrażenia sobie, co i dlaczego może odczuwać druga osoba.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

MARCIN TUSIŃSKI: Jak się Pani miewa? Pod koniec roku miała Pani sporo pracy.

MAŁGORZATA GAMBIN: Udało mi się wypocząć, zregenerować, ale obowiązków nie brakuje.

Przed rozmową zapytała mnie Pani o podróż. Wyjechałem z Krakowa o 5.50, żeby zdążyć do Pani na Uniwersytet Warszawski. Ja dowiedziałem się, że Pani wstała o szóstej, zawiozła dzieci do szkoły i ma masę obowiązków. Czy zaczęliśmy z empatią?

Z troską o drugą osobę. Empatia ma dwa ważne aspekty. Pierwszy to umiejętność „wejścia w czyjeś buty", zastanowienia się, jak druga osoba się czuje, czego doświadcza. Ten rodzaj empatii nazywa się poznawczą. Pańskie pytania były przykładem wyjścia mi naprzeciw z troską.

Drugi aspekt empatii – afektywny – dotyczy współodczuwania. Na widok płaczącej i smutnej osoby zaczyna się nam to udzielać, często automatycznie. Dopiero potem przychodzi refleksja nad tym, z czego wynikła nasza reakcja. Empatia emocjonalna może w życiu pomagać, ale czasami dużo kosztuje. Jeden z artykułów naukowych określa ją jako „ryzykowny zasób".

Po co więc być empatycznym?

Empatia jest wyrazem troski o relacje. Tylko dzięki autentycznej komunikacji możemy budować bliskie, zdrowe relacje w rodzinie i związkach romantycznych, z dziećmi, przyjaciółmi... Współodczuwanie niekoniecznie idzie w parze z refleksją. Empatia wymaga umiejętności „mentalizowania", czyli właśnie wyobrażenia sobie, co i dlaczego może odczuwać druga osoba.

Co to znaczy, że empatia jest zasobem?

W sytuacjach konfliktowych np. stanowi punkt wyjścia do rozmowy. Bez tego grozi nam odpowiadanie na czyjeś trudne emocje obrazą, wpadaniem w złość i nakręcaniem negatywnej spirali. Brak empatii kończy się najczęściej intruzywną komunikacją, próbami dominacji albo lekceważeniem uczuć drugiej osoby.

Ja w takich momentach czuję się jak rozpędzony koń. Ciężko się zatrzymać.

Każdy z nas ma na koncie wiele momentów, kiedy nam nie wyszło. Ale mówi się, zwłaszcza w kontekście wychowania dzieci, że jeśli wychodzi nam przynajmniej w małym procencie, to i tak jest dobrze, bo się staramy.

To dlatego jest zasobem ryzykownym?

Czasami nam samym trudno poradzić sobie z emocjami, które odczuwamy. Może to prowadzić do zamknięcia się w sobie czy obwiniania. Tę tendencję do brania wszystkiego do siebie w obliczu cudzych trudnych emocji nazywa się empatycznym dystresem. Człowiek czuje się wtedy zalany emocjami. To się zwykle kończy odcięciem.

Empatia jest cechą nabytą czy wrodzoną?

Współodczuwanie emocjonalne w większym stopniu wiąże się z temperamentem i biologiczną wrażliwością. Empatię poznawczą możemy rozwijać. Mentalizacji, wchodzenia w buty drugiego można się nauczyć.

Badania pokazują, że istnieje podgrupa dzieci z zaburzeniami zachowania – agresywnych, łamiących normy społeczne i mało wrażliwych na cierpienie innych – u których dominują czynniki biologiczne i genetyczne. Obserwuje się u nich niższy poziom pobudzenia i słabszą reakcję na sygnały zagrożenia. Takie osoby silniej szukają stymulacji, a agresja staje się dla nich sposobem na jej wywołanie lub odzyskanie poczucia kontroli. Zmierzam do tego, że zarówno psychopatia, jak i empatia są do pewnego stopnia uwarunkowane biologicznie. Trudne doświadczenia relacyjne czy brak ufnej więzi także prowadzą do trudności. Brak empatii może mieć zatem przyczynę biologiczną i środowiskową. One mogą na siebie wzajemnie oddziaływać.

Zainteresowanie drugim człowiekiem i zwracanie uwagi na jego potrzeby jest budowane w najwcześniejszych relacjach rodzinnych. Dlatego to takie ważne, żeby rodzice nazywali emocje, rozmawiali o nich z dziećmi i odzwierciedlali, czyli uznawali i zauważali ich uczucia. Taka postawa uczy dzieci nazywania własnych stanów i świata emocjonalnego.

Równie ważne jest dbanie o siebie. Każdy rodzic ma trudne momenty smutku czy złości. Kiedy to nazywa, dziecko rozumie i uczy się komunikacji. Jeśli rodzic jest zdenerwowany po nieudanym dniu w pracy, ale o tym nie mówi, dziecko może odczuwać „zdradę emocjonalną". Przytłoczony własnymi emocjami tata nie wysłucha, nie zauważy. Dlatego uważność na własne emocje jest kluczowa.

Zdaniem Jamesa Hillmana, ucznia C.G. Junga, na taką zdradę – unieważnianie, odpychanie przez bliskich – ludzie reagują na trzy sposoby: przyjmują na siebie winę i kulą się w kącie, obwiniają krzywdzącego albo biorą odpowiedzialność, starając się wyobrazić sobie, co się dzieje po drugiej stronie, i z tym zrozumieniem iść dalej w życie.

To świetny przykład mentalizacji – używania wyobraźni jako zasobu, który pozwala nam zrozumieć, zamiast obwiniać.

Tylko czy każdego? Podobno Putin był bity od wczesnego dzieciństwa. Znajomość jego przeszłości na pewno pomaga, ale nie usprawiedliwia tego, co robi.

To trzeba rozdzielić. Z jednej strony ważne jest zrozumienie, z drugiej – stawianie granic w sytuacjach społecznych. Empatia nie oznacza usprawiedliwiania czyichś wszystkich zachowań.

Czy wobec każdego można być empatycznym?

To niemożliwe, bo ilość cierpienia wokół jest nieskończona. Mamy choćby ogromne ilości zbiórek na pomoc osobom w sytuacji kryzysów społecznych, np. wojny. Gdybyśmy reagowali na wszystko, nie starczyłoby nam życia. Zakres zaangażowania zależy od zasobów własnych.

Z początkiem wojny w Ukrainie prowadziliśmy badania nad niepokojem dotyczącym wojny wśród nastolatków. ↦

↦ Okazało się, że ci z nich, którzy zareagowali objawami depresji i lęku, mieli stosunkowo małe wsparcie w rodzinie. I odwrotnie: ci, którzy angażowali się w działania pomocowe, mieli solidne wsparcie ze strony rodziny. To pokazuje, że jeżeli sami mamy zasoby, np. wsparcie społeczne i „możemy się wygadać", to łatwiej nam też pomagać innym, i nie będzie to wypalające.

Rodzina daje trochę „złota", więc mamy czym się dzielić?

Bez wsparcia głębokie współodczuwanie jest niemożliwe. U dzieci, które są eksponowane na trudne emocje rodziców i mają mało innych zasobów społecznych, współodczuwanie łączy się z poczuciem winy, a nawet wstydu, samoobwinianiem. Za tym idzie depresja, lęk. W takich wypadkach współodczuwanie jest olbrzymim obciążeniem.

Ludzie cierpiący na syndrom Dorosłego Dziecka Alkoholika albo inne traumy są empatyczni, ale nadmiernie. Czy taka empatia antycypacyjna, wyprzedzająca ewentualny atak, to wciąż jest empatia?

Tak, to jest współodczuwanie, czyli empatia afektywna. Jednak nawet jej wysoki poziom nie gwarantuje, że pójdzie za nim adekwatna troska czy wspierające działanie. Bez odpowiednich narzędzi kończy się to nadmiernym chronieniem siebie lub innych, poczuciem winy... Może też skutkować nadopiekuńczością. Np. nadmiernym chronieniem dziecka przed lękiem separacyjnym, gdy idzie do przedszkola, co kończy się z kolei jego późniejszą niesamodzielnością.

Pochodzę z rodziny imigrantów, babcie przeżyły wygnanie i głód. Mam wrażenie, że tamte lęki zostały mi i moim rodzicom przekazane w spadku, bo kolejne pokolenia chciały uchronić dzieci przed tym, co same przeżyły. Choć rzeczywistość wokół bardzo się przecież zmieniła.

To taka „troska teoretyczna", w dobrej wierze, ale pozbawiona empatii poznawczej – rozpoznawania faktycznych potrzeb drugiego. Uporczywa potrzeba karmienia wnuków jest w pełni zrozumiała u kogoś, kto w dzieciństwie cierpiał głód. Jedyne, co pozostaje nam, dorosłym, to przyjąć ich perspektywę lub tłumaczyć ją naszym dzieciom. Próbować o tym rozmawiać.

W Polsce żyje teraz kilkaset tysięcy ukraińskich matek, które samotnie wychowują dzieci. Dzieci są zatem ich najbliższą i jedyną dostępną fizycznie rodziną. Wyobrażam sobie, że musi być ciężko nie obciążać ich odpowiedzialnością, która normalnie spoczywa na barkach ojców, starszych braci, babć, przyjaciół i dziadków.

Zjawisko parentyfikacji, kiedy dzieci przejmują rolę rodziców, nie zawsze ma jednoznacznie negatywne skutki. Element dzielenia się zadaniami może być dobry i wzmacniać poczucie odpowiedzialności. Ale kiedy dziecko przyjmuje na siebie za dużo emocji i nie ma wsparcia z innych źródeł, może czuć się bardzo samotne. Dlatego konieczne jest szersze wsparcie społeczne.

Ważne, żeby rodzice nazywali emocje, rozmawiali o nich z dziećmi i zauważali ich uczucia. **Uczy to dzieci nazywania własnych stanów i świata emocjonalnego.**

Jakie?

Życzliwi sąsiedzi czy różne społeczne inicjatywy oddolne, które dzieją się w gminach. Szkoła – choć tutaj mamy dużo do zrobienia. Przyjaźń. Przebywanie wśród ludzi i w miejscach wspierających.

Pamiętam, jak w pierwszych dniach pełnoskalowej wojny stałem na Dworcu Głównym w Krakowie, wśród tłumu imigrantów z Ukrainy, i płakałem. Przyszło mi wtedy do głowy, że jestem tu w równym stopniu dla tych ludzi, jak dla siebie, bo nie wiem, co zrobić z emocjami. Wolę pomóc niż siedzieć w domu, bo rozrywa mnie lęk. Ale zaraz potem pomyślałem, że właśnie dlatego ten zbiorowy entuzjazm prędzej czy później obróci się przeciwko tym, którym tak ochoczo pomagamy.

To prawda, że chcemy pomagać, żeby pomóc także sobie. Nie ma w tym niczego złego, że czujemy się dzięki temu lepiej. Możemy wtedy odczuwać smutek, ale i radość, gdy nasze działanie niesie drugim ulgę. Badania pokazują, że chęć pomocy rośnie, jeżeli widzimy jej pozytywne rezultaty.

To prawda, że chcemy pomagać, żeby pomóc także sobie. **Nie ma w tym nic złego, że czujemy się przez to lepiej.**

Ale prawdą jest także, że chętniej pomagamy grupom, z którymi się utożsamiamy. Na początku wojny byliśmy przekonani, że my też możemy się znaleźć w takiej sytuacji jak Ukraińcy, więc łatwo było się z nimi zidentyfikować. Potem nastąpiło wypalenie, bo ludziom zabrakło zasobów. Przeznaczali na pomoc bardzo dużo czasu oraz np. swoje mieszkania i w pewnym momencie to było za dużo. Zaczęły się pojawiać uprzedzenia wobec uchodźców, ale też relacje o negatywnych doświadczeniach. Politycy zauważyli tę niechęć i zaczęli podsycać emocje społeczne dla własnej korzyści. Wykorzystali ten sam mechanizm, który z początku działał na korzyść Ukraińców – przypomnieli nam, że „to nie nasza grupa", więc identyfikacja z nią zaczęła maleć.

Szansą na rozładowanie tych napięć i wzrost empatii społecznej jest zainteresowanie konkretnymi osobami.

Rozmowa i poznawanie czyjejś historii zwiększa poziom empatii. Na co dzień spotykam wiele osób z Ukrainy, które pracują w różnych branżach i są szanowane, i myślę, że wielu z nas to docenia. Nie ma jednej granicy, jest tylko szukanie balansu.

Rywalizujemy o uwagę z technologią, za nami pandemia, czas izolacji społecznej, trwa niepokój związany z wojną. Czy grozi nam erozja empatii?

Badania pokazują, że masowe kryzysy stwarzają większe ryzyko wyłączania empatii w sposób nieświadomy, bo chronienie siebie wychodzi na pierwszy plan. Na co dzień spotykamy coraz więcej osób w kryzysie, a sami możemy mieć nadszarpnięte zasoby z powodu ilości zagrożeń wokół. To się odbija zwłaszcza na najmłodszych. Z relacji psychologów i nauczycieli szkolnych, choć nie ma tu statystyk, wynika, że dzieci w kryzysie jest teraz zatrważająco dużo. Pedagodzy sami są wyczerpani. Potrzebują kogoś, kto by ich wspierał, gdy wzbiera spirala potrzeb. A tego wsparcia jest bardzo mało.

MATERIAŁY PRASOWE

MAŁGORZATA GAMBIN jest profesorem w Katedrze Psychologii Klinicznej Dziecka i Rodziny na Wydziale Psychologii UW. Bada rolę relacji rodzinnych, mentalizacji i regulacji emocji w rozwoju oraz zdrowiu psychicznym dzieci i młodzieży. Ma doświadczenie kliniczne i terapeutyczne w pracy z dziećmi i rodzinami. Współtworzy zespół SocLab, współpracuje z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę, koordynowała grupę „Psychologiczne Aspekty Pandemii".

Nie chcę idealizować przeszłości, bo kiedyś też były wojny i epidemie, ale czy gdy się żyło w plemiennej społeczności, w otoczeniu krewnych, prościej było oswoić świat?

Tak. Dlatego musimy teraz walczyć o te relacje mimo wszystko. A nawet o uwagę, o którą coraz trudniej w świecie zdominowanym przez ekrany. Niedostępni rodzice wychowują niedostępne dzieci. Niewiele jest podwórkowych relacji wśród nastolatków. Więc rzeczywiście, ryzyko słabszych więzi społecznych jest o wiele większe.

A może za bardzo demonizujemy te ekrany? Może każde pokolenie doświadczało jakiegoś skoku technologicznego i ludzi zawsze to przerażało?

Współczesna technologia stwarza na pewno dużo wyzwań. Chociaż czasami myślę, że jeśli nie mamy do kogo się zwrócić w trudnej sytuacji, porozmawianie w chatbotem nie zawsze musi być złe. Jest natomiast ryzykowne, bo grozi uzależnieniem emocjonalnym. Znowu: wszystko jest kwestią proporcji. Zależy od tego, w czyich rękach znajdzie się dane narzędzie. Tak jak z empatią – technologia to też ryzykowny zasób.

W buddyzmie uczy się serii medytacji o nazwie Brahma Vihary, które służą świadomemu rozwijaniu życzliwości dla drugiego człowieka, współradowania się jego radością i współodczuwania jego cierpienia. Ale pierwszym etapem każdej z tych medytacji jest życzliwość dla siebie.

Różne wątki z buddyzmu rzeczywiście są coraz częściej wykorzystywane jako metody terapeutyczne, tyle że w oderwaniu od religii. W terapii poznawczo-behawioralnej coraz bardziej popularne są metody tzw. trzeciej fali: trening uważności oraz terapia oparta na akceptacji i zaangażowaniu, częściowo inspirowane buddyzmem. Punktem wyjścia jest akceptacja tego, czego doświadczamy, bycia na to uważnym. I to się łączy z wątkiem empatii, bo punktem wyjścia jest uważność na siebie.

Dopiero świadomy swoich emocji człowiek, który potrafi je w sobie „pomieścić", ma przestrzeń na emocje innych?

Tak. Jest tu pewne ryzyko, żeby nie zapaść się w uważności wyłącznie na siebie. Dlatego uczy się przy tym uważności na innych, choćby poprzez trening uważnego słuchania.

Czy empatia nie jest przypadkiem luksusem klasy średniej, która ma czas i zasoby na terapię, medytację i mindfulness?

Myślę, że w dużym stopniu jest, ale pojawia się coraz więcej ogólnodostępnych inicjatyw gminnych i lokalnych. Przybywa warsztatów i treningów. Badania pokazują, że najefektywniejsze jest uczenie się tych umiejętności w grupach, właśnie poprzez wczuwanie się w sytuację innych ludzi. I to się powoli zaczyna dziać, np. w szkołach. Z badań wynika też jednak, że wykształcenie rodziców wiąże się z poziomem empatii i umiejętności mentalizacji poznawczej, to jest wyobrażania sobie sytuacji drugiego. Choć oboje wiemy, że to generalizacja. Każda rodzina ma swoją specyfikę.

Co robić w warunkach domowych?

Świadomie wykazywać się zainteresowaniem drugą osobą, rozmawiać. Być uważnym, odłożyć telefon. Trzeba zacząć od małych kroków, usiąść i posłuchać bliskiej osoby, spróbować zrozumieć. Przyjmować, ale nie naprawiać. I szanować, gdy druga strona nie ma akurat ochoty na rozmowę. Nie chodzi o to, żeby stać się nagle empatycznym na siłę, tylko zachowywać się adekwatnie do potrzeb bliskich. Szukać wspólnej przestrzeni.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

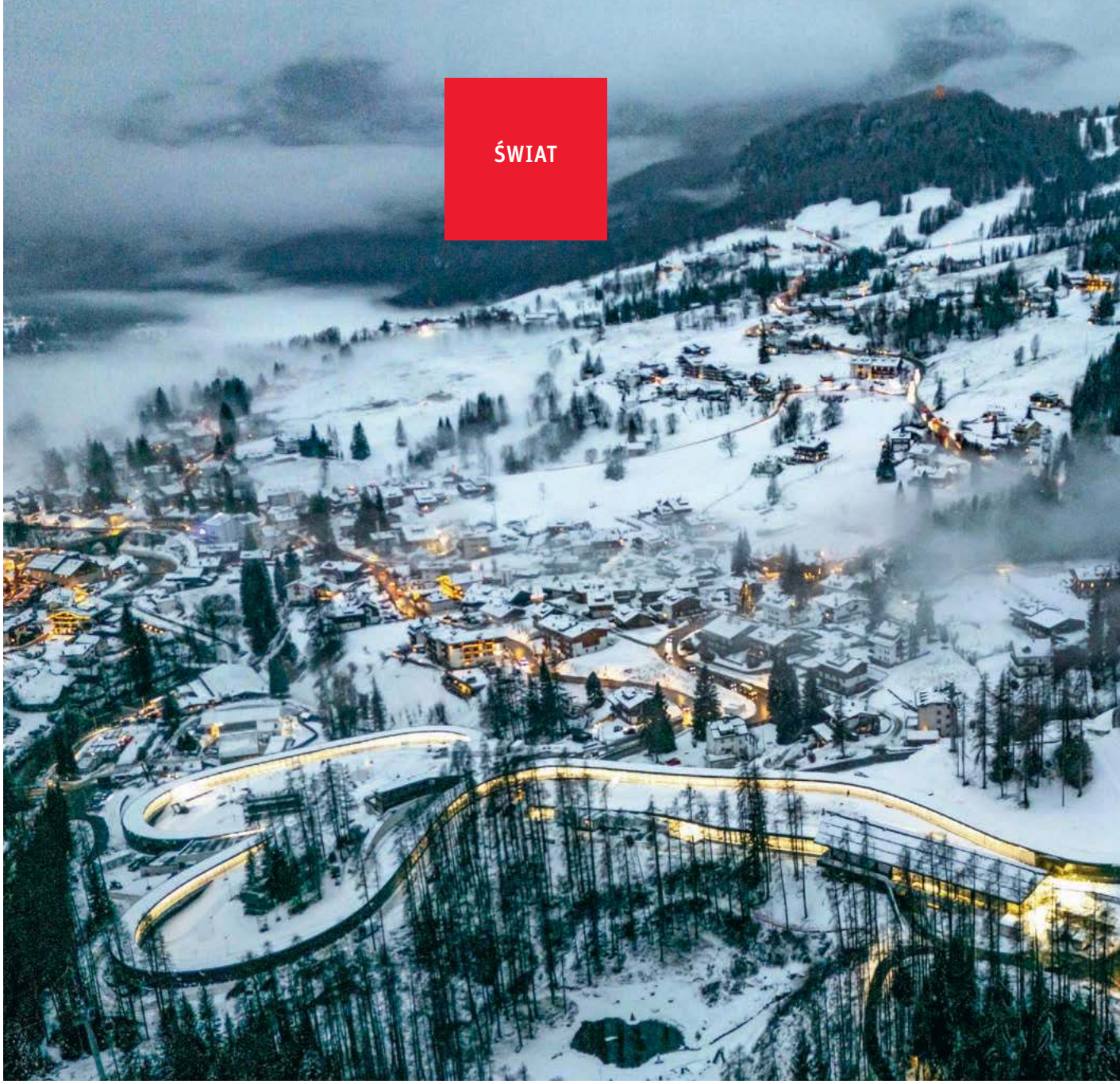

NARCIARKI Z KRWI I TYTANU

To nie Polacy zawojują igrzyska olimpijskie, zaczynające się 6 lutego we Włoszech. Skupmy się więc na największych postaciach zimowego sportu, jego kanonicznej dyscyplinie i miejscu, gdzie zabije serce imprezy.

BARTEK DOBROCH Z CORTINA D'AMPEZZO

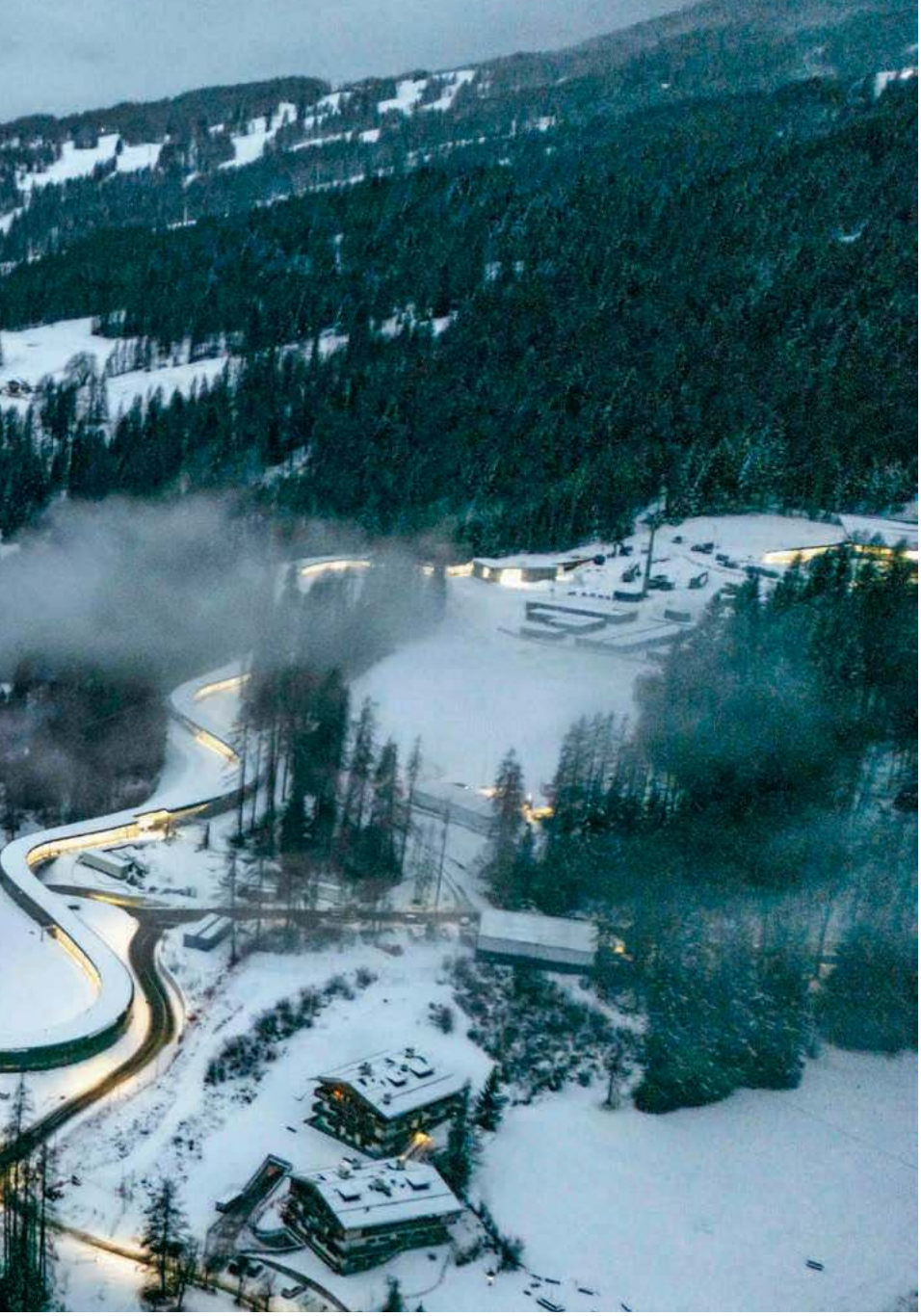

ODD ANDERSEN / AFP / EAST NEWS

Olimpijski tor saneczkowy, na którym będą rozgrywane zawody w saneczkarstwie i bobslejach podczas tegorocznych Zimowych Igrzysk Olimpijskich. Cortina d'Ampezzo, 24 stycznia 2026 r.

Żółte znaki przy drogach prowadzących z czterech stron świata do tego miasteczka, wciśniętego w dolinę otoczoną szczytami Dolomitów, informują o zakazie wjazdu od 1 lutego przez cały czas trwania XXV Olimpiady, a także podczas – następujących po niej w marcu – Zimowych Igrzysk Paraolimpijskich.

Auto będzie trzeba zostawić na jednym z oddalonych nawet o godzinę drogi parkingów i przesiąść się na autobus. Ma to uzasadnienie: sześciotysięczna Cortina d'Ampezzo – miasteczko mniejsze i ciaśniejsze niż Zakopane, z jednokierunkową drogą objeżdżającą centrum niczym rondo – nawet w zwykłe dni stoi w korkach.

Przygotowania w pośpiechu

Przez 70 lat, od kiedy Cortina d'Ampezzo po raz pierwszy gościła zimowe igrzyska, te rozrosły się do rozmiarów, przy których miejscowość ta nie byłaby w stanie zorganizować ich samodzielnie. Stąd status tytularnego współgospodarza wraz z Mediolanem (niekojarzącym się przecież z zimą), a także rola historycznego serca tych igrzysk.

Lecz nawet z mediolańską pomocą miasto ledwie sobie radzi. Wprawdzie zdążyło odmalować skocznię narciarską z 1956 r. – tę, na której Franciszek Gąsienica Groń w kombinacji norweskiej skakał po pierwszy zimowy medal olimpijski dla Polski. Niebawem w Cortinie powalczy o niego w narciarskim gigancie Maryna Gąsienica-Daniel, która w tym sezonie zbliżała się już do podium Pucharu Świata.

Jednak dziś, na kilkanaście dni przed otwarciem igrzysk, prace wciąż trwają. Robotnicy w pośpiechu malują pasy na drodze do centrum. Przyjezdnych wita las dźwigów i żurawi. Wyrastają nad – oprotestowaną przez mieszkańców – przebudową byłego stuletniego dworca kolejowego i budową kolejki linowej Apollonio-Socrepes, prowadzącej z centrum Cortiny w rejon tras narciarskich pod Tofanami (budowę podjęto mimo braku ekspertyz geotechnicznych). To na nich skupi się wkrótce uwaga sportowego świata.

Powrót do Europy

Choć kryzys Zimowych Igrzysk Olimpijskich jest wprost proporcjonalny do kryzysu klimatycznego, skutkującego coraz słabszymi zimami, to jednak igrzyska, zaczynające się w piątek 6 lutego, mają szansę mu tymczasowo zaprzeczyć. Po 20 latach zmagania olimpijskie wracają do geograficznej i jednocześnie kulturowej Europy.

Ceremonia otwarcia po raz pierwszy w historii ma odbyć się w kilku miejscach naraz: na głównej arenie – stadionie San Siro w Mediolanie – oraz w miasteczkach północnych Włoch, w tym w Cortinie. Unikalne w nowożytnej historii igrzysk ma być też ich zamknięcie – w starożytnym amfiteatrze w Weronie.

Natomiast spośród sportowych wydarzeń, które wypełnią dwa tygodnie pomiędzy nimi, wyróżniają się: turniej hokeja (z powracającymi na igrzyska po 14 latach zawodnikami ligi NHL), łyżwiarstwo figurowe (z reprezentującym USA Ilią Malininem, rekordzistą w wykonywaniu poczwórnych skoków podczas jednego programu), konkursy skoków narciarskich (z dominującym w tym sezonie słoweńskim rodzeństwem Niką i Domenem Prevcami), a także olimpijski debiut skialpinizmu.

Najwięcej uwagi skupi na sobie bez wątpienia narciarstwo alpejskie i jego amerykańskie przedstawicielki: Mikaela Shiffrin (prześcigająca własny rekord ↦

↦ w liczbie zwycięstw) i Lindsey Vonn, która na igrzyska powraca po ośmiu latach przerwy.

Już sam jej start na tych Zimowych Igrzyskach można by uznać za zwycięstwo – talentu, pasji, determinacji, tytanicznej pracy i ortopedii XXI stulecia.

Zjawisko Lindsey Vonn

Do tego, aby wrócić na zjazdowe trasy, 41-letnią Amerykankę motywowała szansa na olimpijskie podium. Stała na nim już trzykrotnie, ale tylko raz na najwyższym stopniu (16 lat temu w Vancouver). To musiało budzić niedosyt u seryjnej zwyciężczyni.

Lindsey Vonn to bowiem czterokrotna zdobywczyni Kryształowej Kuli, czyli trofeum za wygranie klasyfikacji generalnej w sezonie Pucharu Świata, rekordzistka w liczbie ośmiu zwycięstw w klasyfikacji zjazdu oraz w liczbie wszystkich wygranych zjazdów Pucharu Świata. Łącznej liczby jej miejsc na podium nie ma sensu podawać, bo licznik wciąż tyka.

Rok po tym, jak wróciła do ścigania – i pięć lat po pierwszej decyzji o zakończeniu kariery – Vonn przeżywa renesans formy. Pięć pierwszych zjazdów Pucharu Świata kończy na podium. Gdy w grudniu 2025 r. wygrywa w St. Moritz, nie kryje łez podczas amerykańskiego hymnu. Od poprzedniego zwycięstwa dzieli ją 7 lat, 8 miesięcy i 29 dni. W wieku 41 lat jest najstarszym zwycięzcą zawodów Pucharu Świata w narciarstwie alpejskim.

Brak feminatywu jest tu zamierzony, gdyż Amerykanka detronizuje w statystykach mężczyzn. I dokona tego także, jeśli zdobędzie teraz medal olimpijski. Bo wśród kobiet może przebić w statystyce tylko siebie – już osiem lat temu w Pjongczangu była najstarszą narciarką alpejską na olimpijskim podium.

Życie z chronicznym bólem

Sukces Lindsey Vonn sięga jednak daleko poza ramy jej dyscypliny czy w ogóle sportów zimowych.

Historia sportu zna wprawdzie przypadki triumfów odniesionych po czterdziestce. Ale nieliczne po powrocie do sportu po poważnych kontuzjach – i w dodatku w nieporównywalnych dyscyplinach, niewymagających takiego ryzyka. Wcześniej w golfie taki comeback zaliczył Tiger Woods (prywatnie ekspartner Vonn). Po czterdziestce i licznych urazach pierwsze skrzypce w swojej drużynie grał też nadal koszykarz LeBron James.

BARTEK DOBROCH

Lindsey Vonn podczas Pucharu Świata w zjeździe. Tarvisio, Włochy, 17 stycznia 2026 r.

Wśród kobiet trudniej wskazać podobne przypadki, ale i na męskim tle Vonn jest kimś niezwykłym.

W 2019 r. postanowiła zakończyć sportową karierę, którą prócz zwycięstw znaczyły wypadki. Zwłaszcza ten w 2013 r., na mistrzostwach świata w austriackim Schladming. Realizatorzy nie szczędzili wówczas widzom powtórek z koszmarnego upadku po skoku na trasie supergiganta, gdy zsuwała się po śniegu, krzycząc z bólu.

Po latach zaczęły odzywać się odniesione kontuzje – m.in. dwukrotne zerwanie ACL (więzadła krzyżowego przedniego), zerwanie MCL (więzadła pobocznego piszczelowego), złamania kości piszczelowej – oraz dziewięć operacji kolana. Żyła z chronicznym bólem, który nie pozwalał jej na aktywność fizyczną nawet w postaci dłuższego spaceru po płaskim terenie.

„Jeszcze nie koniec"

Wiosną 2024 r. Lindsey Vonn przeszła innowacyjną operację. Chirurg ortopeda Martin Roche za pomocą precyzyjnego robota zastąpił uszkodzone fragmenty stawu kolanowego tytanowymi implantami. Już po tygodniach ból ustąpił. Kilka miesięcy później Vonn wznowiła treningi.

Jej decyzja o wznowieniu kariery nie spotkała się z powszechnym entuzjazmem. „Zupełnie oszalała", „powinna iść do psychologa", „nie rozpoznała sensu i celu innego życia" – takie komentarze padały nie ze strony internetowych hejterów, lecz dawnych mistrzów narciarstwa.

„To jeszcze nie koniec, póki się nie skończy" – odpowiadała Vonn cytatem z filmu o bokserze Rockym. Pierwszy sezon po powrocie, pełen zmiennych wyników, zakończyła miejscem na podium.

Pragnienie zamknięcia ust krytykom stało się dla niej dodatkową motywacją. Ale główną była jednak miłość do nart, na których jeździ od trzeciego roku życia, i bakcyl rywalizacji.

Z Minnesoty do Kolorado

Vonn pochodzi ze stanu Minnesota, gdzie nie ma gór, jedynie pagórki. Zimy są za to długie, śnieżne i surowe. Stoki takie jak Buck Hill, na którym dorastała, są wprawdzie ledwie stumetrowe, ale twarde, zlodzone – jak współczesne trasy zawodów zjazdowych.

Jej ojciec, Alan Kildow, był w juniorskich czasach obiecującym narciarzem i pierwszym trenerem córki, której kariera wymagała też finansowej determinacji. Rodzina nie należała do bogatych, a sport ten już wtedy w Stanach nie należał do tanich – choć nie przejęły go jeszcze w pełni korporacje windujące ceny karnetów i szkoleń do poziomu najwyższych na świecie.

Kończyła się epoka romantycznego narciarstwa, tego dającego szanse buntownikom z prowincji – takim jak Bode Miller i Picabo Street, wychowywani w niekonwencjonalnych, antysystemowych domach.

Spotkanie dziewięcioletniej Lindsey z Picabo Street – pochodzącą z narciarskiego Dzikiego Zachodu, dziś 54-letnią sportową idolką, o której po latach opowie w filmie dokumentalnym – obudziło w niej olimpijskie marzenie. Gdy w 1996 r. Street zdobywała mistrzostwo świata w zjeździe, rodzina Lindsey przeprowadziła się do Vail w stanie Kolorado, jednego z największych ośrodków narciarskich w USA.

Wczesny błysk geniuszu

Rok wcześniej, w 1995 r., przyszła w nim na świat Mikaela Shiffrin, córka lepiej sytuowanej pary medyków.

W jej historii nie ma tylu dramatycznych zwrotów, co w biografii Vonn. Jest za to wczesny błysk geniuszu i akces do światowej czołówki w wieku zaledwie 16 lat. Jest także prześcignięty przez Mikaelę Shiffrin już trzy lata temu rekord Ingmara Stenmarka w liczbie 86 zwycięstw w Pucharze Świata. W sumie przed zaczynającymi się teraz igrzyskami we Włoszech ma ich już 107.

Jest również wszechstronność, potwierdzona – podobnie jak w przypadku Vonn – zwycięstwami we wszystkich narciarskich konkurencjach. Ale też coraz ściślejsza specjalizacja w konkurencjach technicznych, zwłaszcza w slalomie, w którym w tym sezonie wygrywa siedem z ośmiu dotychczasowych zawodów, a tym samym Małą Kryształową Kulę za klasyfikację konkurencji.

Wyniki, regularność i bliska perfekcji technika, z jaką Mikaela Shiffrin pokonuje slalomowe bramki, stawiają ją w roli murowanej faworytki. Co jednak niekoniecznie zawsze przekłada się na sukces na igrzyskach.

Reflektory na kobiety

Dawny świat narciarstwa alpejskiego traktował starty kobiet we wszystkich konkurencjach równościowo – w przeciwieństwie do innych zimowych dyscyplin, jak skoki, kombinacja norweska, bobsleje.

Jednak emancypacja była pozorna. Bo sięgająca poza stoki sława przypadała głównie mężczyznom. W drugiej połowie XX w. ikonami tego sportu stawali się narciarze: Jean-Claude Killy, Ingemar Stenmark, Pirmin Zurbriggen, Alberto Tomba, Hermann Maier, a potem Aksel Lund Svindal (trenujący dziś Vonn). Narciarki, nawet tak znakomite jak Vreni Schneider, pozostawały w ich cieniu.

Dziś nadal męskie zawody zjazdowe w Wengen i Kitzbühel gromadzą wielokrotnie większą publikę na trybunach i wokół mety, a wygrywający co czwartą rywalizację Szwajcar Marco Odermatt jest godnym następcą wymienionych.

Ale to na nich, na narciarkach, skupia się mocniej uwaga mediów tradycyjnych i społecznościowych. Śledzą one życie Mikaeli Shiffrin – to podporządkowane nartom i to prywatne (związek z norweskim mistrzem Aleksandrem Aamodtem Kilde). Lubią Lindsey, która dba o swój wizerunek i przypomina wyglądem gwiazdę Hollywood, choć motywacyjny poradnik tytułuje hasłem „Siła jest nowym pięknem".

Dyscyplina ryzykowna

Status sportowej ikony, jakim cieszy się dziś Lindsey Vonn, potwierdza okładka magazynu „Time" z listopada 2025 r., na której się znalazła. Do międzynarodowego grona jej kibiców należą zainspirowane nią gwiazdy innych sportów. W tym – ze wzajemnością – Iga Świątek. Jej definitywnie ostatni, jak podkreśla, sezon przypomina pożegnalne tournée gwiazdy rocka.

We włoskim Tarvisio, goszczącym ponownie po 15 latach najlepsze alpejki, Vonn filmuje się z grupą Austriaków skandujących jej nazwisko. W niemieckojęzycznych mediach Amerykanka, spędzająca sporą część życia w Alpach, odpowiada po niemiecku. Pytana o motywacje powrotu, mówi o niezastąpionym dreszczu emocji, który daje szybka jazda na nartach. Na trasie w Tarvisio pędzi z najwyższą prędkością w całej stawce: 136 km/h.

To, co przyciąga do narciarstwa zjazdowego, sprawia też, że należy ono nadal (obok kolarstwa szosowego) do najbardziej wypadkowych i niosących ryzyko poważnych urazów sportów tradycyjnych. Tylko w ostatnich dwóch latach podczas sesji treningowych zginęło dwoje młodych włoskich zjazdowców.

Poważne wypadki podczas jesiennych treningów wykluczyły z udziału w obecnych igrzyskach włoską mistrzynię świata Martę Bassino i szwajcarskie mistrzynie olimpijskie Michelle Gisin i Larę Gut-Behrami.

Rollercoaster kariery Vonn jest też bliski wypadnięcia z wirażu tuż przed ostatnią olimpijską prostą. W piątek 30 stycznia wpada ona w siatki zabezpieczające trasę odwołanego później zjazdu w Crans-Montana. Wstaje, wpina narty, zjeżdża ostrożnie do mety, z której jednak na badania do szpitala zabiera ją helikopter.

Trasa spektakularnej urody

Jeśli tylko kolana Vonn pozwolą jej na piąty olimpijski start, jej główną rywalką na olimpiadzie w Dolomitach będzie więc znów Sofia Goggia, mistrzyni olimpijska w zjeździe z Pjongczangu. Włoska wojowniczka, która słynie z agresywnej techniki jazdy – atakuje linie i bramki, jakby stok był pochyłym oktagonem. Potrafiła wygrać zjazd, jadąc ze złamaną dzień wcześniej na trasie ręką.

Oprócz niej największe szanse na to, aby prześcignąć weterankę Vonn, mają narciarki, które stawiały pierwsze kroki na nartach albo uczyły się chodzić w czasie, gdy ona, jeszcze jako Lindsey C. Kildow (nazwisko Vonn zachowa po byłym mężu), zjeżdżała po raz pierwszy na pucharowe podium. Było to w styczniu 2004 r. w Cortinie na trasie Olympia delle Tofane, na której potem wygrywała aż dwunastokrotnie.

Wytyczono ją na igrzyska w 1956 r., a rywalizowali wówczas na niej w zjeździe mężczyźni. Od lat 90. XX w. zmagają się tam najlepsze alpejki. Urodą trasa ta konkurować może tylko z trasą męskiego zjazdu w Wengen.

Budkę startową zjazdu widać tutaj ponad górną stacją wyciągu, który wywozi narciarzy ponad schronisko Pomedes. Po kilku skrętach narciarki osiągają najbardziej spektakularny moment – Tofana Schuss, skok między skałami. Już w lesie, wpadają w krętą Deltę i Gran Curvone, aby po 2,5 km wjechać na metę.

To będą piękne igrzyska

W Cortina d'Ampezzo mety przygotowań olimpijskich wciąż nie widać. Przynajmniej tyle, że wreszcie pada śnieg, oczekiwany od końca grudnia. Przykryje zegar na centralnym Piazza Angelo Dibona, który od roku odmierza czas do rozpoczęcia igrzysk. Przykryje deptak ze sklepami luksusowych marek (oferują kurtki narciarskie za 5 tys. euro).

Przykryje też zamarznięte błoto na parkingach pod trasami i wokół ukończonych na ostatnią chwilę obiektów: hali lodowej i toru saneczkowo-bobslejowego. Ten ostatni budzi kontrowersje: przy jego budowie wycięto 800 modrzewi. Wbrew szumnym zapowiedziom organizatorów, igrzyska nie będą zrównoważone. Bałagan, budowlane porażki i niedoróbki usuną za to być może w cień włoska atmosfera i starty mistrzów oraz mistrzyń.

Startujący 20 lat temu na igrzyskach w Turynie zawodnicy pamiętają betoniarki, które pracowały jeszcze w dniu przyjazdu sportowców. Walcząca tam o medal Justyna Kowalczyk-Tekieli komentuje: „Włosi już tak mają. To będą piękne igrzyska". © BARTEK DOBROCH

Upadek Rożawy

KRZYSZTOF STRACHOTA

BLISKI WSCHÓD | Niespełna dwa tygodnie wystarczyły, by kurdyjskie parapaństwo w Syrii – Demokratyczna Autonomiczna Administracja Północno-Wschodniej Syrii, potocznie Rożawa – właściwie przestało istnieć. Ale czy to naprawdę koniec legendy?

Walki w Aleppo wybuchły 5 stycznia. Cztery dni później ewakuowane zostały stamtąd ludność cywilna i kurdyjskie siły zbrojne. Potem, 13 stycznia, syryjskie siły rządowe przekroczyły Eufrat, aby w ciągu kolejnego tygodnia zająć ponad połowę terenów kontrolowanych dotąd przez Kurdów i otoczyć ich główne miasta.

Szkolone i zbrojone w ostatnich latach przez Amerykanów, kurdyjskie siły cały czas są w odwrocie. Kurdowie stracili zarówno naturalne linie umocnień, jak i wszystkie złoża naftowe i gazowe (to była podstawa ich gospodarki – i zarazem 80 proc. zasobów całej Syrii).

Nie bronią ich Amerykanie. Swoje bazy w Syrii ewakuują Rosjanie. Tylko kolejne zawieszenia broni, regularnie łamane, spowalniają nieco tempo ofensywy armii rządowej. W chwili pisania tego tekstu, 28 stycznia, Kurdowie kontrolują jeszcze Hasakę, Kamyszli i zwłaszcza Kobane – ich ostatni przyczółek, na którym dekadę temu zatrzymał się walec Państwa Islamskiego.

Czy to koniec enklawy, w której Kurdowie mogli wreszcie poczuć się u siebie?

PIĘKNY SEN | Z zachodniej perspektywy Rożawa jawiła się jako niemal idylliczna kraina. Była skrawkiem stabilności w początkowym okresie wojny domowej w Syrii, zapowiedzią bezpiecznego azylu dla umęczonych historią Kurdów.

Była też pięknym snem lewicy, wcielającym w życie sny o demokratycznym konfederalizmie, równości (w tym o spektakularnym w tym regionie równouprawnieniu kobiet), o postępie i ekologii.

Była pięknym snem o walce z brutalnością wojującego islamu w wydaniu Państwa Islamskiego oraz z tureckim „neoimperializmem", Kurdowie zaś byli najwierniejszym sojusznikiem USA w zwycięskiej wojnie z dżihadystami.

Była snem o wielonarodowościowym „państwie", sprawnym systemie administracji i silnej (a przy tym pięknej, dzięki kurdyjskim „amazonkom") armii i sprawnej dyplomacji (jednoczesna współpraca z USA, Rosją, Iranem i Izraelem).

OGIEŃ I WODA | Dziś Rożawa pada przed armią syryjską. Zostając w konwencji legendy o Rożawie – armią „złożoną z byłych dżihadystów" (jest nim obecny prezydent Syrii Ahmed al-Szara), uważanych za „tureckich najemników" (jej oddziały tworzone były przy wsparciu tureckim, od lat walczyły z Kurdami).

Zarówno nowa armia syryjska, jak też w ogóle nowa Syria pojawiają się od roku w mediach zachodnich głównie przy okazji ostrych konfliktów: błyskawicznego obalenia reżimu Asada (grudzień 2024 r.), krwawego tłumienia „powstania" alawitów (marzec 2025 r.) i nie mniej krwawych walk z druzami (lipiec 2025 r.). Łatwo – zwłaszcza na tle legendy Rożawy – przypiąć im łatkę fundamentalistów w garniturach, dżihadystów w mundurach, klientów Turcji.

Mówiąc nieco innym językiem: kategoryczny postulat zunifikowanej Syrii, silny rys islamski/sunnicki nowego rządu w Damaszku, a także obecny tutaj arabski nacjonalizm – wszystko to nie brzmi miło i nie zapowiada spokoju. Jakby na to nie patrzeć, dzisiejsza Syria po Asadzie jest antytezą Rożawy. Są ogniem i wodą, które razem być nie mogą.

POWRÓT SYRII | Jakkolwiek legendy i mity są potrzebne (i przechowują wiele prawd), nie tłumaczą one wszystkiego. Tak jest również dziś.

Przede wszystkim: w ciągu roku doszło do powstania w Syrii realnego i sprawczego organizmu państwowego. Choć problemów jest tu bezmiar – brak kontroli nad terytorium, obce wojska (izraelskie, tureckie, amerykańskie, rosyjskie), słabe kadry oraz instytucje (choć coraz sprawniejsze, to na pewno nie spełniające standardów demokracji liberalnej), a także obawy mniejszości – jest to jednak nadspodziewanie sprawne państwo.

Jest ono także coraz bardziej bezalternatywne dla ogółu syryjskiego społeczeństwa. Jest wiarygodne dla najważniejszych graczy zewnętrznych, czego miarą jest m.in. znoszenie sankcji i intensywne z nim kontakty dyplomatyczne.

Jest to wreszcie coraz sprawniejsza armia i z każdym kryzysem coraz bardziej zdyscyplinowana. Choć dziś w Rożawie dochodzi do przestępstw, a być może i zbrodni wojennych, nie jest to już ta skala, co podczas walk z druzami i alawitami. Zajmowanie Rożawy to kombinacja operacji wojskowych i negocjacji z przeciwnikiem, mediacji USA oraz Kurdów irackich. To wreszcie względnie hojna oferta polityczna: praw dla Kurdów i struktur kurdyjskich.

ZA KULISAMI | Również po stronie kurdyjskiej spod legendy prześwitują poważne problemy. Na obszarach całej autonomii Kurdowie byli mniejszością (od 30 do 50 proc. ludności) wśród plemion arabskich. Sama Rożawa – dotąd relatywnie bogata, uporządkowana i stabilna – jest rządzona bardzo silną ręką przez Partię Unii Demokratycznej (PYD), za pośrednictwem instytucji mieniących się demokratycznymi. Armia kurdyjska zaś, tj. Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF), jest zdominowana przez Powszechne Siły Ochrony (YPG).

Zarówno PYD, jak i YPG są silnie związane z Partią Pracujących Kurdystanu, z bazą w irackim Kandilu, z silnym kadrowym wkładem w Rożawę.

Sukces ofensywy rządowej wynika tyleż z czynnika wojskowego, co z zaostrzenia i rozegrania napięć w samej Rożawie – plemiona i oddziały arabskie wsparły Damaszek (co przyniosło krwawe pacyfikacje ze strony YPG) i zepchnęły Kurdów na obszary etnicznie przez nich zdominowane. Jednocześnie zaostrzyły się podziały między syryjskimi Kurdami (bardziej skłonnymi

THOMAS NOONAN / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy armii kurdyjskiej z flagami Kurdystanu i Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF). Hasaka, Syria, 24 stycznia 2026 r.

do kompromisu) a kadrami spoza Syrii (bliższymi PKK).

HYBRIS | Obecny kryzys jest też przejawem straconych okazji oraz kary za mityczną *hybris* – grzech pychy. Integracja Rożawy z resztą Syrii była banalną oczywistością po upadku Asada. Gotowość deklarowały obie strony, aktywnie wspierali tę ideę Amerykanie, chroniąc zarazem Rożawę przed turecką ofensywą.

Ugodę obie strony przyjęły w marcu 2025 r. Potem termin realizacji odkładano na sierpień, październik, grudzień...

Jeszcze w początku stycznia Kurdowie mogli otrzymać prawo do trzech własnych dywizji stacjonujących u siebie (w ramach armii syryjskiej), stanowiska ministerialne, prawa kulturalne. Odmówiono im formalnej autonomii (ze strachu przed efektem domina i pod presją Turcji), prawa do kontroli granicy i złóż ropy oraz nakazano wyjazd zagranicznych bojowników (z PKK). Dla Kurdów to było za mało.

Także obecny kryzys zaczął się od kurdyjskich ataków na siły rządowe w Aleppo, a nie odwrotnie. W walkach zaś obie strony używały artylerii, której w mieście SDF formalnie nie miały od kwietnia. Dwa rozejmy podpisywane po 5 stycznia były również łamane przez SDF.

Dlaczego tak jest? Na pewno Kurdowie mają dużo do stracenia i nie ufają Damaszkowi. Na pewno istnieje także wspomniany już ostry konflikt między bardziej skłonnymi do kompromisu Kurdami syryjskimi a oddziałami związanymi z Kandilem, który kompromisy odrzuca. Na pewno też Kurdowie przecenili swoje siły militarne – mit silnej i zmotywowanej armii poważnie się zachwiał.

TO NIE KONIEC | Kryzys daleki jest od zakończenia – formalnie do 8 lutego obowiązuje rozejm i trwają negocjacje. Rożawa jeszcze nie została w całości zajęta przez siły syryjskie. Kurdyjskie oddziały są zdezorganizowane, osłabione przez napięcia wewnętrzne, „dezercję" plemion arabskich i zepchnięte do swojego matecznika – ale wciąż są groźne.

Być może czekają nas krwawe walki, może Kobane (lub inne miejsce) potwierdzi legendę bastionu, który oparł się Państwu Islamskiemu. Do Rożawy przenikają ochotnicy. Damaszek demaskuje magazyny, mające świadczyć o przygotowaniach do działań terrorystycznych. Wojna lubi płatać figle – może nagle zmieni się koniunktura.

Jednak niemal na pewno nie do odtworzenia jest Demokratyczna Autonomiczna Administracja Północno-Wschodniej Syrii jako niezależne parapaństwo – niewyobrażalne jest odzyskanie terytorium, kontroli nad ludźmi, wreszcie złożami ropy i gazu, które gwarantowały ekonomiczne podstawy odrębności.

SŁOŃ W POKOJU | Tymczasem trwa piękny sen Ahmeda al-Szary: w ciągu roku Syria wyrosła na relatywnie dojrzały organizm, który jest atrakcyjny dla silnych graczy zewnętrznych (bardziej niż sąsiednie Liban i Irak). Rozwiązanie kwestii kurdyjskiej autonomii byłoby jego największym sukcesem od czasu obalenia Asada.

Czy do tego dojdzie? Czy uda się integracja bardzo innego i wymagającego aktora, jakim są Kurdowie? Czy za osobistym talentem i politycznym szczęściem al-Szary nadąża budowa instytucji, a Syria przetrwałaby bez niego? Zobaczymy.

Jest wreszcie słoń w pokoju – USA. Wbrew wszelkim intuicjom i obawom, Amerykanie grają bardzo ambitną i ostrożną grę. Tak jak niegdyś byli patronem historycznego sukcesu Rożawy, tak dziś są patronem sukcesu Szary.

Celem Waszyngtonu wydają się stabilność (a nie np. idealistyczne prokurdyjskie *nation-* i *state-building*), interesy (doraźnie: zapobieżenie odrodzeniu Państwa Islamskiego), środkiem zaś – wypracowanie i narzucenie kompromisu. Od roku ten konflikt-dialog między Kurdami a Damaszkiem odbywa się pod presją i parasolem Amerykanów: każda runda negocjacji i każde obecne zawieszenie broni jest efektem ich nacisków.

CEL AMERYKI | Nie wspomniano tu jeszcze o jednym graczu: w całej tej amerykańskiej układance uwzględniana jest także Turcja – m.in. skutecznie powstrzymywana przez Waszyngton przed ofensywą militarną przeciw Kurdom, a długofalowo potrzebna Stanom jako partner w bliskowschodniej rozgrywce.

Identyczny mechanizm działa w kwestii sporu Damaszku z druzami oraz z Izraelem, który wtargnął do południowej Syrii i ją okupuje oraz wspiera druzów. Także tu nie ma dróg na skróty. Nie ma ani jednostronnego faworyzowania przez Stany jednej ze stron, ani wrzucania pod pociąg drugiej (co dotyczy również Rożawy) – realistyczne rozwiązanie musi się spokojnie utrzeć, a ostatecznie wszyscy muszą liczyć się z Waszyngtonem.

Czy to się uda? Czy USA na trwałe zmieniają swój sposób funkcjonowania w tym regionie? Czy jest to w ogóle do utrzymania w tym napiętym do granic możliwości kawałku świata, przy przerośniętych ambicjach i strachach Izraela, Turcji, Iranu? Zobaczymy. ©

Tekst ukończono 28 stycznia.

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich, koordynatorem „Projektu Środkowy Wschód". Stale współpracuje z „TP".

ANGELINA KATSANIS / AP PHOTO / EAST NEWS

Agenci federalni zatrzymują demonstrantów. Minneapolis, 21 stycznia 2026 r.

Walka o milion

MARTA ZDZIEBORSKA

Po śmierci drugiego demonstranta w Minneapolis amerykański rząd łagodzi działania agentów ICE w tym mieście. Ale nie zanosi się na to, że antyimigracyjna machina Trumpa wyhamuje.

To koszmarny zbieg okoliczności. W styczniu funkcjonariusze federalni zabili dwoje mieszkańców Minneapolis, którzy protestowali przeciw nasilonym łapankom imigrantów. Oboje mieli po 37 lat. Najpierw zginęła poetka i matka trójki dzieci Renée Nicole Good. 17 dni później Alex Pretti, pielęgniarz pracujący na oddziale intensywnej terapii.

W obu przypadkach administracja Trumpa twierdziła, że służby działały w samoobronie. Renée Good zignorowała polecenie, by się zatrzymać, i ponoć próbowała potrącić agenta służb imigracyjnych i celnych (ICE). Za drugim razem, według władz, Alex Pretti podszedł do funkcjonariuszy z bronią. Przeczą temu nagrania zarejestrowane przez świadków. Widać na nich, że mężczyzna trzyma w ręku tylko telefon.

Gdy Pretti leżał już unieruchomiony przez agentów na ziemi, jeden z nich krzyknął, że mężczyzna jest uzbrojony, co sugeruje, że wcześniej nie miano o tym pojęcia. Mimo to, jeszcze bez wstępnego śledztwa, oficjele z ekipy Trumpa okrzyknęli Prettiego „terrorystą", podsycając napiętą już sytuację w Minneapolis.

Demonstranci od tygodni pojawiają się w miejscach spodziewanych aresztowań imigrantów i nagrywają działania służb komórkami. Niektórzy protestowali pod hotelami, gdzie nocują agenci. „Greg Bovino, jesteś zwolniony" – krzyczano 26 stycznia, gdy media podały, że Bovino, dowodzący łapankami w Minneapolis, opuszcza miasto.

Na miejscu zastąpił go Tom Homan, spec od deportacji w ekipie Trumpa, który uchodzi za mniej radykalnego; ma opinię kogoś, kto potrafi dogadać się z gubernatorami i burmistrzami.

KROK W TYŁ | Przetasowania personalne to sygnał, że Biały Dom skalkulował, iż chaotyczne i brutalne działania funkcjonariuszy w Minneapolis to dla niego zbyt duże ryzyko polityczne. Gruntownego śledztwa w sprawie śmierci Prettiego i ustąpienia Kristi Noem, szefowej departamentu odpowiedzialnego za działania ICE, zaczęli domagać się nawet niektórzy republikańscy politycy.

W kontrze do Trumpa stanęły też zwykle lojalne wobec niego organizacje posiadaczy broni palnej. Wpływowe lobby rozjuszyło to, że prezydent i jego sojusznicy twierdzili, iż Pretti nie powinien iść uzbrojony na demonstrację (miał pozwolenie na noszenie broni w miejscach publicznych).

Trump najwyraźniej uznał, że musi ostudzić emocje, by nie zrazić elektoratu Partii Republikańskiej przed tegorocznymi wyborami „połówkowymi" do Kongresu. Ludzi mogą odstraszyć nagrania z Minneapolis, pokazujące, jak agenci ICE powalają demonstrantów na ziemię, pryskają im gazem pieprzowym w twarz i wyciągają ich siłą z aut.

Zmieniające się nastroje widać w sondażach. W ciągu pół roku wśród Amerykanów, w tym także tych z obozu republikańskiego, przybyło osób przekonanych, że działania ICE są zbyt agresywne.

POD LUPĄ | Minneapolis znalazło się w epicentrum polityki imigracyjnej

Trumpa na początku stycznia, gdy Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego skierował tam dodatkowe 2 tys. funkcjonariuszy federalnych.

To zarządzane przez Demokratów miasto przykuło uwagę Trumpa w związku z przekrętami finansowymi z udziałem somalijskiej diaspory. Sprawcy przez lata defraudowali fundusze federalne na pomoc socjalną. Zamiast np. rozdawać posiłki potrzebującym dzieciom, niektórzy kupowali luksusowe auta, jeździli na zagraniczne wycieczki i inwestowali w nieruchomości. Na papierze wszystko się zgadzało, bo fabrykowano dokumentację usług, które nigdy nie zostały wykonane.

Na fali tych afer, badanych przez federalnych śledczych już za rządów Bidena, Trump okrzyknął Minnesotę „centrum prania brudnych pieniędzy" i insynuował, że somalijskie gangi „krążą po ulicach w poszukiwaniu ofiary". Wykorzystał też tę sytuację do ataków na gubernatora Tima Walza, za którego rządów doszło do malwersacji, i na reprezentującą ten stan kongresmenkę Ilhan Omar.

Ta polityczka, somalijskiego pochodzenia, pod koniec stycznia – na fali napięć w Minneapolis – została zaatakowana przez 55-latka na spotkaniu z wyborcami. Mężczyzna miał rzucić się w jej stronę ze strzykawką, gdy wezwała do rozwiązania ICE i ustąpienia z urzędu wspomnianej Kristi Noem.

Jeszcze w grudniu atmosferę wokół somalijskiej diaspory z Minnesoty podkręcił dodatkowo prawicowy youtuber Nick Shirley. W opublikowanym nagraniu twierdził, że amerykańsko-somalijscy właściciele żłobków i przedszkoli defraudują publiczne pieniądze.

W reakcji na ten materiał administracja Trumpa wstrzymała rządowe fundusze na prowadzenie takich placówek w Minnesocie. Kilka dni później ogłoszono zawieszenie 10 mld dolarów środków na programy socjalne w stanach rządzonych przez Demokratów – nie tylko w Minnesocie, także w Kalifornii, Kolorado, Illinois i stanie Nowy Jork. Jako powód podano podejrzenia, iż tam też doszło do nadużyć. Trump zakręcił kurek z pieniędzmi w czasie, gdy do Minneapolis zmierzały już posiłki ICE.

PÓŁ MILIONA | Gdy idzie o deportacje nielegalnych imigrantów, Biały Dom w minionym roku brał na celownik także inne tzw. miasta-azyle, odmawiające współpracy ze służbami imigracyjnymi. Agentów kierowano m.in. do Chicago i Los Angeles. Do tego drugiego miasta, w czasie czerwcowych protestów przeciwko łapankom, Trump bez zgody władz stanowych wysłał gwardzistów, co jeszcze zaogniło sytuację.

Wbrew temu, co twierdzi ekipa Trumpa, agenci aresztują nie tylko nielegalnych imigrantów, którzy popełnili przestępstwa, ale także ludzi bez przeszłości kryminalnej, pracujących w branżach opierających się na imigrantach, jak budownictwo czy rolnictwo. Oprócz Minneapolis, w styczniu skierowano posiłki ICE także do zarządzanego przez Demokratów stanu Maine. Podobnie jak w innych miejscach, nasilona obecność służb sprawiła, że imigranci w obawie przed łapankami przestali chodzić do szkoły i pracy. Jak wynika z danych cytowanych przez „New York Times", w minionym roku z USA deportowano 540 tys. nielegalnych imigrantów. To o połowę mniej niż ambitnie zakładała administracja Trumpa. To także mniejsza skala deportacji niż w dwóch ostatnich latach rządów Bidena, gdy napływ imigrantów na granicę USA-Meksyk był rekordowy.

MODUS OPERANDI | Spośród deportowanych za rządów Trumpa ok. 270 tysięcy to osoby zatrzymane na granicy, a 230 tysięcy wewnątrz kraju. Dodatkowe 40 tysięcy wyjechało z własnej woli, korzystając z oferowanych przez rząd „dopłat". Jak wylicza nowojorski dziennik, aresztowań „wewnętrznych" było więcej niż za czteroletnich rządów Bidena, co pokazuje *modus operandi* obecnej administracji.

Dla jasności: agenci ICE nie od dziś prowadzą działania w amerykańskich miastach. Oprócz współpracy z lokalnymi więzieniami, skąd przechwytują przebywających już w areszcie nielegalnych imigrantów, zatrzymują także ludzi na ulicach, w domach i miejscach pracy.

Gdy mieszkałam w kalifornijskim San Diego, słyszałam od imigrantów, że ich bliscy żyjący w Stanach nielegalnie unikają np. jazdy kolejką podmiejską, bo tam jest większe ryzyko legitymowania przez służby. To było za pierwszych rządów Trumpa, już wtedy znanego z twardej polityki imigracyjnej.

Po powrocie do władzy kazał podkręcić tempo łapanek, a jego administracja zerwała z polityką, która chroniła przed aresztowaniami w szkołach i kościołach. Do zatrzymań w miejscach publicznych w 2025 r. najczęściej dochodziło w Kalifornii, Illinois i stanie Nowy Jork, gdzie lokalne więzienia współpracują z ICE tylko w ściśle określonych przypadkach.

W BONUSIE | Za machiną deportacyjną Trumpa stoją ogromne pieniądze. ICE z budżetem 85 mld dolarów jest dziś najlepiej finansowaną agencją służb porządkowych w USA. Dzięki tym funduszom liczba zatrudnionych funkcjonariuszy w ciągu roku wzrosła z 10 do 22 tys. osób. Nowi agenci dostają na zachętę nawet 50 tys. dolarów bonusu i obietnicę, że państwo umorzy im do 60 tys. dolarów długu studenckiego, co jest wabikiem przy koszmarnie drogiej edukacji wyższej w USA. Aby przyspieszyć werbowanie kandydatów, ogłoszono, że o pracę w ICE mogą ubiegać się osoby poniżej 21. roku życia. Skrócono także czas szkolenia nowych agentów, co według krytyków widać po chaotycznych działaniach w Minneapolis.

Tymczasem, jak donosi Reuters, przebywający w tym mieście agenci ICE mieli właśnie dostać wytyczne, by unikać niepotrzebnych interakcji z „agitatorami", czytaj z protestującymi. Mają skupić się na aresztowaniach nielegalnych imigrantów z przeszłością kryminalną, a nie wyrywkowo zatrzymywać ludzi na ulicy, co budziło tak duże kontrowersje.

TO NIE KONIEC | Guru od deportacji Tom Homan w czwartek 29 stycznia sygnalizował, że administracja rozważa wycofanie posiłków ICE z Minneapolis pod warunkiem, że lokalne więzienia będą współpracować z tą agencją. Kilka godzin później Trump, odpowiadając na pytania reporterów, wypalił, że nie ma mowy o wycofaniu agentów.

Nawet jeśli w tej historii dojdzie do szybkiego zażegnania kryzysu, trudno spodziewać się, że Trump odpuści z łapankami w amerykańskich miastach. Bardziej prawdopodobna jest kosmetyczna korekta działań ICE. W końcu obietnica rozprawienia się z nielegalną imigracją dwukrotnie wyniosła Trumpa do władzy. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

WIARA

MESJASZ Z KRZEMOWEJ DOLINY

By zdobyć polityczną i technologiczną dominację, straszy apokalipsą. Kim jest Peter Thiel – technomiliarder i guru amerykańskich elit.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DAVID PAUL MORRIS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Gdyby zwykły Kowalski zorganizował wiec, na którym nazywałby antychrystami ludzi uważających jego biznes za niebezpieczny – uznalibyśmy go za wariata. Kiedy jednak robi to miliarder z Doliny Krzemowej, jego pseudofilozoficzne rojenia trafiają na czołówki gazet.

Warto się im przyjrzeć, bo Peter Thiel to nie tylko bogacz (jego majątek jest szacowany na przeszło 25 mld dolarów), lecz przede wszystkim jeden z najbardziej wpływowych amerykańskich inwestorów. Był głównym pomysłodawcą firmy, z której wyłonił się PayPal – i nie był to jeszcze jego największy sukces. Założony przez Thiela fundusz venture capital Founders Fund (w 2025 r. zarządzał aktywami o wartości ok. 17 mld dolarów) inwestował na wczesnym etapie m.in. w SpaceX, DeepMind czy Spotify. Był też pierwszym instytucjonalnym inwestorem w Facebooka (wyłożył na niego 500 tys. dolarów, a zarobił ponad miliard). Dziś jednak Thiel znany jest przede wszystkim jako współzałożyciel Palantir Technologies, spółki wykorzystującej sztuczną inteligencję do analizy danych dla wojska, policji i wywiadu. W sierpniu 2025 r. podpisała ona z Pentagonem kontrakt na 10 mld dolarów, jeden z najwyższych w historii.

Tym, co wyróżnia tego technomiliardera, nie jest tylko sukces, jaki odniósł w branży nowych technologii, ale także przekonanie, że należy do globalnej elity intelektualnej. I potrafi przekonać do tego innych, dzięki czemu realnie wpływa na sposób myślenia najważniejszych polityków świata. Przede wszystkim tych, których sam wykreował – na czele z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

Na tropie Antychrysta

Thiel to przedstawiciel libertariańskiej sceny technologicznej, który liberalne poglądy na gospodarkę i rolę państwa łączy z mocno specyficzną formą chrześcijaństwa. Swoją najnowszą wizję głosi od dwóch lat, ale lubieżne zainteresowanie mediów wzbudziła ona dopiero wtedy, gdy uczestnikom cyklu jego wykładów w San Francisco na jesieni zeszłego roku nakazano zachowanie poufności (sam prelegent przyznał, że był to zabieg marketingowy: „Nie chwalę się, ale nie jestem całkowicie niekompetentny”).

Co z tej wizji wynika? Że jej autor stał się pasjonatem – niektórzy twierdzą, że wręcz obsesyjnym – Antychrysta. I trzeba przyznać, że gdy o nim opowiada, wykazuje się niebywałą erudycją, płynnie przechodząc od symboliki Księgi Daniela do koncepcji nowożytnej nauki Francisa Bacona.

„Moja spekulatywna teza jest taka, że gdyby Antychryst miał dojść do władzy, robiłby to, mówiąc nieustannie o Armagedonie” – stwierdził podczas zeszłorocznego wywiadu dla Hoover Institution, think-tanku Uniwersytetu Stanforda. W San Francisco doprecyzował, że – w jego przekonaniu – Antychryst „obsesyjnie pragnąłby zdobyć pokojowego Nobla”.

Bynajmniej nie Donalda Trumpa miał na myśli. Gdy mu to zasugerowano, odpowiedział, że byłby gotowy wysłuchać „szczerych, racjonalnych i przemyśla-

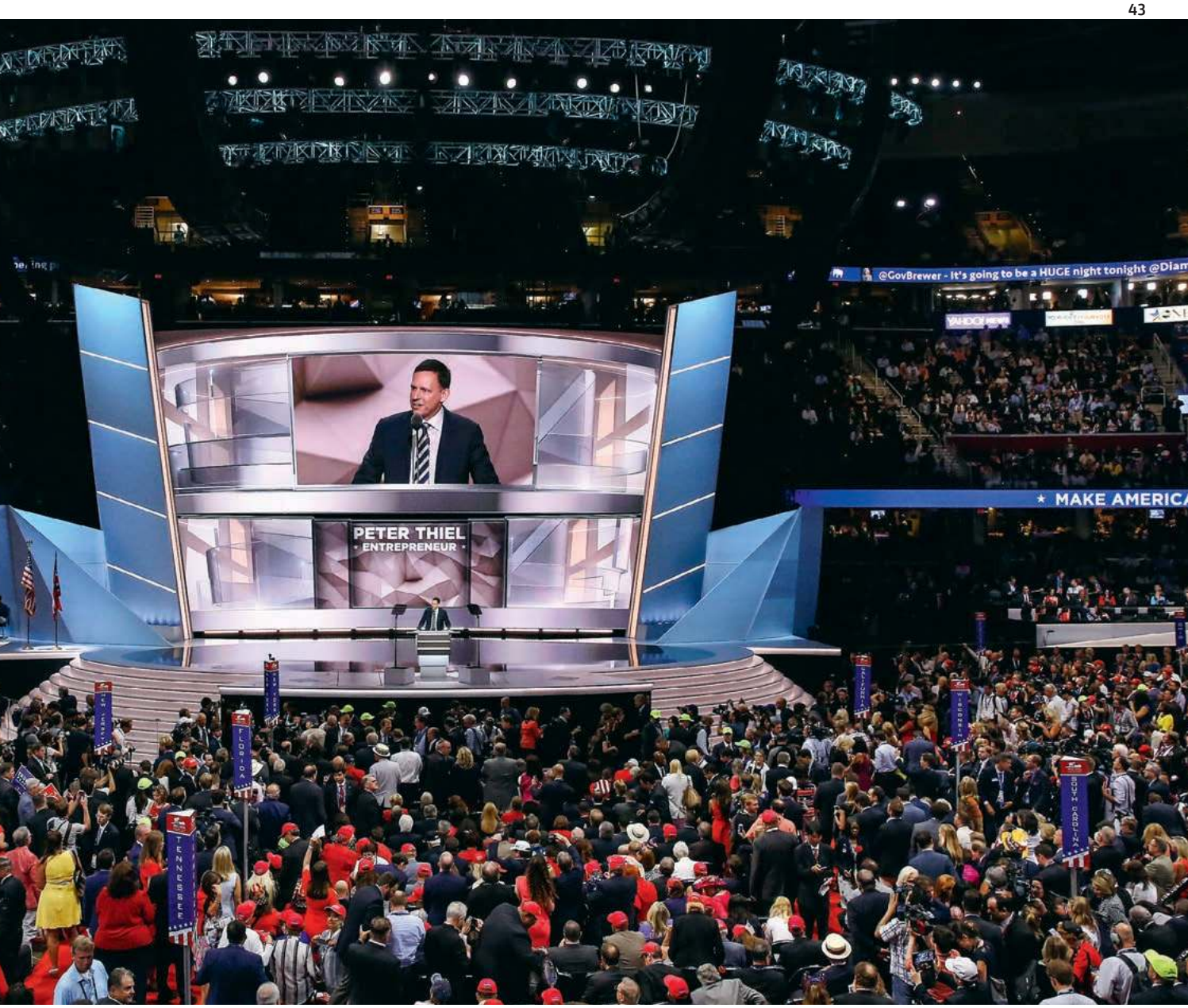

Peter Thiel przemawia podczas Konwencji Partii Republikańskiej. Cleveland, 21 lipca 2016 r.

nych argumentów" za tą tezą. Ale skoro ich nie ma, to należy być „otwartym na możliwość, że [Trump] jest przynajmniej względnie dobry". W jego ocenie zresztą nawet znacznie więcej niż dobry: miliarder popiera obecnego prezydenta nieprzerwanie od 2016 r., a Trump odwzajemnia to poparcie, nie dopuszczając, by jakiekolwiek regulacje ograniczały interesy Thiela (i biorąc jego protegowanego, J.D. Vance'a, na wiceprezydenta).

Bo nauka była za trudna

Tym, co najbardziej niepokoi Thiela i co ma sprowadzić na nas apokalipsę, jest stagnacja postępu. W jego narracji bierze się ona z tego, że nauka i technologia, kiedyś postrzegane jako siły dobra, dziś widziane są powszechnie jako narzędzia destrukcji. „Stworzenie broni palnej i karabinu maszynowego zraniło naszą wiarę w naukę i technologię. Potem bomba atomowa w jakiś sposób całkowicie ją zniszczyła. I w pewnym sensie w 1945 r. nauka i technologia stały się apokaliptyczne". To właśnie ten strach przed technologią – jak mówi – wykorzysta Antychryst, aby zdobyć władzę.

Współwinne tego stanu rzeczy są uniwersytety i kilka znanych osób. Te pierwsze, zdaniem Thiela, tak uszczegóławiają i fragmentaryzują wiedzę, że „utrudnia to myślenie o całości". W „ponowoczesnym multiwersum" „nauka wciąż rośnie jak kolonia królików", ale ponieważ nakłady, takie jak liczba ludzi, przyznawane stopnie naukowe, inwestycje itp., stale rosną, „trzeba podejrzewać, że maleją zyski" – mówi.

Dla tych, którzy chcą nadążyć za fabułą: Thiel, gdyby wnioskować z jego słów, okazuje się być gospodarczym „klasycznym liberałem", który myśli w kategoriach nakładów i rezultatów, oraz chce, aby akademia była tak wydajna, jak to tylko możliwe. W jaki sposób nauka ma osiągnąć tę wydajność, ale nie zgłębiać przy tym rzeczywistości, by nie „utrudniać myślenia o całości" – prelegent nie wyłożył. ↦

Apokalipsa Grety Thunberg

↦ Tu docieramy do drugiego czynnika zbliżającego nas (wedle Thiela) do Armagedonu. „W późnej nowoczesności, gdy nauka stała się przerażająca i apokaliptyczna, a legioniści Antychrysta, tacy jak Eliezer Yudkowsky, Nick Bostrom i Greta Thunberg, postulują, aby rząd światowy ją powstrzymał, Antychryst w pewien sposób stał się antynauką".

Zdaniem Thiela obsesja szwedzkiej aktywistki klimatycznej na punkcie „ryzyka egzystencjalnego" może skłonić elity „do wzmocnienia ogólnoświatowego porządku administracyjnego, co jest dokładnie tym, co od dawna zdają się przepowiadać apokaliptyczne teksty". Przypomnijmy: libertarianie jak diabeł święconej wody boją się rządu światowego i wszelkich regulacji. Nie ma przypadku, że w Dolinie Krzemowej jest ich tak wielu.

Jeśli idzie o prof. Bostroma, filozofa z Oksfordu, i Yudkowsky'ego, wybitnego badacza sztucznej inteligencji, który niegdyś był przyjacielem Thiela – to od lat biją oni na alarm w sprawie potencjalnych zagrożeń związanych z niekontrolowanym rozwojem AI. Trudno nie zauważyć, że stają się „legionistami Antychrysta", bo wzywają do regulacji prac nad sztuczną inteligencją i ustawiają się okoniem do interesów Thiela.

„Z tego, co zrozumiałem, przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich stwierdzili, że poglądy Thiela, utożsamiające Antychrysta z propozycjami regulacji przemysłu AI, nie są przez nich uważane za zgodne z konwencjonalną wiarą chrześcijańską" – oświadczył Yudkowsky proszony o komentarz przez „The Washington Post". Bostrom i Thunberg uwagi Thiela zmilczeli. Zresztą na liście potencjalnych „legionistów Antychrysta" Thiel wymienia wiele innych publicznych person, których po prostu nie lubi, np. Billa Gatesa czy kongresmenkę Alexandrię Ocasio-Cortez.

Uczeń niegodny mistrza

Łatwiej byłoby pewnie uznać jego wywody za pretensjonalny bełkot bogacza, próbującego rozkręcać, z nadmiaru wolnego czasu, moralną histerię wokół ludzi i spraw, które mu się nie podobają, gdyby do swych pozornie elokwentnych wywodów nie wplątał wielu trudnych słów i prac swoich trzech mentorów.

Od Carla Schmitta Thiel wziął przekonanie, że tylko silna władza może powstrzymać Armagedon. **W naszych czasach ma to zapewnić Dolina Krzemowa albo CIA.**

Pierwszym z nich jest René Girard, którego Thiel poznał podczas studiów na Uniwersytecie Stanforda, twórca m.in. koncepcji mimetycznego pożądania. To przekonanie, że ludzie pragną nie rzeczy samych w sobie, a naśladują pragnienia innych. Ich nieświadoma rywalizacja staje się źródłem przemocy i konfliktów społecznych. Kiedy napięcie zbytnio narasta, wspólnota wyznacza winnego – kozła ofiarnego, na którego przelewa agresję. Ofiara zostaje wykluczona lub zniszczona, a porządek przywrócony. Na jakiś czas.

Zdaniem Girarda był to fundament, na którym od zarania dziejów opierał się społeczny porządek. Aż do nadejścia Ewangelii, które przez opowieść o męczeństwie, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa demaskują i demontują opartą na przemocy strukturę. W Ewangeliach nie ofiara jest winna, ale tłum – ten sam, z którego wcześniejsze mity i religie odpowiedzialność bez wyjątku zdejmowały. W świecie chrześcijańskim ów dawny mechanizm już więc na taką skalę nie działa; problem w tym, że radykalnie antyprzemocowe przesłanie Chrystusa przyjęli tak naprawdę nieliczni. I dlatego konflikty nie znajdują ujścia, co prowadzić ma do stopniowej dezintegracji społeczeństwa i konfliktu wszystkich ze wszystkimi.

Thiel w teoriach Girarda widzi wyjaśnienie nie tylko źródeł społecznej przemocy, ale też klucz do zrozumienia gospodarki i technologii. Twierdzi, że z girardowskiego punktu widzenia konkurencja nie jest zdrową rywalizacją, a formą mimetycznej wojny. W książce „Zero to One" pisze, że „konkurencja jest dla przegranych", a postęp wymaga monopoli i tworzenia rzeczy, które nie naśladują, a tworzą coś zupełnie nowego.

Skojarzenia z jego biznesami znów nasuwają się same. Nie tylko z Facebookiem, na którym niegdyś zarobił krocie. Przede wszystkim z Palantirem, czyli firmą, która dzięki przełomowej technologii na zlecenie wywiadów, sił oraz rozmaitych rządowych agencji, jak niesławne, tropiące imigrantów ICE, buduje oprogramowanie „analityczne" – w praktyce jedno z najskuteczniejszych w świecie narzędzi do inwigilacji w czasie rzeczywistym. O czym Thiel jednak nie wspomina.

Zamiast tego wydaje nie tyle uważać się za ucznia Girarda, ile za jego następcę. Wątpliwe jednak, czy rzeczywiście go zrozumiał, ale o tym za chwilę.

Zbawienie przez służby

Drugi z intelektualnych „mentorów" Thiela to postać znacznie bardziej problematyczna. I o wiele lepiej wyjaśniająca jego apokaliptyczną obsesję.

Carl Schmitt był niemieckim prawnikiem i konstytucjonalistą, który jeszcze za czasów Republiki Weimarskiej krytykował demokrację i nakłaniał prezydenta von Hindenburga do autorytarnych rządów za pomocą dekretów. On również miał apokaliptyczną obsesję. Był przekonany, że świat pędzi w stronę zagłady, napędzany destrukcyjnymi ideologiami, takimi jak anarchizm, marksizm czy nihilizm. Wierzył, że ratunkiem jest jedynie *katechon* – siła powstrzymująca zło, którą utożsamiał z władzą, imperium, potęgą państwa.

W różnych momentach historii katechonem były dla Schmitta Rzym, cesarstwo Karola Wielkiego, Święte Cesarstwo Rzymskie. W jego własnych czasach – III Rzesza. Choć początkowo krytykował nazizm, gdy Hitler doszedł do władzy, został jego nadwornym prawnikiem. Współtworzył filozoficzne zręby nazistowskiej ideologii, w której cała władza i wszystkie decyzje płyną wyłącznie z jednego ośrodka, działającego w interesie narodu. I decydującego, kto jest tym narodem.

Jeśli historia mu czegoś na pewno nigdy nie zapomni, to tego, że usprawiedliwiał swą filozofią noc długich noży. „W rzeczywistości czyn Führera był prawdziwym aktem jurysprudencji. Nie podlega on wymiarowi sprawiedliwości, ale sam jest najwyższą jego instancją" – pisał.

EVA MARIE UZCATEGUI / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Peter Thiel podczas konferencji „Bitcoin 2022". Miami, 7 kwietnia 2022 r.

Thiel i chrześcijaństwo: nic się nie zgadza

Choć założyciel Palantira posługuje się językiem i symboliką chrześcijańską (wymowny dowód, że mimo kryzysu instytucji kościelnych, ich kody kulturowe wciąż są rozpoznawalne i atrakcyjne), nic tu się nie zgadza.

ANTYCHRYST w klasycznej teologii jest konkretną osobą („człowiek grzechu, syn zatracenia", 2 Tes 2), a nie strukturą: abstrakcyjnym symbolem regulacyjnym, globalnym państwem, bezosobowym mechanizmem biurokratycznym. Spraw ostatecznych – zbawienia i potępienia, relacji człowieka z Bogiem, sądu, łaski, nawrócenia – nie sposób sprowadzać do doczesnej polityki, np. sporu o kształt wolnego rynku czy innowacje.

KATECHON – ten, który powstrzymuje nadejście Antychrysta i Apokalipsy – nie jest siłą polityczną czy geopolityczną (np. imperium amerykańskim), nawet jeśli w historii Kościoła próbowano już tę figurę politycznie wykorzystywać.

Przykłady można mnożyć, ale co kluczowe: w teologii chrześcijańskiej Antychryst jest anty-Chrystusem, fałszywym mesjaszem parodiującym Jego naukę (której przesłaniem jest m.in. fundamentalne braterstwo wszystkich ludzi, nie zaś gloryfikowanie jednostek), u Thiela zaś Chrystus jest niemal nieobecny: przedmiotem zainteresowania miliardera są kwestie państwa, rynku i technologii, do których opisu wykorzystuje kategorie religijne. Jego celem nie jest dążenie do prawdy, która pomoże zrozumieć człowieka i świat, ale taki ich opis, który zmobilizuje grupy społeczne czy polityczne do przeprowadzenia oczekiwanych zmian. Co stawia go w gronie ideologów, nie autorytetów religijnych. ©℗ MO

Thiel przejął od Schmitta przekonanie, że tylko silna władza może powstrzymać Armagedon. W naszych czasach według niego może to zapewnić... Dolina Krzemowa albo CIA.

Problematyczny naśladowca

Trzecim z myślicieli, którzy ukształtowali wizję świata miliardera, jest Wolfgang Palaver, austriacki teolog i badacz przemocy, religii i polityki, od lat związany z Uniwersytetem w Innsbrucku.

W latach 90. Palaver pisał o Girardzie i Schmitcie, próbując pokazać, że apokaliptyczna teologia polityczna niemieckiego prawnika, z jego wizją katechonu jako siły powstrzymującej zło, jest moralnie niebezpieczna. W interpretacji Palavera każde państwo, które próbuje ratować świat przez przemoc i wskazywanie wroga, staje się w istocie częścią tego zła. W 1996 r., gdy młody teolog wygłosił na Uniwersytecie Stanforda wykład analizujący myśl Schmitta w świetle teorii mimetycznej Girarda, na sali był Thiel.

Wystąpienie Palavera okazało się dla niego objawieniem, ale na sposób, który dla Austriaka był z pewnością głęboko problematyczny. Wbrew intencjom teologa, Amerykanin zaczął się fascynować apokaliptyczną wizją Schmitta i jego pochwałą siły, a jednocześnie przejął od Palavera próbę połączenia katechonu i mimetyki.

Ideologia dla dominacji

W 2023 r. Peter Thiel na konferencji girardystów w Paryżu po raz pierwszy wygłosił godzinny wykład o Antychryście. Mówił o końcu dziejów, o potrzebie katechonu i o zagrożeniu płynącym z „globalnej jedności", która jego zdaniem grozi ludzkości pod pozorem pokoju. Kiedy skończył, moderator rozpoczął sesję pytań i odpowiedzi, mówiąc wprost, że przemówienie było ogromnym rozczarowaniem.

Skoro świat zmierza ku apokaliptycznemu kryzysowi, zapytał, co miliarder mógłby nam zasugerować? „Odeprzyjcie Antychrysta" – odpowiedział Thiel, natychmiast zastrzegając, że podobnie jak Girard nie zajmuje się udzielaniem praktycznych porad.

Ktoś z sali zaoponował: „To, co mówisz o Girardzie, jest nieprawdą. Wielokrotnie młodzi ludzie pytali go: »Co powinniśmy zrobić?«, a on kazał im iść do kościoła". To był Palaver, który zaczął już dostrzegać – o czym mówił później w wywiadach – że jego dawne analizy stały się fundamentem dla całego projektu Thiela, od wykładów o Antychryście po polityczne inwestycje.

To, co miało być teologiczną przestrogą przed przemocą katechonu, przekształciło się w ideologiczne uzasadnienie dla jego działań: finansowania konserwatywnych ruchów, wspierania kandydatów takich jak Vance czy Trump, a także inwestowania w technologie militarne i nadzoru.

W sierpniu 2025 r. Thiel przyjechał do Innsbrucka, gdzie wykłada Palaver. To miała być „próba generalna" cyklu wykładów o Antychryście, które miliarder planował wygłosić w San Francisco. Palaver przyznał potem w rozmowie z tygodnikiem „Falter", że zgodził się na to „w nadziei, że uda się skłonić Thiela do przemyślenia poglądów". Teolog twierdzi, że do dziś się boi, iż Thiel doszedł do „katastrofalnej interpretacji Schmitta", która łączy duchową apokalipsę z praktycznym dążeniem do politycznej i technologicznej dominacji. Mimo to powtarza: „Różnimy się w poglądach politycznych, to jasne. Ale w sprawach wiary może wciąż mam szansę, by go przekonać".

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DANYLO ANTONIUK / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Rosyjskie ataki na infrastrukturę Ukrainy pozostawiły mieszańców Kijowa bez ogrzewania. W ponad tysiącu wieżowcach nie ma prądu, służby ratownicze instalują namioty grzewcze, 25 stycznia 2026 r.

Lekcja ducha

WOJCIECH BONOWICZ

DUCHOWOŚĆ | Jak radzić sobie z lękiem przed wojną i chaosem? Gdy silni przestają udawać, że liczą się zasady, a religia też staje się orężem, istnieją sposoby, by „utrzymać ducha”.

Była druga połowa lat 80., studiowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim filologię polską. Koło Naukowe Polonistów (może zresztą było to jakieś inne grono, tego dokładnie nie pamiętam) zaprosiło na spotkanie ks. Józefa Tischnera. Czas był szczególny: w związku ze zmianami zachodzącymi w Rosji pojawiły się – z początku nieśmiałe, z czasem coraz śmielsze – nadzieje na to, że i w Polsce system zbudowany na przemocy i ograniczaniu wolności słowa zacznie się sypać. Nasze wykładowczynie i wykładowcy już się nie krępowali: zadawali nam do czytania teksty wydawane poza cenzurą, wiedząc, że w ten lub inny sposób mamy do nich dostęp. Oczekiwaliśmy od Tischnera komentarza do tej nowej sytuacji: czy nasza nadzieja jest uzasadniona?

Hegel po góralsku

Tischner przyszedł na spotkanie, ale zamiast mówić o tym, co się dzieje i czego można się spodziewać, wyciągnął tom opowiadań Tetmajera „Na Skalnym Podhalu” i zaczął czytać „Notatkę o polskim chłopie”. Bohaterem opowiadania jest niejaki Tomek Gadeja z Polan, który wybrał się w Tatry szukać w jednej ze skalnych szczelin rudy, kiedyś wydobywanej na przemysłową skalę. Tomek Gadeja opowiada, że podczas pierwszej wyprawy nagle posypała się na niego lawina drobnych kamieni. Nie było rady: żeby nie zostać zasypanym, trzeba było energicznie przebierać nogami. Trwało to długo. Pamiętam dobrze głos Tischnera czytającego: „Depcem, depcem, jo sie hań nie pytoł wtoro godzina? Bo śmierzć za mnom stała i coraz to ręcyskiem sięgała ku mnie”.

Na szczęście w porę nadeszła pomoc. Niemniej Tomek Gadeja nie daje za wygraną. Znów idzie w góry, znów w to samo miejsce. Tym razem – z powodzeniem. I tu w opowieści Tetmajera przychodzi czas na ogólniejszą refleksję. Pozwólcie, że zacytuję cały fragment:

„S człowieke by nié miało być nika źle, kieby umioł duha utrzimać. Jak cie duk odstompi, to jus nogorse. Jo se to nieroz przibacujem i tagek se uwazował, bok i nieroz ze Sieckom z Maćke o tem radziéł, zeby trza duha w narodzie utrzimować. Coby nie béł bojący. Wygramodlas sie z bodejscego, ale sie nie bój! Kiebyk béł zginon, no to nic, a kiebyk béł po te rude nie poseł, toby béła przepadła”.

Pamiętam, że Tischner zatrzymał się dłużej przy tym zdaniu: „Kiebyk béł zginon, no to nic...”. Komentarz nawiązywał do myśli Hegla. Przecież nie chodziło tylko o tę rudę, ale również o to, żeby śmierć, żeby strach przed śmiercią nie miały władzy nad człowiekiem. Jeśli człowiek potrafi wznieść się ponad swoje rozmaite strachy, jest wolny. Jeśli im ulegnie, jego wolność pozostanie jedynie marzeniem. Fragment opowiadania sprzed wielu dziesięcioleci nagle odsłonił swój aktualny – a może raczej ponadczasowy – sens.

Czego się boimy

Przywołuję to wspomnienie z oczywistych powodów. Niewątpliwie stajemy dziś przed jakąś próbą nadziei. Wystawia naszą nadzieję na próbę nie tylko obawa przed wojną i wszystkim, co z wojną się wiąże – to ostatecznie jest zrozumiałe. Ten, kto wywołał wojnę, stara się manipulować naszymi emocjami: podsycać nasze strachy, siać wątpliwości, osłabiać wolę oporu. Główne uderzenie skierowane jest w naszą solidarność. Ogromne środki zaangażowane zostały w to, by przekonać nas, że solidarność z napadniętymi i z uciekającymi przed wojną jest naiwnością i nieroztropnością. Uderzenie wymierzone jest więc w to, co w nas najpiękniejsze. Szyderstwo, kłamstwo i strach – oto główne narzędzia, którymi posługuje się nasz przeciwnik.

Ale nie tylko wojna jest tym, czego się boimy. Być może jeszcze większym lękiem napełnia nas myśl o chaosie, jaki zapanował w świecie. Czy można nadal polegać na solidnych – jak się do niedawna zdawało – sojuszach? Czy polityka międzynarodowa nie jawi się nam wyłącznie jako gra interesów, w której silni nawet nie starają się udawać, że zależy im na sprawiedliwości, prawach człowieka i tak dalej? A polityka wewnętrzna – czy nie stajemy się zakładnikami krzykliwej mniejszości, która straszy nas rozmaitymi zagrożeniami, w większości wydumanymi? Charakterystyczne, że ta mniejszość – nielubiąca demokracji, tęskniąca za taką lub inną formą rządów autokratycznych – chętnie posługuje się pojęciem wolności (jej przedstawiciele nazywają samych siebie „wolnymi ludźmi”) i chętnie też sięga po religię, żeby kolejny raz w naszej najnowszej historii użyć jej w walce o władzę.

Wojna kulturowa

Mówi się dziś coraz częściej o powrocie faszyzmu. Nie wiem, czy określenie jest adekwatne. Ja wolę mówić o „radykalizmie bez nadziei”. Dla prawdziwej przemiany naszego świata konieczna jest radykalna nadzieja. Nadzieja, która nie boi się pomyśleć, że wszystko może być ułożone inaczej niż obecnie. Że dominacja arogancji i siły nie jest jedynym scenariuszem na przyszłość, a wartości takie jak sprawiedliwość czy solidarność mogą być podstawą skutecznych polityk. Naprzeciwko nadziei radykalnej stają wspomniane „radykalizmy bez nadziei”.

Radykalizmy te – pisałem w „Dzienniku pocieszenia” – żywią się wizją wojny kulturowej, w której „nie można brać jeńców”, bo chodzi o być albo nie być świata jako takiego. „Język, którym posługują się ich reprezentanci, jest ostry i nieprzejednany, każde ustępstwo i odstępstwo jest piętnowane, każdy półton podejrzany, a dialog z inaczej myślącymi wykluczony. Dlatego nazywam je »radykalizmami bez nadziei«: chcą budować świat wedle swojej i tylko swojej wizji, nie próbując tworzyć opowieści wspólnej i scenariusza, którego zasadą nie byłoby separowanie i wykluczanie, lecz wzajemność”. Plan na przyszłość, jaki mają, to zazwyczaj karykaturalne odwzorowanie tego, co już nie raz w historii zawiodło i w konsekwencji sprowadziło na ludzkość cierpienia, których można było uniknąć.

Dotknięcie dobrem

Odwaga w świecie, w którym zdają się dominować chaos i strach, polega najpierw i przede wszystkim na przywracaniu poczucia rzeczywistości. Choćby w postaci tej prostej prawdy, iż świat trwa dzięki temu, że istnieją ludzie skłonni budować, a nie niszczyć, pomagać, a nie pogardzać, cierpliwie sklejać to, co rozerwane, a nie eskalować konflikty. Przez całe lata ↦

PISAŁEM O SOLIDARNOŚCI

Wojna, wojna, wojna... Nie sposób wciąż o niej mówić, nie sposób o niej mówić przestać. Byle nam nie spowszedniała, nie opatrzyła się, nie zaczęła irytować, a los jej ofiar nam nie zobojętniał – oto modlitwa, którą powinniśmy odmawiać dzień w dzień, wierzący i niewierzący.

Zło najpierw chce nas przerazić, a potem zmęczyć i zniechęcić. W widoku cierpienia nie ma nic pociągającego. Obrazy wojny są nieznośnie powtarzalne. Ulica kilka godzin po wybuchu, wypalone samochody, wybite szyby, ciała pospiesznie nakryte tym, co było pod ręką. Przepatrywanie ruin, kolejki po wodę i chleb, pełne niepokoju twarze koczujących w piwnicach.

Nocne niebo rozjaśniane eksplozjami, psy błąkające się wśród wraków, starsi ludzie patrzący na kupę gruzu, w którą wojna obróciła ich dom. Wszystko to na przemian oburza, przygnębia i budzi współczucie, ale też zawstydza, bo nad emocjami górę bierze w końcu przyzwyczajenie. Upór cierpiących jest monotonny, ich zmagania są szare, ich bohaterstwo jest wielkie i nieefektowne. Prawdziwy teatr wojny to nie teatr właściwie, lecz same kulisy, gdzie krzątają się ci, którzy na koniec nie wyjdą do oklasków.

Pisałem więc o solidarności, która musi okazać się silniejsza od zniechęcenia. Solidarności, która musi przeniknąć całe życie społeczne. (...) Pisałem o solidarności, bo ona jest próbą scalenia tego, co rozbite.

Z minionego roku zostanie mi w oczach na pewno ta jedna scena: stałem, czekając na kogoś, w punkcie, w którym wydawano żywność potrzebującym. Przy ladzie starsza kobieta, Ukrainka, pakowała do torby przygotowane dla niej produkty. To były zwykłe rzeczy: chleb, jajka, mąka, konserwy rybne. W pewnym momencie kobieta uniosła konserwę, zrobiła nią w powietrzu znak krzyża i ucałowała. Gest był dyskretny, pewnie zawstydziłaby się, gdyby zdała sobie sprawę, że na nią patrzymy. A jednak tym gestem przeniosła siebie i nas w inną rzeczywistość, w coś sakralnego w najgłębszym tego słowa sensie. Bo nie było to sacrum strachu czy zagubienia, lecz wdzięczności.

Fragmenty felietonu Wojciecha Bonowicza „Zło najpierw chce nas przerazić” opublikowanego w rocznicę napaści Rosji na Ukrainę.

napędzało mnie i napędza marzenie, że moje przyjaciółki i przyjaciele z niepełnosprawnością intelektualną będą w społeczeństwie witani jako ludzie, którzy to społeczeństwo potrafią uleczyć, właśnie skleić, pokazać taki wymiar człowieczeństwa, który jest trwalszy niż wszelkie przemijające polityki i wszelkie krzykliwe radykalizmy.

Nie wiem, czy tego dożyję, ale wiem, czego doświadczyłem. Wiem, że najgłębszym ludzkim pragnieniem jest, aby nie być samotnym, dzielić życie z innymi, być przez innych akceptowanym i docenianym. Wiem też – widziałem to – że dobro jest potężną siłą, która może dokonywać cudów. „Człowiek jest takim drzewem, które czuje w sobie dobro i dlatego nie chce złych owoców rodzić", pisał Tischner. Wizja ta może się wydawać wizją naiwną, ale tak naprawdę jest wizją odważną. Tischner nie twierdził, że człowiek nie rodzi złych owoców; sądzę, że o ludzkim złu wiedział nawet więcej niż inni. Wiedział też jednak, że zło nie jest tą siłą, która może człowieka odrodzić. Człowiek odradza się, zmartwychwstaje, zaczyna na nowo żyć, gdy dotknie go czyjeś dobro, czyjaś wspaniałomyślność, czyjaś – tak, może niekiedy nieporadna, ale jednak realna – solidarność. Albo wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy sam obdarza innych dobrem.

Bądź miły

Taka jest rzeczywistość. Kto stłumił w sobie głos dobra, jego nawoływanie, kto pozwolił, żeby zapanowały nad nim iluzje, błędne wyobrażenia, fałszywe sny o potędze, ten musi niszczyć. Odwaga w podejmowaniu życia jest wobec tego życia pokorna. Taka odwaga nie krzyczy – krzyk jest oznaką bólu albo lęku. Kiedy polityk krzyczy, wyśmiewa, obraża, na ogół się boi. Czego się boi? Tego, co i tak nieuchronne: dziś jest, jutro go nie będzie. „Przemija postać tego świata". Gdyby na chwilę wyjrzał spoza swoich iluzji i lęków, może zobaczyłby, jak wiele dobrych owoców mógłby po sobie pozostawić. Ale czy tylko polityk?

Sytuacje życiowe bywają skomplikowane, nieraz stajemy przed dramatycznymi wyborami, w których rozważyć musimy różne dobra. Nie zmienia to faktu, że dobro zawsze pozostaje naszą możliwością, czymś, co może być przez nas rozważone i zrealizowane. Najczęściej chodzi o coś bardzo podstawowego. „Byłem głodny, a dałeś mi jeść... Byłem przybyszem, a przyjąłeś mnie..." Nie musisz być od razu ideałem. Czasem wystarczy, że będziesz mniej uciążliwy dla otoczenia. Pamiętacie Państwo modlitwę św. Tomasza z Akwinu? „Użycz mi chwalebnego uczucia, że czasem mogę się mylić. Zachowaj mnie miłym dla ludzi, choć z niektórymi z nich doprawdy trudno wytrzymać".

Kto jest winny

Czy nie za szybko przeskoczyłem z poziomu tzw. wielkiej polityki na poziom życia małego, powszedniego – życia, jakie na co dzień prowadzimy? Wbrew pozorom, poziomy te są ściśle sprzężone. Błędy popełnione „na dole" owocują nieszczęściami popełnianymi „na górze" – i na odwrót. Umieszczam pojęcia „dołu" i „góry" w cudzysłowach, bo są to pojęcia umowne. Oczywiście, że zależymy od tak zwanych wielkich tego świata. Nie znaczy to jednak, że nic od nas nie zależy.

Jest w Polsce ciągle olbrzymi obszar biedy, o którego istnieniu myślę ze smutkiem i wstydem. Ale zawstydzające jest także to, że poza tym obszarem wielu ludzi ma skłonność do przedstawiania sobie swojego życia gorszym, niż ono jest w rzeczywistości. To jest teren, na którym radykalizmy pozbawione nadziei czują się najlepiej. Są ludzie, którzy nie chcą słuchać o tym, że ich życie mogłoby wyglądać inaczej i co trzeba by zrobić, żeby to osiągnąć. Wolą słuchać o tym, jak bardzo są uciemiężeni i kto jest winien ich niedoli. Na ogół zresztą „radykalizmy bez nadziei" wskazują nie tych, którzy są naprawdę winni. Przyszłość często rozstrzyga się „na dole", tam, gdzie formułowane są opinie, gdzie idee nabierają ciała, gdzie powstaje aura, w której wszyscy później się poruszamy.

Nie bój się myśleć

Czasy dzisiejsze wymagają od nas odwagi. Odwaga jest ściśle związana z nadzieją. Bez nadziei odwaga może być kierowaną na ślepo agresją. Albo bohaterszczyzną. Albo zmarnowaną, bo rozproszoną energią. Bez odwagi nadzieja staje się odległym marzeniem. Tęsknotą. Niezrealizowaną możliwością. Spotkanie nadziei i odwagi jest warunkiem wszelkiej zmiany. Nie możemy żyć dłużej na koszt przyszłych pokoleń. Musimy myśleć o tym, jaki świat im zostawimy. Musimy myśleć nie tylko o sobie, swoim środowisku, swoim kraju. Musimy myśleć szeroko, z otwartością i wiarą, że zmiana jest możliwa. Że można budować świat oparty – powtórzę – nie na dominacji i egoizmie, lecz na współpracy i solidarności.

Wśród patronek i patronów takiej otwartości i takiej wiary widzę Józefa Tischnera. Słyszę jak dziś jego głos i chciałbym, abyście i Wy go usłyszeli: „Jak cie duk odstąpi, to jus nogorse. (...) Wygramodlas sie z bodejscego, ale sie nie bój!".

©℗ WOJCIECH BONOWICZ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

GLIWICE, piątek, 6 lutego, godz. 18.00, Stacja Artystyczna Rynek (Rynek 4/5), spotkanie z Rafałem Pikułą, dziennikarzem, publicystą spidersweb.pl, ekspertem nowych technologii, „Klik, kopia, kłamstwo: fake newsy w czasach sztucznej inteligencji".

WARSZAWA, sobota, 7 lutego, godz.12.00, Domek Fiński PM (Jazdów 3/12), spotkanie dyskusyjne w ramach cyklu Kawiarenka Klubu „TP" w nawiązaniu do tekstów z wydań 3/2026 i 4/2026 „Tygodnika Powszechnego", „Zależność czy współistnienie – jak przeżywamy starość w rodzinie".

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Siła milczenia

TOMASZ MAĆKOWIAK

KSIĄŻKI | Zapadła, wyludniona wieś Bíla Voda leży ledwie kilkaset metrów od granicy z Polską. Ale mimo fizycznej bliskości to zupełnie nieznany nam świat.

DAVID KONEČNÝ / WYDAWNICTWO HOST

Kateřina Tučková

W KRAJU, KTÓRY MA OPINIĘ (niesłuszną) „najbardziej zlaicyzowanego w Europie", powieść Kateřiny Tučkovej (w Czechach wydana w 2022 r.) znokautowała listy bestsellerów. Sprzedaż książki przekroczyła 120 tys. egzemplarzy, na jej kanwie powstały nawet dwie adaptacje teatralne w Pradze i Brnie. A przecież opowiada o prześladowaniach Kościoła katolickiego w czasach komunizmu. Bíla Voda była największym przymusowym miejscem odosobnienia dla zakonnic w byłej Czechosłowacji, gdzie życie zakonne było zakazane aż do 1989 r.

W betonowej celi

Powieść – podkreślają zgodnie krytycy – oczarowała czytelników odwagą, z jaką autorka łączy opowieść o ludziach Kościoła funkcjonujących w warunkach antyreligijnej, brutalnej dyktatury, z historią kobiet – zakonnic i świeckich – które musiały zachować wiarę w świecie zdominowanym i przez aparat państwowy, i męskie struktury władzy wewnątrz Kościoła.

Tučková na podstawie wspomnień, dokumentów i rozmów odtwarza rzeczywistość Bílej Vody: nocne transporty, odbieranie klasztorów, zmuszanie kobiet do pracy fizycznej. Jednocześnie pokazuje, jak w tych surowych warunkach rodziły się sieci wsparcia, wspólne modlitwy i poczucie misji. Kobiety, które w oczach funkcjonariuszy miały być „elementem nieproduktywnym", okazywały się wyjątkowo odporne. Wbrew planom władz, więzienie i odosobnienie nie niszczyły ich tożsamości – przeciwnie, stawały się źródłem wewnętrznej siły.

Granice tradycji

Sercem książki jest historia tajnej wspólnoty katolickiej, która zrodziła się w Czechosłowacji jako odpowiedź na represje. Autorka przywołuje postać biskupa Feliksa Marii Davídka, w powieści ukazanego pod innym nazwiskiem, który w konspiracji tworzył w Brnie struktury alternatywne wobec oficjalnego Kościoła, w większości złamanego przez władze i zmuszonego do kolaboracji [patrz: ramka na str. 50 – red.]. To w tym środowisku doszło do święceń kapłańskich kobiet. Znamy z nazwiska tylko jedną – Ludmilę Javorową, która stanowi pierwowzór powieściowej siostry Ewarysty.

Tučková nie próbuje prowokować, tylko przedstawia motywy, które kierowały Davidkiem – umożliwienie dostępu do sakramentów katoliczkom pozbawionym w więzieniach kontaktu z kapłanami. Co stawia nas przed pytaniem o granice tradycji i przepisów kościelnych w sytuacjach skrajnych.

Na kartach książki zderzają się różne postawy – heroizm i strach, lojalność i kompromis. Autorka pokazuje duchownych, którzy w imię bezpieczeństwa poddali się władzy, jak ksiądz Leopold Plojhar – więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, który po wojnie został liderem ruchu kolaborującego z władzą i przez kilkanaście lat był ministrem zdrowia w rządzie komunistycznej Czechosłowacji. To akurat prawdziwa postać (w połowie lat 60. Josef Plojhar z tytułu urzędu rekomendował w parlamencie ustawę legalizującą aborcję).

Zamiast łatwych ocen Tučková proponuje złożone portrety psychologiczne, tłumaczące wybory lękiem, rozczarowaniem. W ten sposób unika moralizowania, a dramat przetrwania nabiera wymiaru ludzkiego, nie ideologicznego. Bohaterowie nie są świętymi ani zdrajcami – są ludźmi zmagającymi się z ciężarem decyzji.

Zepchnięci w cień

Tłem powieści jest społeczeństwo, które już wcześniej utraciło religijne ↦

GETSEMANY.CZ

Kościelny partyzant

FELIX MARIA DAVÍDEK był jednym z najbardziej aktywnych biskupów Kościoła podziemnego w czasach panowania reżimu komunistycznego w Czechosłowacji. Urodził się w Chrlicach w 1921 r. Był niezwykle utalentowany – zdobył tytuł doktora filozofii, studiował też pedagogikę, medycynę (z myślą o misjach) i ekonomię, interesował się cybernetyką. Znał angielski, niemiecki i hiszpański. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1945 r. Za działalność duszpasterską został w 1950 r. aresztowany. W więzieniu spędził 14 lat. Już wtedy stała się dla niego niezwykle ważna możliwość sprawowania sakramentów w każdych warunkach (mszę odprawiał, leżąc w nocy na pryczy, z okruchów chleba i sfermentowanych rodzynek wydłubanych z ciasta).

Po wyjściu z więzienia zaczął tworzyć podziemne struktury kościelne, równoległe do kolaborującego oficjalnego Kościoła katolickiego. W 1967 r. został potajemnie wyświęcony na biskupa. Od tej pory sam udzielał święceń kapłańskich i konsekrował nowych biskupów. Ponieważ z uwagi na bezpieczeństwo nie prowadzono wówczas archiwów, dokładna liczba osób, którym udzielono potajemnie sakramentów, jest trudna do ustalenia. Szacuje się, że Davídek wyświęcił kilkunastu biskupów i około 70 księży, w tym mężczyzn żonatych oraz trzy kobiety (znane jest nazwisko tylko jednej z nich – Ludmily Javorovej). Biskup Davídek zmarł podczas operacji serca w 1988 r., nie doczekawszy transformacji ustrojowej.

Po aksamitnej rewolucji spuścizna po bp. Davídku stała się dla Watykanu kłopotliwa. Wyświęcani potajemnie mężczyźni celibatariusze byli ponownie warunkowo konsekrowani. Żonatym księżom proponowano przejście do Kościoła greckokatolickiego. Święceń kobiet nie tylko nie uznano, ale próbowano wymusić milczenie na ten temat. Część z podziemnych kapłanów nie zgodziła się na takie warunki i do dziś działa w kościelnych strukturach równoległych. ©℗ ASK

↦ zakorzenienie. Od 2. połowy XIX wieku, nowoczesny czeski nacjonalizm utożsamiał katolicyzm z monarchią habsburską, po 1918 r. Kościół stał się dla wielu znakiem przeszłości, nie odrodzenia. W czasach komunizmu prześladowany duchowny świat funkcjonował w dwóch wymiarach: oficjalnym, często uległym wobec państwa, oraz ukrytym, działającym w konspiracji. Z tej perspektywy książka nie jest tylko portretem represji, ale także opowieścią o eksperymencie duchowym, który rodził się z konieczności.

Tučková podkreśla, że Kościół po 1989 r. nie zawsze potrafił docenić wysiłek podziemia. Doświadczenie *Ecclesia Silens* (Kościoła Milczącego) zostało przez Kościół powszechny w większości odrzucone, co dziś widać wyjątkowo wyraźnie. Księży wyświęconych potajemnie zmuszono do ponownego przyjęcia święceń, święceniom kobiet w ogóle zaprzeczono i wymagano od nich milczenia na ten temat. Szczególnie bolesne było to, że papież z Europy Wschodniej, który znał z autopsji los Kościoła w Czechosłowacji i był dla prześladowanych katolików znakiem nadziei, sam autoryzował kolejne decyzje, które środowisko podziemne odebrało jako poniżające. Bohaterki Tučkovej widzą w tym nie tylko decyzję doktrynalną, lecz także odmowę uznania ich ofiary. Z podziemia nie wychodzą jako zwyciężczynie, lecz jako świadkinie historii, która znów spycha je w cień.

Gdzie zaczyna się wolność

W „Bílej Vodzie" religia nie jest dodatkiem, ale przestrzenią, w której kształtuje się człowieczeństwo. Tučková opisuje wiarę jako schronienie, ale i jako źródło odwagi – w betonowej celi, wśród hałasu fabrycznych hal, w chwilach upokorzenia. Bohaterki uczą się, że wolność zaczyna się od odpowiedzialności za siebie i innych. Ich milczenie, solidarność i opór są formą godności, której nie potrafi zniszczyć ani przemoc, ani pogarda.

Autorka świadomie unika jednej perspektywy – zamiast liniowej narracji buduje strukturę wielogłosową, w której pojawiają się fragmenty dzienników, listów, sprawozdań, a także współczesna historia młodej kobiety próbującej zrozumieć przeszłość zakonnic. Czas obejmuje siedem dekad – od 1950 do 2018 roku – a wszystkie wątki łączy postać Ewarysty, zakonnicy, której losy stają się duchowym centrum książki. Kompozycja ma rozmach i rytm reportażu, a jednocześnie intymność powieści o wewnętrznej przemianie.

Praca nad książką trwała dekadę. Autorka spędzała czas w klasztorach, towarzyszyła karmelitankom w Pradze i we Włoszech, rozmawiała z siostrami pamiętającymi internowanie, sięgała do archiwów i prasy, konfrontując wspomnienia z dokumentami. Zgromadzony materiał przetworzyła literacko, tworząc fikcję zakorzenioną w rzeczywistości.

Wiara bez sarkazmu

Krytyka czeska wypominała Tučkovej drobne nieścisłości faktograficzne, zarzucano jej też egzaltację stylistyczną. Ale nie sposób jej odmówić czegoś, czego we współczesnej prozie tak mało – odwagi mówienia o religii bez katechetycznego tonu, a o cierpieniu bez martyrologii. Tučková poważnie i bez tak powszechnego dziś sarkazmu czy sceptycyzmu pokazuje, że w świecie, w którym instytucje zawodzą, duchowość może stać się szkołą wolności.

„Bíla Voda" to książka o pamięci, wierze i lojalności wobec siebie. O kobietach, które w najtrudniejszych czasach potrafiły stworzyć wspólnotę wbrew zakazom. O Kościele, który w ukryciu odnalazł swoje najbardziej ludzkie oblicze. I o tym, że nawet w kraju, który odrzucił religijne dziedzictwo, wciąż żywa jest potrzeba sensu, wspólnoty i godności. Dzięki temu otrzymujemy coś więcej niż powieść historyczną – moralny portret czeskiego doświadczenia, który czyta się jak uniwersalną przypowieść o przypadkach człowieka wierzącego. I o wierze w człowieka.

© TOMASZ MAĆKOWIAK

Kateřina Tučková
BÍLA VODA
przekład Julia Różewicz, Wydawnictwo Afera, 2024

O. WACŁAW

Oszajca:
Jestem tam, gdzie zło

Bracia! Przyszedłem do was nie po to, by głosić tajemnicę Boga błyskotliwymi i uczonymi słowami [ale] Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego (...) aby wasza wiara opierała się nie na mądrości ludzkiej, ale na mocy Bożej" – pisze Paweł do Koryntian. Ale co to znaczy, głosić Jezusa Chrystusa „i to ukrzyżowanego"? Na czym też polega owa „tajemnica Boga"?

Biblijne opowiadania o Bogu zasadniczo biegną dwiema splecionymi ze sobą drogami. Jest w Biblii Bóg, który nie bierze odpowiedzialności za świat, choć jest on „dziełem Jego rąk". I jest Bóg, na którego spadają te same nieszczęścia, które On dopuścił na ludzi. Jest Bóg żądający od Abrahama krwawej ofiary z syna, Bóg bez słowa przyjmujący takąż ofiarę od Jeftego, ojca jedynej córki, ale jest też zakochany do nieprzytomności Bóg Pieśni nad pieśniami, Bóg do bólu znoszący krzywdę ze strony ludzi, wierny ludziom aż do przyjęcia z ich rąk kary śmierci. Te dwa, przeczące sobie opowiadania o Bogu, przeplatają się nadal w dziejach Kościoła. Mówimy do Boga „Ojcze" i wciąż każemy dzieciom rozpoczynać spowiedź od formułki: „Obraziłem Boga następującymi grzechami", oraz wyśpiewujemy z nijakim wzruszeniem: „A kiedy Ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy kto się do Matki ucieczę". Namawiamy też Jezusa: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, / Słuchaj, słuchaj, uczyń z nami cud. / Przemień, o Jezu, smutny ten czas. / O Jezu, pociesz nas".

I Bóg odpowiada, ale niekoniecznie tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Mówi do proroka Izajasza, o czym marzy i co chce zrobić: „Wołaj donośnie, nie ustawaj (...) pragnę: zdjąć kajdany bezprawia, rozwiązać więzy jarzma, wyzwolić uciemiężonych, połamać wszelkie jarzmo; z głodnym dzielić się chlebem, przyjąć do domu biednych i bezdomnych, przyodziać nagiego, którego zobaczysz, i nie odwracać się od swoich bliskich!". Bóg jednak nie lubi tych spraw załatwiać za pomocą cudu, ale szuka ludzi, przez których tegoż cudu dokona. Stąd głoszenie Dobrej Nowiny nie polega na streszczaniu własnymi słowami Biblii, ani nawet na cytowaniu wypowiedzi Jezusa, na modleniu się, proszeniu o pomoc, ale na rozbudzaniu umiejętności odnajdywania Boga aż na dnie piekieł. „Wtedy, gdy zawołasz, Pan odpowie, gdy wezwiesz pomocy, powie: »Oto jestem!«". Jestem w pierwszym rzędzie tam, gdzie dzieje się zło. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Pomazańcy

W ubiegłym tygodniu mieliśmy okazję uczestniczyć, dzięki liturgii, w niezwykłym wydarzeniu. Oto Saul wyruszył z trzytysięcznym wojskiem na łowy za Dawidem. Zatrzymał się na odpoczynek w jaskini, którą wcześniej zajął Dawid.

Z myśliwego Saul stał się naraz łatwą łowną zwierzyną: „Oto Ja – powiedzieli Dawidowi jego słudzy w imieniu Boga – wydaję w twe ręce twojego wroga, abyś z nim uczynił, co ci się wydaje słuszne" (zob. 1 Sm 24). Dawid zbliżył się niepostrzeżenie do Saula, dobył miecza i... obciął połę jego płaszcza. Nie podniósł jednak ręki na swojego śmiertelnego wroga. Połę płaszcza pokazał Saulowi jako dowód na to, że życie króla było całkowicie w jego rękach.

Postawa Dawida jest nam niewątpliwie wszystkim zadana. A nie chodzi w niej jedynie o wybaczenie i rezygnację z zemsty.

Zachowanie Dawida wobec Saula wynika tak naprawdę wyłącznie z jego postawy wobec Boga. Dawid zabiłby Saula (może nawet chętnie), gdyby nie to, że Saul jest „pomazańcem Bożym": „Nie podniosę ręki na mego pana, bo jest pomazańcem pańskim". To nie Dawid, to Bóg wybrał Saula – Dawid nie czuje się w mocy recenzować i osądzać Boże wybory. Szanuje Boże decyzje i w żadnym wypadku nie zamierza ich kwestionować. Wiara i zaufanie Bogu nie pozwolą mu nigdy zaatakować Saula. Sam też już został namaszczony przez Samuela i nie traktuje swego namaszczenia jako tytułu do rywalizacji, lecz raczej – paradoksalnie – jako szczególny tytuł do doświadczenia wspólnoty z Saulem. Kiedy Saul zginie w bitwie, Dawid nie będzie udawał, płacząc i lamentując na wieść o jego śmierci.

Szacunek do pomazańców Bożych jest, powtórzmy, pochodną naszego stosunku do Boga. Również wtedy (zwłaszcza wtedy?), gdy ta relacja przestała być łatwa i bezpieczna. Oczywiście, nie chodzi o szacunek bezkrytyczny czy bezmyślny; oparty jednak na mocnym przekonaniu, że Bóg się nie pomylił, wybierając Saula, Dawida, Piotra, Andrzeja, Jana... Dwunastu, także Judasza. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik:
Rodzić po ludzku

Przede mną poród syna Angeliki Trochonowicz (znanej w internecie jako Andziaks) obejrzało na platformie YouTube 1 950 538 osób. To ciepły, pozbawiony krwi i golizny, za to opatrzony wizerunkiem osób najbliższych (w tym noworodka i pięcioletniej córki, co jest, rzecz jasna, problematyczne), film reklamujący usługi położnicze szpitala znanej firmy medycznej. Bardziej tradycyjne media, plotkarskie i nie, zauważyły ten ruch, pisząc o burzy w komentarzach. Tych komentarzy są tysiące i jak refren powtarza się w nich zdanie: każda kobieta powinna rodzić w takich warunkach. I że gdyby kobiety mogły rodzić bez bólu, byłoby więcej dzieci. I że ten film powinien mieć tytuł „Rodzić po ludzku".

To nie liczba odsłon filmu powinna budzić nasze zdziwienie, skoro zwykły dzień Angeliki i jej męża Luki, czyli odwożenie dziecka do przedszkola i luksusowe wnętrza ich willi, potrafi zgromadzić 700-tysięczną publiczność. Nie wnikam, co ludzi przyciąga: czy chęć podglądactwa, czy potrzeba obcowania z luksusem, którą naszym babciom zapewniały tasiemcowe seriale telewizyjne, jak „Dynastia" czy „Moda na Sukces". Grunt, że na tym polega model biznesowy Andziaks i Luki: pokazywać życie, zarabiać na odsłonach, sprzedawanych produktach i współpracach reklamowych. Jako taką współpracę czytam także pokazanie prywatnej porodówki od najlepszej strony. Teraz internautki piszą, że ten film bardziej zachęca do założenia rodziny niż 800+.

Niestety większość rodzących Polek może pomarzyć o porodzie za 33 razy 800+. I tu trzeba zadać pytanie: czy miły personel, schludny pojedynczy pokój i znieczulenie na żądanie serio powinny być dostępne tylko dla wybranych? Skoro jest tak mało porodów, to czy intymność naprawdę jest tak nieosiągalna? Bo w zasadzie do tego sprowadza się luksus porodu Andziaks – w końcu sushi po wszystkim zamówili sobie już sami. Jej poród wyróżnia też własna (i podobno bardzo popularna) położna, co akurat można opłacić i w zwykłym szpitalu.

Obejrzałam tę relację nie tylko dlatego, żebyście nie musieli tego robić, ale akurat wypadała pierwsza rocznica mojego porodu. Mam do niego swoje zastrzeżenia, ale trzeba przyznać, że oprócz prywatnej położnej, warunki w publicznym belgijskim szpitalu były podobne. Szpital wybrałam dość obskurny, ale pokoje na wyremontowanej pięknie porodówce były indywidualne. I to, że wiedliśmy tam we trójkę swoje intymne, nowe rodzinne życie przez cztery doby, było cudownym pakietem na start. Podobnie jak to, że anestezjolog przyszła zrobić znieczulenie, gdy o to poprosiłam.

Inna rzecz, że ruch w szpitalu był wtedy taki, że położna wprost powiedziała, że ma czas tylko patrzeć z monitora, więc zajrzy dopiero, jak zadzwonimy. Przebujaliśmy się tak przez cztery dyżurujące zmiany o różnych filozofiach rodzenia, aż szczęśliwie gorliwa nocna położna wsparta stażystką postanowiły dokończyć sprawę. Jednak pod koniec skończyła się kojąca ból kroplówka, więc wiem, jak smakuje poród na znieczuleniu i bez. Gdybym mogła coś zmienić, to ostatnie oszczędności oddałabym za prywatną położną.

Ostatecznie jednak, gdy ja sobie rodzę w Brukseli, a Andziaks w prywatnej klinice w Warszawie, inna Polka już zdążyła urodzić na SOR-ze w Leżajsku, gdzie niedawno zamknięto oddział położniczy. I wszyscy tam się cieszą, że był to fizjologiczny poród z położną i dyżurujący ortopeda nie musiał wykonywać cesarskiego cięcia. Zatem wizja dostępności porodu jak ten, który miał prawie dwumilionową publiczność, raczej się Polkom oddala. Dyskutujemy o tym w obrębie ekonomii opieki zdrowotnej, optymalizacji, długów szpitali, nie widząc obywatelki rodzącej nowych obywateli. Chętnych do tego zadania nie ma wielu, więc może warto się skupić na stworzeniu im dobrych warunków.

Na razie, ze strachu przed bólem i poniżeniem, Polka umawia sobie planowaną cesarkę statystycznie dużo częściej niż medycznie potrzeba. Tak, kobiety w Polsce wybierają często poważną operację zamiast dostępnego w ich stanie zdrowia fizjologicznego porodu, bo w tym widzą jedyny sposób na kontrolę bólu i zachowanie poczucia godności. A o bólu wiele mogą usłyszeć nie tylko od matek, które rodziły je na żywca często jeszcze w PRL-owskich szpitalach, ale od rodzących dziś koleżanek.

A gdyby tę obywatelkę rodzącą nowych obywateli postawili w centrum systemu, a nie upychali w szpitalu gdzie się da, zwykle bez anestezjologa, bo szkoda na niego kasy, i choćby na SOR-ze? Nie słyszałam politycznej wizji, która opowiedziałaby o tej szczęśliwej krainie. W przestrzeni publicznej rozmawiamy częściej o patologii ciąży i śmierciach na porodówkach z powodu sepsy, a nie o godnych, pogodnych i udanych porodach. W to miejsce wchodzi Andziaks z Luką, żeby opowiedzieć nam bajkę o miłej rodzinie, która miała pogodny, godny i bezbolesny poród. Jakoś trzeba podtrzymać wiarę, że to w ogóle możliwe. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MIŁOŚĆ SPOŁECZNA | MIŁOŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | WIARA
CZŁOWIEKA | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

HISTORIA

OKNO NA ŚWIAT

Sto lat temu, 10 lutego 1926 r., wieś Gdynia otrzymała prawa miejskie. Wkrótce miała stać się głównym portem odrodzonej Rzeczypospolitej. Jak doszło do legendarnego dziś sukcesu w biednym i zniszczonym kraju?

JAN SZKUDLIŃSKI

To nie musiała być Gdynia. To mógł być Tczew. Gdyby spojrzeć na mapę połączeń kolejowych, miałoby to zresztą sens. Ten dawny nadwiślański gród po roku 1918 był jednym z głównych węzłów kolejowych na polskim już Pomorzu. Krzyżowały się tu arterie kolejowe z Gdańska do Bydgoszczy i dalej na całą odrodzoną Polskę, a także linia wschód-zachód z Berlina do Królewca (jej eksterytorialność będzie później jednym z żądań Hitlera).

Po włączeniu Pomorza do Rzeczypospolitej to właśnie Tczew był położonym najbliżej Bałtyku większym polskim miastem. Mającym, jak wspomniano, gotowe połączenia kolejowe – to zaś miało niebagatelne znaczenie w kraju zniszczonym wojnami i biednym. Zbudowanie w Tczewie nowego portu dawałoby Polsce wyjście na morze, a to dzięki szeroko rozlewającym się tu wodom Wisły, już blisko jej ujścia (wspomaganym, w myśl planów, specjalnym kanałem).

Gdańskie złudzenia

Inni uważali, że należy cierpliwie kultywować Gdańsk.

Utworzone na mocy traktatu wersalskiego Freie Stadt Danzig, Wolne Miasto Gdańsk, było co prawda zamieszkałe w ogromnej większości przez ludność uznającą się za Niemców. Były tam jednak i połączenia kolejowe, i gotowy port, gdzie Polska dysponowała uprawnieniami przez Radę Portu i Dróg Wodnych.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE x2

Początki były skromne: molo Domu Kuracyjnego we wsi Gdynia i ulica Kuracyjna (dziś ul. 10 lutego). W głębi kościół NMP przy ul. Świętojańskiej, nad morzem restauracja „Casino", z lewej łazienki dla letników, 1925 r.

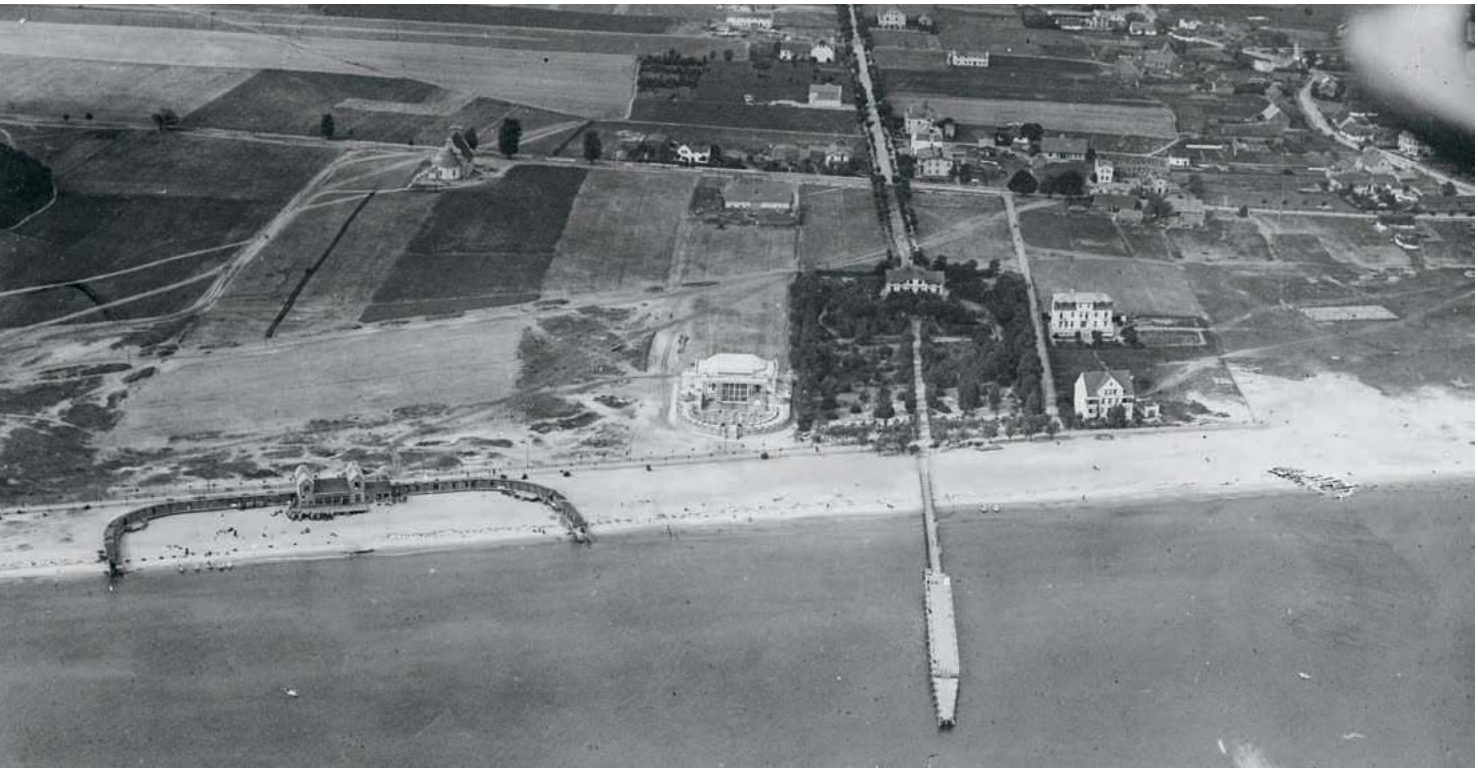

Choć pamiętano o strajku niemieckich dokerów, który w decydującej fazie wojny 1920 roku wstrzymał niezbędne dostawy zachodniej broni dla Wojska Polskiego, odpierającego bolszewicką ofensywę, to wielu polskich decydentów widziało nadal możliwość pozyskania przychylności miasta.

Sięgano przy tym do historii, gdy Gdańsk, również niemieckojęzyczny, był głównym portem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Miastem, w którego ekonomicznym interesie leżało zbliżenie z państwem polsko-litewskim.

Niejeden zwolennik nacjonalistycznych teorii sądził zresztą, że germanizację mieszkańców Gdańska będzie można niejako odwrócić. Że figurujące w spisie mieszkańców osoby z nazwiskami takimi jak Tilitzky czy Schlachetzky z własnej woli zechcą nazywać się (znów) Tylickimi i Szlacheckimi. Że z czasem niemiecki Danzig stanie się miastem w znaczącej części, może w większości zamieszkanym przez ludność uważającą się za Polaków.

Wieś na mokradłach

A co z Gdynią? „O Gdyni właściwie jeszcze nikt nie myślał, a nawet mało kto wiedział, że taka wioska istnieje" – napisze po latach inżynier morski Julian Rummel, odnosząc się do okresu 1920-21.

Jednak ta płaska i podmokła dolina między Kępą Oksywską a Kamienną Górą zwróciła już wówczas uwagę czynników oficjalnych. Opisana przez Rummla nieprzyjemna strona Gdyni – czyli „mokradła między Gdynią a Oksywiem, gdzie często trzymały się mgły i wylegiwały komary" – już latem 1920 r. zwróciła uwagę Tadeusza Wendy.

Ten 57-letni doświadczony inżynier morski prowadził na zlecenie władz przegląd polskiego wybrzeża. To on wskazał Gdynię jako miejsce idealnie nadające się na budowę nowego pełnomorskiego polskiego portu. Jego budowa była rzeczą pilną. Wspomniany strajk gdańskich dokerów i potrzeba znalezienia bazy dla rodzącej się Marynarki Wojennej RP wymuszały podjęcie szybkich działań.

Jednak latem 1920 r. chyba tylko wizjonerzy widzieli w tej podmokłej dolinie przyszły największy port na Bałtyku. Dlatego zaczęło się od budowy, jak to określono, „tymczasowego portu wojennego i schroniska dla rybaków". A także linii kolejowej z Kokoszek do Gdyni, pozwalającej transportom omijać teren Wolnego Miasta Gdańska; ukończono ją w 1921 r.

To było na razie wszystko. Jak pisze Jerzy Libiszewski, tymczasowy port miał być atutem politycznym: rządowi RP chodziło o zastraszenie władz Wolnego Miasta, a z drugiej strony o uniezależnienie się od niego, choćby częściowo. Jednym z niewielu, którzy już wówczas spoglądali daleko w przyszłość, był właśnie Wenda.

Inne warianty

Najpierw jednak należało przekonać do tego pomysłu najwyższe władze. Tymczasem koszty budowy nowego portu i związanej z nim infrastruktury kolejowej były dla wielu nie do wyobrażenia.

W Warszawie trwał wciąż lobbing za uregulowaniem polskiego handlu morskiego przez Gdańsk. Pojawiały się też propozycje wykorzystania Tczewa lub budowy portu w Pucku (z przekopem przez Mierzeję Helską). Obie te propozycje promowano z pomocą broszur chwalących zalety danych rozwiązań.

Jeśli wierzyć wspomnieniom Juliana Rummla, obie lokalizacje grzeszyły jednak naiwnością. Tczew, nawet gdyby założyć przychylność mieszkańców Gdańska, także wymagał inwestycji, a przez część roku mógłby być odcięty od morza przez krę na Wiśle. Choć idea budowy portu w Tczewie zyskała poparcie marszałka Sejmu Ustawodawczego Wojciecha Trąpczyńskiego, to zdanie specjalistów i niestrudzonego Rummla przeważyło.

Z kolei port gdański nie miał wystarczającej wielkości ani możliwości rozwojowych, by zabezpieczyć potrzeby Polski. ↦

W ciągu dekady port w Gdyni stał się jednym z ważniejszych na Bałtyku. Zdjęcie prawdopodobnie z 2. połowy lat 30. XX w.

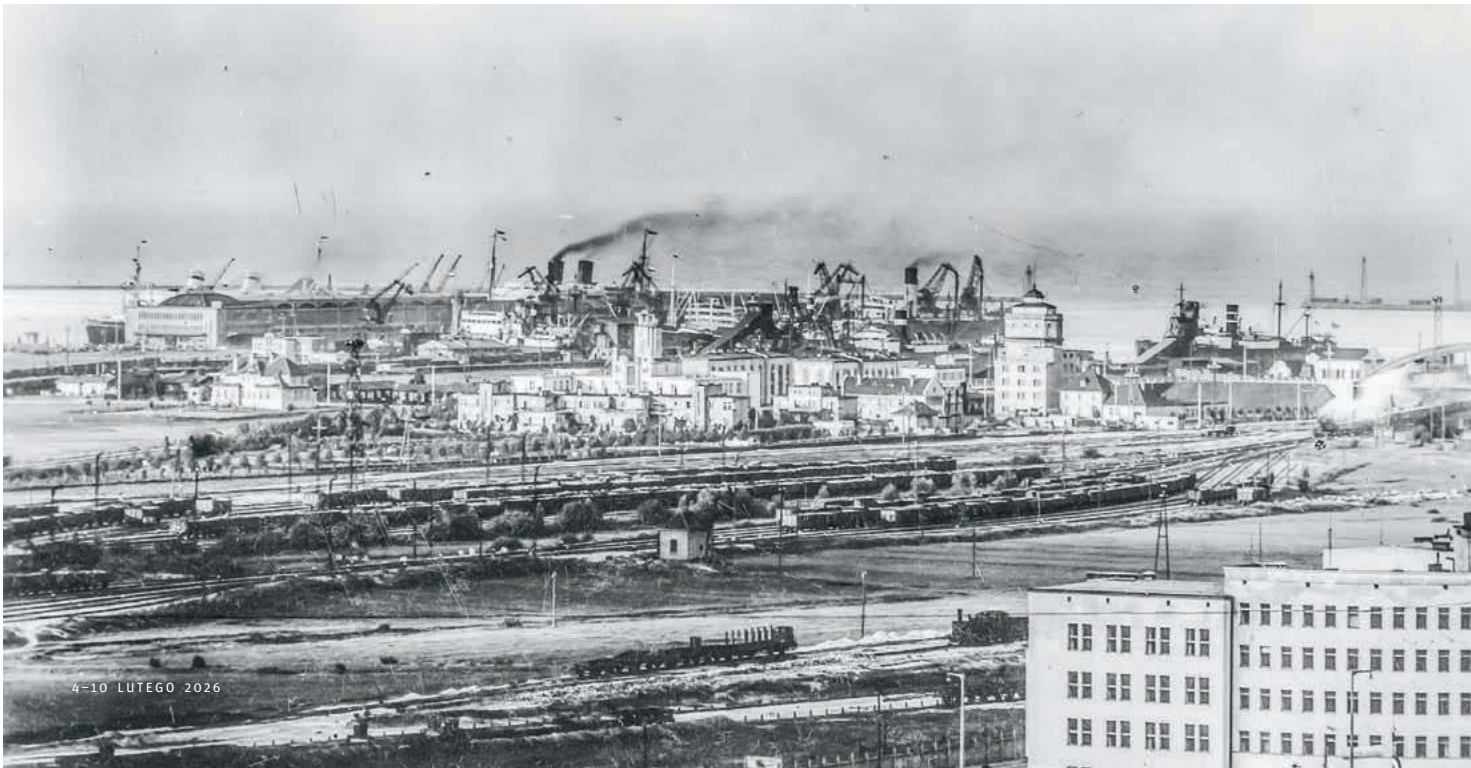

↦ Z powodu kosztów i problemów technicznych odrzucono też inne warianty, jak budowa portu na Jeziorze Żarnowieckim czy rozbudowa portu w Pucku.

Sejm podejmuje decyzję

Wysiłki zwolenników Gdyni zwieńczył dzień 23 września 1922 r.: na posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego poddano pod dyskusję projekt ustawy o budowie tam portu.

Posłem-sprawozdawcą był Aleksander de Rosset ze Zjednoczenia Mieszczańskiego, przedsiębiorca i miłośnik polskiego morza. „Kurier Warszawski" tak cytował jego mowę: „Ministerium spraw zagranicznych nie chciało budowy tego portu, obawiając się narazić nasz stosunek do Gdańska. Ta ugodowa polityka doprowadziła do tego, że nasz stosunek do Gdańska jest ostrzejszy niż kiedykolwiek, zamiast związku z tem państwem mamy w niem jakieś państwo ościenne, które nam przysparza najwięcej kłopotów. Tem bardziej potrzeba nam portu w Gdyni".

De Rosset podkreślił, że budowa nowego portu będzie mniej kosztowna niż przebudowa portu w Gdańsku. Analizy ekonomiczne wskazywały, że zbudowanie w Gdańsku nowych basenów i nabrzeży wymagałoby kosztownych wywłaszczeń i prac hydrotechnicznych.

Proponowana ustawa miała mieć charakter planu wieloletniego, tak by „każdorazowa zmiana ministrów nie wywoływała obstrukcji w budowie".

Niektórzy posłowie szli dalej. Socjalista Artur Hausner, zabierając głos, wezwał rząd, by „nie poprzestając na robotach przedsiębranych w Gdyni, poczynił studja techniczne przez opracowanie projektu i kosztorysów dla budowy portu w innym miejscu do tego celu się nadającem. Co innego bowiem jest port w Gdyni w tych rozmiarach, jakie są projektowane, a co innego w przyszłości port wielki, handlowy, który będzie musiał zaspokajać potrzeby wielomilionowego państwa".

Jak zobaczymy dalej, poseł Hausner nie musiał się bać zbyt małego rozmachu przedsięwzięcia.

Dzika plaża wzywa

Tymczasem w ciągu tych kilku lat od czasu, gdy Gdynia wraz z Pomorzem stały się częścią odrodzonej Polski, pojawiło się też inne dążenie do wykorzystania tego odcinka wybrzeża: wypoczynek.

Już w marcu 1920 r. powstało Pierwsze Polskie Towarzystwo Kąpieli Morskich, które zarządzało parcelacją i budową letniskowych willi na Kamiennej Górze. Głosy zwolenników rekreacyjnego, a nie komercyjnego wykorzystania Gdyni wsparł w Sejmie poseł Szymon Rajca z Narodowej Partii Robotniczej (działacz Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego na Kujawach).

Poseł Rajca domagał się od rządu, „aby opracował dokładny projekt rozbudowy Gdyni jako miejsca kuracyjnego morskiego" i „aby wszelkie budynki niezbędne dla potrzeb portu morskiego i w ogóle dział portowy zostały należycie ustalone i wydzielone z terenów bezwzględnie potrzebnych dla rozwoju miejscowości kuracyjnych".

Skromne początki

Komentator „Kuriera Warszawskiego" zakończył swoje sprawozdanie z tamtego posiedzenia Sejmu stwierdzeniem, że ustawę dotyczącą przyszłości Gdyni „przyjęto w drugiem i trzeciem czytaniu oraz uchwalono wszystkie zgłoszone rezolucje".

Odtąd budowa w Gdyni pełnomorskiego portu stała się już nie projektem specjalistów i entuzjastów, ale oficjalną polityką odrodzonego państwa polskiego.

Środki były nadal skromne. Jak pisze Jerzy Libiszewski, w roku 1923 przyznane fundusze pozwoliły tylko na przebudowę dotychczasowego pomostu w umocnione kamieniami molo długości 400 metrów. Zbudowano też elektrownię zapewniającą oświetlenie przyszłego portu i wodociągi.

11 marca 1923 r. Sejm uchwalił, że planowany port powinien umożliwiać przeładunki co najmniej 2,5 mln ton ładunku – czyli więcej, niż mógł przeładowywać port gdański wedle wartości z lat 1911-13 (czas *prosperity* przed I wojną światową).

Nowe molo – zaczątek portu – otwarto uroczyście 29 kwietnia 1923 r. O wadze projektu świadczy fakt, że obecny był prezydent państwa Stanisław Wojciechowski.

Brama na świat

Dla Juliana Rummla była to z pewnością chwila osobistego triumfu. Po latach wspominał, że „liczne tłumy zajęły wybrzeże koło pokrytej deskami przystani".

W nowym, jakże skromnym jeszcze porcie stała kanonierka „Komendant Piłsudski" i trałowiec, na których – jak wspominał Rummel – „prezydent i goście mieli zrobić objazd zebranych na redzie okrętów, to jest całej naszej floty wojennej". Z boku rysowały się maszty okrętu szkolnego „Lwów". Dalej stały przybyłe na uroczystość kontrtorpedowce obcych bander: francuski, brytyjski i estoński.

Prezydent poświęcił kamień węgielny nowego dworca kolejowego, po czym w eskorcie szwoleżerów ruszył powozem ku portowi. „Tłumy witały prezydenta z prawdziwym entuzjazmem" – pisał Rummel.

Potem – po mszy, otwarciu portu, obejrzeniu floty i obiedzie – prezydent wygłosił przemówienie. Mówił: „Z tego wybrzeża musimy sobie zrobić przestronną bramę dla wolnego komunikowania się z całym światem".

Choć port – na razie skromny – został otwarty, nie znaczyło to, że przedsięwzięcie nabrało rozpędu. Pierwszy pełnomorski statek – „Kentucky", należący do francuskiego armatora – zawinął do niego dopiero cztery miesiące po uroczystości otwarcia, w połowie sierpnia 1923 r. A i to jedynie ze względu na trwający akurat w Gdańsku strajk dokerów.

Zanim prace przyspieszyły

Wielu powątpiewało wciąż w możliwość realizacji inwestycji polskimi siłami. W tymże sierpniu 1923 r. „Dziennik Bydgoski" pisał o budowie portu w Gdyni, że to „farsa nie odpowiadająca nowoczesnym wymogom", co do której „lepiej dać spokój".

Autor nie kwestionował samej idei budowy portu – przeciwnie, uważał ją za niezbędną dla uniezależnienia się Polski od „dziwoląga gdańskiego". Postulował jednak, by zamiast „swojskiego sposobu budowania" oddać budowę portu w ręce „przedsiębiorstwa amerykańskiego". Miałoby to przynieść napływ waluty i lepsze tempo realizacji.

Julian Rummel zdecydowanie sprzeciwiał się takim rozwiązaniom. „Miał to być jedyny port na terytorium dużego kraju, innymi słowy – instrument o bardzo dużym znaczeniu gospodarczym. Jedynym prawidłowym rozwiązaniem mógł być tylko port eksploatowany przez rząd (...) tak więc państwo, a nie kto inny, musiało zapłacić za jego budowę" – dowodził.

Po wielu miesiącach zakulisowych starań w kwietniu 1924 r. rząd podpi-

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Modernistyczny budynek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, oddany do użytku w 1936 r.

sał umowę z polsko-francuskim konsorcjum. Prace przyspieszyły.

Gigantyczne tempo

Wybiegając do przodu: w ciągu kolejnych 15 lat, do wybuchu II wojny światowej, w Gdyni zbudowano prawie 12 km nabrzeży i ponad 4 km bieżące falochronów.

I nie były to już proste mola oraz falochrony wcinające się w morze i zamykające jego część dla statków. Przesyłane przez Tadeusza Wendę (mianowanego kierownikiem budowy portu) do Warszawy dokumenty przedstawiały „projekt portu handlowego z szerokim kanałem wciętym w ląd", przy którym projektowane były baseny rozmieszczone „w jodełkę".

Należy zaznaczyć, że Wenda projektował rozmiary basenów portowych z dużym „zapasem", przewidując, że w przyszłości rozmiary typowego statku handlowego znacznie wzrosną. Dzięki tej dalekosiężnej myśli inżyniera dziś port w Gdyni nadal przyjmuje duże jednostki, a konieczność budowy tzw. portu zewnętrznego dla największych kontenerowców pojawiła się dopiero niedawno.

Tempo wzrostu portu było gigantyczne. O ile, jak wspomniano, pierwszy pełnomorski statek zawinął do niego w sierpniu 1923 r., o tyle już w 1931 r. w pierwszym numerze „Rocznika Rady Interesantów Portu w Gdyni" wymieniono kilkadziesiąt portów, z którymi Gdynia utrzymywała regularne połączenia. Obok wszystkich dużych portów bałtyckich znalazły się tu m.in. śródziemnomorskie Aleksandria, Livorno i Jaffa, największe porty USA, południowoamerykańskie Buenos Aires i Rio de Janeiro.

Pod koniec lat 30. port w Gdyni wyprzedził pod względem przeładunków wszystkie pozostałe porty bałtyckie. Tak szybki rozwój wynikał również z faktu, że przez większość okresu II RP wspierał go wpływowy minister Eugeniusz Kwiatkowski.

Data (wtedy) niezauważona

Inaczej niż port, powstające obok miasto Gdynia nie doczekało się planów sankcjonowanych przez władze. Jego budowa następowała żywiołowo.

„Na samym początku prac przy budowie Gdyni popełniono kardynalny błąd. O ile zwrócono całą uwagę na budowę portu, o tyle nie zajęto się miastem" – pisał jeszcze przed II wojną światową Bolesław Polkowski. Dodawał, że „błąd ten jest dzisiaj widoczny dla oka każdego w postaci krzywych ulic, jest twardym orzechem do zgryzienia dla zarządu miasta".

Wtóruje mu Grzegorz Piątek: „Władze nie patrzyły dalej niż granica przyszłego portu, jakby nikomu nie przyszło do głowy, że inwestycja obudzi Gdynię i zamieni ją w spore, ruchliwe miasto". Dochodziło też do spekulacji gruntami i szybkiego dorabiania się na piaszczystej ziemi, wcześniej mało wartościowej.

W grudniu 1925 r. rząd RP wstępnie postanowił o nadaniu Gdyni praw miejskich. Uchwałę podjął 10 lutego 1926 r.

Wydarzenie to przeszło jakby niepostrzeżenie. Rummel, który dokładnie opisuje powstawanie Polski morskiej, o tej dacie w ogóle nie wspomina. „Echo Gdańskie", wychodzące po sąsiedzku, o fakcie nadania praw miejskich Gdyni napisało na czwartej stronie. „Słowo Pomorskie" poprzestało na notce na stronie dziewiątej. I tyle.

Narodziny miasta

Miasto, przy wszystkich swych kontrastach i problemach, nieustannie rosło, gdyż dla wielu oferowało perspektywy większe nawet niż Gdańsk. Zresztą przenosiło się stamtąd wielu Polaków – zniechęconych wrogością Niemców, a po 1933 r. rządami nazistów.

W Gdyni powstawały firmy żeglugowe, a także szkoły, państwowe i prywatne. Wśród tych ostatnich eksperymentalne Gimnazjum Teofila Zegarskiego (sposób nauczania, zakładający partnerskie stosunki uczniowie-nauczyciele, nie przetrwał przedwczesnej śmierci jego twórcy). Powstały kina i komunikacja miejska. W 1930 r. ukończono budowę drugiego wielkiego projektu infrastrukturalnego tamtej Polski: Magistrali Węglowej z Tarnowskich Gór do Gdyni.

W Gdyni funkcjonowało też Dowództwo Marynarki Wojennej; marynarze i oficerowie byli w mieście widokiem codziennym. Błyskawicznie powstawały nowe budynki, siedziby polskich i zagranicznych firm, kamienice i sklepy. Większość robotników mieszkała w barakach lub samodzielnie skleconych chatach, ale niektóre przedsiębiorstwa wznosiły mniej lub bardziej udane osiedla robotnicze.

Powstawały też elitarne organizacje – yacht club, klub rotarian. Nie doczekała się za to przedwojenna Gdynia własnego teatru, mimo apeli prasy.

Jednakże była w centrum uwagi międzywojennej Polski – jako jej jedyne „okno na świat". Pozycję tę miała utracić po II wojnie światowej, gdy obok konkurencyjnego niegdyś Gdańska w granicach pojałtańskiej Polski znalazł się także port Szczecin-Świnoujście.

Pozostała legenda, której stulecie dziś świętujemy. © JAN SZKUDLIŃSKI

Korzystałem z prac: Grzegorz Piątek „Gdynia obiecana", Julian Rummel „Narodziny żeglugi", Jerzy Libiszewski „Początki budowy portu w Gdyni" i publikacji na łamach „Wiadomości Literackich", „Dziennika Gdyńskiego", „Gazety Gdańskiej – Echa Gdańskiego", „Kuriera Warszawskiego", „Dziennika Bydgoskiego" i „Słowa Pomorskiego".

DORAZETT / ADOBE STOCK

JAK DUŻE MOGĄ BYĆ KWANTY

„Kot Schrödingera właśnie trochę przytył", donosi czasopismo „Nature". A wszystko toz powodu maleńkich kawałeczków metalu, którymi strzelają wiedeńscy fizycy.

ŁUKASZ LAMŻA

Zacznijmy od wyjaśnienia, z jakiego typu nowinką mamy do czynienia. Eksperymenty, których wyniki 21 stycznia opublikowała grupa fizyków z Uniwersytetu Wiedeńskiego pod przewodnictwem Sebastiana Pedalino, same w sobie nie otwierają żadnych nowych drzwi. Nie jest to jeden z tych przypadków, gdy zaobserwowaliśmy zupełnie nowy typ cząstki, stan materii czy gatunek szympansa, albo tajemnicze zjawisko, które nie mieści się w naszych teoriach kosmosu. Mówiąc wprost: to doświadczenie, które w ciągu ostatnich stu lat udało się już miliony razy tysiącom grup na całym świecie, a teraz zostało przeprowadzone przy użyciu odrobinę większego obiektu. Czym się więc ekscytować?

Poznajmy najpierw *dramatis personae*, a zwłaszcza głównego bohatera – nanoklaster sodu. To nasz kot Schrödingera.

Metaliczne jeżynki

Wyobraźmy sobie spore pomieszczenie, klimatycznie oświetlone na trupi błękit, pośrodku którego z półmroku wyłania się beczułkowata, kilkumetrowa komora, wyglądająca jak skrzyżowanie starej łodzi podwodnej i superkomputera. Do komory, solidnie skręconej setkami śrub, podpięte są liczne węże, którymi buczące kompresory odpompowują najdrobniejsze ślady powietrza,

aby w środku panowała niemal doskonała próżnia.

Z jednej strony podpięty jest do niej generator nanoklastrów sodu. To kolejna komora, w której z podgrzanej do 400 st. C próbki sodu odparowują pojedyncze atomy tego pierwiastka. Chmurkę sodowych oparów schładzamy do -196 st. C w ochronnej atmosferze argono-helowej, dzięki czemu powstają klastry: mikroskopijne drobinki zbudowane wyłącznie ze zlepionych ze sobą atomów sodu. Na wizualizacjach wyglądają jak jeżyny.

W tym konkretnym eksperymencie wytwarzane klastry liczyły od 5 do 10 tys. atomów. Tego typu klaster ma średnicę około 10 nanometrów (stąd „nanoklaster") i można o nim pomyśleć jako o olbrzymiej cząsteczce chemicznej, ale również – chyba lepiej – po prostu jako o bardzo małej grudce sodu.

W pewnym momencie nanoklastry wyrzucane są do głównej części komory, jeden po drugim, z dość umiarkowaną (jak na laboratoria szalonych naukowców, rzecz jasna) prędkością ok. 160 metrów na sekundę. Na końcu komory znajduje się detektor, pracowicie mierzący, gdzie konkretnie wylądował dany klaster.

Cały dowcip tego eksperymentu kryje się jednak w tym, co oddziela źródło od detektora – a jest to szereg przeszkód w postaci specjalnie uformowanych promieni laserowych zawierających regularnie rozmieszczone „rozrzedzenia" – miejsca, przez które strumień cząstek może swobodnie przelecieć – i „zagęszczenia" stanowiące dla nanoklastrów przeszkodę nie do pokonania. Odległość pomiędzy owymi rozrzedzonymi „okienkami" to 133 nanometry. Naiwny, „klasyczny" obraz byłby więc taki: strzelamy brudnymi 10-centymetrowymi piłkami w białą ścianę, ale po drodze znajduje się przegroda, w której co 133 centymetry rozmieszczone są okienka. Jaki wzór zabrudzeń powstanie na ścianie?

Co czują cząstki

O tego typu eksperymentach w ciągu ostatnich stu lat opowiadały setki fizyków i popularyzatorów nauki, usilnie próbując wyjaśnić, o co w tym wszystkim „tak naprawdę" chodzi. Praojcem tego doświadczenia jest tzw. eksperyment z dwiema szczelinami, w którym występują tylko dwa „okienka". Gdy Thomas Young wykonał je po raz pierwszy w 1801 r., posługując się strumieniem światła, otrzymany wynik można było dość łatwo zinterpretować. Światło rozprzestrzenia się w stronę przesłony, przeciska się jednocześnie przez obie dostępne mu szczelinki, a za nimi rozchodzi się radialnie, nakładając się na siebie jak fale na wodzie pozostawione przez dwa kajaki. W rezultacie detektor wykrywa prążki, typowe dla zjawisk falowych.

Gdy w 1927 r. po raz pierwszy wykonano to samo doświadczenie z czymś, co powinno być małą kuleczką – w tamtym przypadku elektronem – i po raz pierwszy „wyszły prążki", rozpoczęła się trwająca już od stu lat tradycja drapania się po głowie z konsternacją. Kuleczki powinny przelecieć przez lewą albo prawą szczelinę, a na „ścianie" powinniśmy zobaczyć dwie osobne plamki, a nie dziesiątki prążków, jak gdyby przez pokój przefruwała „fala elektronowa"! Problem staje się tym bardziej kłopotliwy, im bardziej to coś, czym strzelamy przez przegrodę, kojarzy nam się z kulkami.

W ostatnich dekadach eksperyment ten przeprowadzono z coraz większymi obiektami, najpierw pojedynczymi atomami, później całymi cząsteczkami chemicznymi – teraz zaś z maleńkim kawałkiem sodu. Nie zmieniła się jednak sama istota tego zdziwienia, no i dojmującej trudności z wyjaśnieniem, co tu się dzieje.

Aby wytłumaczyć, dlaczego na końcu komory próżniowej w wiedeńskim laboratorium pojawiły się prążki, musimy przyjąć, że składające się z 10 tys. atomów klastry sodu pokonały drogę od źródła do detektora w stanie „zdelokalizowanym", jak gdyby „wyczuwając" spory fragment przestrzeni wokół siebie i „biorąc pod uwagę" istnienie oddalonych o 133 nanometry okienek. Same zaś mają przecież średnicę 10 nanometrów i powinny, na zdrowy rozum, zachowywać się tak, jak gdyby cały świat ograniczał się do tego, co są w stanie namacać w bezpośrednim otoczeniu swojej trasy źródło–detektor.

Skąd klaster, przelatujący przez któreś z „rozrzedzeń", miałby w ogóle „wiedzieć", że 133 nanometry dalej znajduje się kolejne rozrzedzenie?!

Co z tym kotem?

Dzisiaj, 100 lat po pierwotnej rewolucji kwantowej, widzimy jak na dłoni powiązania tej konkretnej „dziwności" z wieloma innymi dziwnościami i pojęciami fizyki kwantowej. Stąd zresztą ten kot. Erwin Schrödinger, próbując wyjaśnić, jak dziwnym pomysłem jest cząstka będąca jak gdyby „jednocześnie A i nie-A", opisał kota, którego życie uzależnione jest od stanu takiej właśnie kwantowej cząstki. Jasne, możemy jeszcze założyć, że gdzieś w niewyobrażalnych głębinach nanometrowego świata jakaś cząstka przelatuje jednocześnie przez lewą i przez prawą szczelinkę, ale nikt nigdy nie zaobserwował kota, który jest jednocześnie żywy i martwy, prawda?

Obecnym rekordem wielkości kota, który jest jednocześnie taki i nie taki, stały się właśnie nanoklastry sodu, które jednocześnie przelatują przez wszystkie dostępne im „okienka" w promieniu lasera. Na stan taki, będący „sumą" dwóch lub większej liczby stanów, które wydają się ze sobą logicznie sprzeczne, mówimy też „superpozycja".

Słowami autorów artykułu: „W naszym przypadku położenie klastrów zbudowanych z ponad 7000 atomów staje się zdelokalizowane na odległości przekraczającej średnicę tych cząstek o ponad rząd wielkości. Ten stan kwantowy jest analogiczny do kota Schrödingera: makroskopowego przedmiotu, który łamie nasze intuicje, ponieważ stanowi superpozycję trajektorii, które klasycznie powinny być odrębne od siebie".

Gdzieś pomiędzy „światem kwantowym" a światem naszego codziennego doświadczenia następuje najwyraźniej „uklasycznienie" – i dzisiaj największą zagadką nie jest już sama dziwność kwantowa, do której trochę przywykliśmy, ale pytanie o to, dlaczego właściwie świat się „uklasycznia"?

Wiemy już tyle, że każde „poważniejsze" oddziaływanie z układem – np. związane z dokonywaniem pomiaru – zmusza układ kwantowy do „określenia się", jak gdyby świat umiał „zrobić coś konkretnego" tylko wtedy, gdy względnie wyraźnie określi stan swoich składników. To stąd te wszystkie zaciemnione pomieszczenia, próżnie i schładzanie wszystkiego ciekłym azotem: chcemy wyeliminować wszelkie przypadkowe zakłócenia. W jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu i w zwykłej pokojowej temperaturze superpozycje po prostu się nie ujawnią. Pytanie brzmi, jak duży układ, praktycznie i teoretycznie, dałoby się utrzymać w „stanie Schrödingera"? ↦

Sprzeczne drgania

Dzięki rozwojowi technologii takich jak nadprzewodnictwo, nanotechnologia czy krionika udaje się konstruować coraz większe układy zachowujące kwantowe superpozycje. W 2023 r. opisano ważącą 16 mikrogramów płytkę, nazywaną technicznie rezonatorem HBAR, którą wprowadzono w drgania będące złożeniem (superpozycją) dwóch „przeciwnych" typów drgań: zupełnie jak gdyby jedna i ta sama struna drgała jednocześnie na dwa wykluczające się sposoby.

Marius Bild i jego ekipa z Uniwersytetu w Zurychu też powoływała się wówczas na kota: „Gdy rozważymy moment w czasie, gdy obie oscylacje są w swoich odpowiednich maksimach, to kot Schrödingera będący w superpozycji stanu żywego i martwego jest czymś analogicznym dla superpozycji atomów w rezonatorze HBAR będących w dwóch różnych miejscach w przestrzeni".

Cała idea komputerów kwantowych – które wytwarza się dziś już niemal rutynowo – również opiera się na przytrzymywaniu owych superpozycji tak długo, jak to tylko możliwe. Temat ma więc kolosalne znaczenie praktyczne. Nie daje też jednak spokoju bardziej filozoficzne pytanie: jaki jest „tak naprawdę" świat kwantowy? Czy coś naprawdę może być jednocześnie A i nie-A? Eksperymenty typu wiedeńskiego wprowadzają go już do skali niemal namacalnej. Czy dałoby się więc, przykładowo, zobaczyć obiekt, który jednocześnie drga w dwa sprzeczne sposoby albo znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie?!

Nanoklastry sodu są już rozmiarami zbliżone do niektórych wirusów. Łatwo mówić o fotonie przelatującym dwiema szczelinami naraz, ponieważ „foton" to coś na tyle tajemniczego i odległego od naszego życia codziennego, że możemy spokojnie wyobrażać go sobie jako świetlistą smugę rozmazującą się w przestrzeni i zapomnieć o temacie. Ale... wirus?!

Wirusy unoszą się w otaczającym nas powietrzu, przytulają do naszych błon komórkowych, namnażają w naszych komórkach, wykasłujemy je na bliźnich. Czy ta sama cząstka wirusa może jednocześnie znajdować się w moich płucach i w płucach współpasażera w tramwaju? W jakiej skali świat zmienia się z absurdalnego w normalny? Ile nanometrów trzeba, by zaczęła obowiązywać logika?

Czy coś naprawdę może być jednocześnie A i nie-A?

W jakiej skali świat zamienia się z absurdalnego w normalny? Ile nanometrów potrzeba, aby zaczęła obowiązywać logika?

Interpretowanie haiku

Jest kilka standardowych ścieżek – to tzw. „interpretacje mechaniki kwantowej" – gdy przychodzi do tłumaczenia z matematycznego języka fizyki teoretycznej i obserwacyjnej na zwykły język opisu rzeczywistości; gdy przestaje nas zadowalać fraza „zamknij się i licz" i próbujemy odpowiedzieć na pytanie, jaki jest świat, nie popadając zarazem w absurdy i sprzeczności. W ubiegłym roku czasopismo „Nature" z okazji symbolicznego stulecia mechaniki kwantowej zebrało opinię ponad tysiąca fizyków z całego świata i – jak zawsze, gdy robione są tego typu ankiety – uzyskane wyniki można by najkrócej podsumować tak: nikt nic nie wie.

Najpopularniejszą odpowiedzią była tzw. „interpretacja kopenhaska", która stanowi w pewnym sensie nie-odpowiedź: fizyka kwantowa to zestaw narzędzi matematycznych służących do przewidywania wyników eksperymentów, a wszelkie wypowiedzi na temat „tożsamości" tych narzędzi albo „prawdziwego" stanu świata pomiędzy obserwacjami są niepotrzebne: przecież, z definicji, i tak ich nigdy nie obserwujemy!

Trudno jednak powiedzieć, że taki jest właśnie głos „większości fizyków": odpowiedzi takiej udzieliło 36 proc. ankietowanych, jednak tylko 5 proc. z „pewnością", a 13 proc. ze „względną pewnością". Ogółem tylko kilkanaście procent ankietowanych stwierdziło, że czuje pewność co do swojej odpowiedzi.

O tym, jak głęboki jest poziom zagubienia fizyków, najlepiej chyba świadczy fakt, że niezerowa część populacji opowiada się za interpretacjami tak odważnymi, jak „świadomość wywołuje kolaps" (to ludzka świadomość każe kwantom się lokalizować) lub „interpretacja wielu światów" (gdy cząstka zostaje zlokalizowana, wszechświat rozszczepia się na tyle kopii, ile było możliwych wyników eksperymentu – wydarzają się więc w istocie wszystkie ewentualności).

Nowe doświadczenia mogą jednak odrobinkę pomóc przyszłym pokoleniom fizyków i filozofów. Mniej więcej 4 proc. ankietowanych wskazało na tzw. „teorie obiektywnego kolapsu", zgodnie z którymi „ściągnięcie się" zdelokalizowanego/„Schrödingerowskiego" stanu do postaci zlokalizowanej/określonej – zwane też „kolapsem" – jest faktycznym procesem wywoływanym przez jakieś realne zjawisko fizyczne.

Jeden ze zwolenników tej teorii, fizyk-noblista Roger Penrose, twierdzi, że to grawitacja od czasu do czasu „szturcha" cząstki, zmuszając je do kolapsu. Nie obserwujemy więc faktycznych kotów Schrödingera po prostu dlatego, że duże obiekty składają się z dużej liczby cząstek, istnieje więc przeważające prawdopodobieństwo, że zostały w ciągu ostatniego mikroułamka sekundy „szturchnięte". Czysto teoretycznie, koty Schrödingera byłyby jednak możliwe.

Tego typu teorie są zwykle wyposażone w „stałą szturchania", od której zależy, powiedzmy, czy przeciętna pojedyncza cząstka zostanie szturchnięta średnio raz na milisekundę, godzinę czy tysiąc lat. Dla zwolenników takich teorii doświadczenie Wiedeńczyków dostarcza więc bardzo konkretnej wiedzy: oto udało się utrzymać 7000 atomów przez 1/30 sekundy w stanie zdelokalizowanym. Wyklucza to „stałe szturchania" powyżej pewnej wartości.

Zabawa trwa, a nowe eksperymenty bardzo skutecznie przypominają nam, że rzeczywistość jest być może dziwniejsza, niż jesteśmy w stanie to wyrazić słowami lub nawet sobie wyobrazić. Prawdę mówiąc, wielu problemów interpretacyjnych można by uniknąć, gdyby tylko zgodzić się na jeszcze nieco bardziej odważną hipotezę, że rzeczywistość wcale nie „jest" taka czy owaka, a tylko czasem „bywa", przy czym udzielona nam przez świat „odpowiedź" jest uzależniona od tego, jakiego typu pytanie jej zadamy. Niektórzy fizycy flirtują już dziś z tego typu poglądami. Świat ani nie gada po kwantowemu, ani po klasycznemu. Świat sam w sobie milczy – a próba przetłumaczenia milczenia na jakikolwiek język to...

© ŁUKASZ LAMŻA

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

KULTURA

WEŹ, SŁUCHAJ

JEFF JARVIS, BADACZ NOWYCH MEDIÓW:

Jeszcze nigdy w historii tak wiele osób nie miało możliwości wypowiadania się. Ale częścią doktryny wolności słowa jest też prawo wyboru, kogo słuchamy.

MARIA HAWRANEK: Zacznijmy od plotek.

JEFF JARVIS: Jest takie łacińskie słówko *fama*, oznaczające „wieści" czy „pogłoski", coś w stylu „mówi się, że...". Używano go w czasach, kiedy lokalna oberżystka uchodziła za osobę, która mówi prawdę. Ufano jej, a więc miała „dobrą famę", w przeciwieństwie na przykład do obwoźnego sprzedawcy, który uchodził za kłamcę – osobę o „złej famie". Stąd znane nam dziś angielskie słówka *fame* i *infame*, oznaczające „sławę" i „niesławę".

Fama to zatem dawny probierz reputacji i wiarygodności, bo ludzie zwykle starali się jednak o utrzymanie dobrej sławy. Reputacja miała znaczenie dla opowiadacza historii oraz tych, którzy jej słuchali – dzięki niej można było uznać zasłyszane rzeczy za wiarygodne.

Dziś to druk jest wiarygodnym źródłem informacji, w przeciwieństwie do tego, o czym „mówi się" w social mediach.

Narzekamy na internet, bo nie wiemy, jak się zorientować, czy to, co czytamy, jest prawdą. Treści generowane przez boty i czaty tylko pogarszają sprawę. Jak dojść do tego, co jest faktem?

Warto pamiętać, że gdy pojawił się druk, także mu nie ufano – wydawało się, że każdy może napisać pamflet, by kogoś ośmieszyć tak, jak każdy może dziś wrzucić posta na Facebooka czy filmik na YouTube'a. Moją ulubioną historią jest ta o Niccolò Perottim, uczonym z Włoch, który poczuł się tak urażony chińskim tłumaczeniem Pliniusza, że napisał do Watykanu list, domagając się, by „coś z tym zrobić".

Brzmi znajomo.

Prawda? Perotti domagał się od papieża, by wyznaczył cenzora, który będzie aprobował wszystkie strony, jakie kiedykolwiek zostaną wydrukowane, co było cudownie naiwne z perspektywy skali, jaką niebawem druk osiągnął. Jego list nazwano pierwszym apelem o cenzurę, jednak w moim przekonaniu wcale nim nie był. Perotti antycypował pojawienie się instytucji redakcji i wydawcy, które nadały w końcu drukowi autorytet. Jeśli wiemy, że jakaś instytucja dokonała wysiłku wyboru tekstu i jego korekty, to już coś znaczy.

Najpierw do odpowiedzialności za słowa pociągano drukarzy, potem wydawców i sprzedawców książek, aż w końcu – autorów. Michel Foucault powiedział, że kiedy w końcu do tego doszło, naprawdę narodził się autor. Sądzę, że możemy z tamtych wydarzeń czerpać lekcję pod kątem wyzwań, przed jakimi stoimy dzisiaj.

Dlaczego?

Stoisko „Misinformation News" na rogu 6. Alei i 42. Ulicy, niedaleko Times Square w Nowym Jorku. Postawiło je „Columbia Journalism Review", „aby edukować odbiorców wiadomości o zagrożeniach związanych z dezinformacją w okresie poprzedzającym wybory uzupełniające". W stoisku wyłącznie fałszywe czasopisma wzorowane na istniejących, z fałszywymi nagłówkami i artykułami. 30 października 2018 r.

Instytucje redakcji i wydawcy, jakie dotąd znaliśmy, stają się nieadekwatne do skali debaty publicznej. Albo będziemy musieli wymyślić je na nowo, albo powinniśmy stworzyć zupełnie nowe instytucje, które temu podołają.

MICHAEL BROCHSTEIN / SOPA IMAGES / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Działo się to już w innych momentach historii?

Tak. Kiedy w połowie XIX w., dzięki dostępowi do taniego papieru i linotypu, nastąpiła eksplozja tekstów, amerykański „Harper's Magazine" na tytułowej stronie napisał, że jego rolą jest wynajdywanie tego, co najlepsze pośród obfitości mowy.

W roku 1922 w „Public Opinion" pojawił się artykuł, którego autor narzekał, że „wiadomości płyną do nas zbyt szybko".

Te obawy są z nami od początków istnienia gazet. Badaczka Elizabeth Eisenstein jako pierwsza przyjrzała się wpływowi druku na bieg historii. Wskazała, że nie tylko dał nam on możliwość dzielenia się wiedzą, co utorowało drogę do rewolucji naukowej, ale też otworzył pole do szerzenia hejtu i dezinformacji.

Lubimy myśleć, że kiedyś wszystko mieściło się w książkach, a świat był uporządkowany. Ale to tylko mit, który ochoczo podtrzymujemy. Zresztą i książki w swoim czasie były uznawane za zagrożenie. Zacytuję ich krytykę z roku 1795: „Mój wzrok z każdej strony jest godzony tymi głupimi i niebezpiecznymi książkami. Widziałem matki płaczące w nędznych mansardach nad wyimaginowanym cierpieniem bohaterki, podczas gdy ich własne dzieci krzyczały".

No dobrze, potrzebujemy dokonać wyborów, ustalić zasady. Ale kto i jak ma to zrobić?

Moja odpowiedź będzie potwornie niesatysfakcjonująca: zasady musimy ustalić sami, pamiętając, że za każdym razem, gdy robimy coś w internecie, budujemy jego przyszłość, decydujemy o tym, jaki ma być. Robię to, kiedy obrażam kogoś, kiedy się z nim spieram, poprawiam i tłumaczę, dlaczego się pomylił.

Mojego pierwszego bloga, założonego w 2001 r. po tym, jak przeżyłem atak na World Trade Center, postawiłem na WordPressie. Do dziś nikt nie może go kupić, to otwarty zasób. Kiedy pojawił się Twitter, przeniosłem się na niego. ↦

↦ I nieświadomie uczyniłem mój dyskurs podatnym na przejęcie przez narcystycznego nihilistę – Elona Muska.

Jako Amerykanin nie jestem przeciwny korporacjom. Jednak otwartość architektury internetu, jego federacyjność, dystrybucja, jest siłą, jaką dysponujemy. Nawet AI stworzono przecież z myślą o tym, by każdy mógł jej używać. Istnieją sztuczne inteligencje typu *open source*, na przykład Mistral i Franz, jest też, co prawda niewielka, sieć społecznościowa typu *open source* – Blue Sky.

Myślę, że *open source* daje szansę konkurowania z korporacjami i rządami, odzyskania kontroli i poczucia sprawczości. Jest to bardzo niewielka szansa i możemy ją łatwo zaprzepaścić.

W jednej ze swoich książek wymienił Pan warunki, jakie powinny spełniać nowe, stworzone przez nas instytucje: ograniczyć użycie danych, nagradzać kreatywność, chronić prywatność, odżywiać społeczności i weryfikować fakty. Brzmi wspaniale – ale jak to wszystko ma się wydarzyć?

Nie sądzę, by jedna instytucja była w stanie to wszystko zrobić, będziemy potrzebować ich wiele. Mam nadzieję, że na nowo pomyślane dziennikarstwo mogłoby pełnić wiele z tych ról. W tej chwili postrzega ono siebie jako fabrykę towaru, który trzeba sprzedać – fabrykę treści. Ten model biznesowy poniesie porażkę.

Wraz z Carrie Brown na University of New York rozpoczęliśmy program tzw. zaangażowanego dziennikarstwa. Przyświecała nam wiara w to, że dziennikarstwo zaczyna się od społeczności, dlatego poleciliśmy studentom, by wybrali społeczność, której będą słuchać, której potrzeby postarają się zrozumieć – później mieli jej służyć przez cały rok.

Poprosiłem ich, by nie stwarzali tej społeczności poprzez analizę demografii, zewnętrzne definicje, ale by była to społeczność, która sama się jako taka definiuje. Jedna ze studentek wybrała np. kobiety, które spędziły jakiś czas w więzieniu. Jeden ze studentów – czarnych mężczyzn cierpiących na choroby psychiczne, jeszcze inny – rodziny, które straciły dzieci z powodu uzależnienia.

Mieli służyć społeczności, czyli stać się ich tubą?

Uparte porządkowanie świata sprawia, że każdego dnia **umniejszamy kryzys, w jakim się znajdujemy.**

Niekoniecznie! Służenie konkretnej społeczności nie oznacza, że będziemy się z nią zawsze zgadzać, bo chodzi nie tylko o to, by ją reprezentować, ale też o to, by stawiać ją przed niewygodnymi prawdami o niej samej. Dziennikarze są od tego, by mówić rzeczy, których nie chcemy słyszeć, wypowiadać niewygodne prawdy, również wtedy, gdy nie zgadzają się one z ich osobistymi przekonaniami.

Kolejną instytucją mogłaby być szkoła i uczelnia – z pewnością dlatego jest obiektem ataków w USA. Inne cudowne instytucje, które powinny pełnić większą rolę, to biblioteki.

Uważam też, że powinniśmy wrócić do książek Hannah Arendt. Kiedy zmarła, w jej maszynie do pisania znaleziono kawałek papieru, który miał być częścią ostatniej, trzeciej książki. Rozdział nosił tytuł „Osądzanie". Uważam, że cierpimy dziś na niedostatek osądu.

W amerykańskim dziennikarstwie pielęgnujemy mit obiektywności, cudownym sposobem stawiając siebie ponad społeczeństwo i jego podziały. Staramy się równomiernie przedstawiać spolaryzowane strony. Efekt jest taki, że dziennikarze boją się mieć jakąkolwiek opinię. Boją się używać słów takich jak rasizm lub faszyzm. Nowe instytucje powinny przywrócić osąd i normy, których przestrzegamy.

Musimy się przegrupować?

Wraz z epoką internetu nastało przekonanie, że tworzy on bańki. Duński politolog Michael Bang Petersen dowodzi, że musimy się tego przekonania pozbyć, bo bańki tworzymy, owszem, ale w realnym życiu. Przecież na co dzień dzielimy się wedle ras, przekonań, dochodów, stylu życia – zamieszkujemy konkretną dzielnicę miasta wedle tych kryteriów. Chronimy się przed obcymi. Internet raczej powoduje, że nasza bańka zostanie naruszona, wystawia nas na doświadczenia, które wydają się nam dziwaczne.

Owszem, internet daje nam kulki hejtu, którymi możemy w siebie nawzajem rzucać. Jednak zdaniem wspomnianego Petersena internet pełni odwrotną rolę do tej, o którą jest oskarżany – przekłuwa bańki, przez co oczywiście tworzy konflikty.

To dlaczego jesteśmy tacy samotni?

Ludzie spędzają zbyt dużo czasu z telefonami. Hannah Arendt pisała o tym, że poczucie wyobcowania to doskonały grunt dla totalitaryzmu. Pamięta pani, jak w czasie ostatniej kampanii Trump powiedział, że haitańscy imigranci jedzą psy i koty? Sądzę, że jeśli ludzie są w stanie uwierzyć w takie bzdury i je powtarzać tylko po to, by mieć poczucie przynależności, świadczy to o ich przeraźliwym wyobcowaniu.

Dlatego nie wierzę, że dla wyborców Trumpa tematy takie jak aborcja czy broń to najważniejsze na świecie kwestie. To tylko symbole przynależności. W istocie jednak ludzie, którzy popierają Trumpa, wcale nie tworzą żadnej społeczności.

A czym wspólnota w ogóle jest?

To grupa ludzi, których łączą zainteresowania, potrzeby, doświadczenia – a nie grupa, którą tak z zewnątrz zdefiniowano przy pomocy psychologii, demografii czy biznesu.

Musimy na nowo przyjrzeć się dynamice wspólnot, a dziennikarstwo powinno służyć zarówno im, jak i ich komunikacji. Działać na ich na styku, tam, gdzie dochodzi do największych tarć, wspierać je we wzajemnym rozumieniu.

Żyjemy w czasach kakofonii dźwięków i głosów, a konwersacja toczy się wszędzie, ciągle i bez końca. Jak nie zwariować, słuchając tego wszystkiego?

Musimy wybierać – jak to robić, to wyzwanie, ale też szansa dla ludzi takich jak pani i ja, którzy zajmują się dziennikarstwem. Potrzebujemy „Harper's Magazine" na dzisiejsze czasy, kiedy co prawda mamy więcej pszenicy, ale też więcej plew do oddzielenia.

Jeszcze nigdy w historii tak wiele osób nie miało możliwości wypowiadania się. W USA wierzymy, że mamy prawo do wypowiedzi, choć powinienem raczej po-

wiedzieć, że wierzyliśmy, bo dziś to kwestia dyskusyjna. Jednak, aby zostać usłyszanym, nie trzeba mieć racji.

Częścią doktryny wolności słowa jest również prawo wyboru. Redaktor wybiera, co pojawi się w druku – gdyby był zmuszony opublikować każdą mowę, nie byłoby wolności ekspresji dla redaktora. Kuratorowanie to rola, która ma znaczenie w przekopywaniu się przez obfitość mowy.

Spójrzmy na AI – aktualnie trwa debata dotycząca praw autorskich, i np. tytuły takie jak „New York Times" próbują usunąć swoje treści z AI. Tymczasem powinniśmy działać odwrotnie – zadać pytanie, czego w AI nie ma, jakich głosów tam brakuje, bo to system wytrenowany na produktach stworzonych przez tych, którzy mieli przywileje i władzę – białych heteroseksualnych mężczyzn, takich jak ja. Inne głosy nie miały mikrofonów – powinniśmy wyposażyć w nie AI, dodając, a nie ujmując.

Pisze Pan o Benjaminie Franklinie, nie tylko polityku, ale również drukarzu, który bronił idei wielogłosu na łamach założonej przez siebie gazety. Uprzedzał czytelników, że nie muszą się zgadzać ze wszystkim, co czytają, bo ideą gazety jest to, by jak w lustrze pokazywać wielość opinii, jaka jest w społeczeństwie.

W Europie macie zdrowszy ekosystem medialny niż my tutaj. Ludzie nie boją się publikować tego, co mają do powiedzenia, zabrać głos w dyskusji. Widzę to w niemieckich i brytyjskich mediach, które regularnie śledzę – można tam przeczytać różne perspektywy. W 1900 r. w Nowym Jorku mieliśmy 46 dzienników. Dziś wiele miast ma tylko jedną gazetę – wtedy nie ma szans na debatę, bo wydawcy boją się kogokolwiek urazić.

Kwestionuje Pan prymat opowieści w dziennikarstwie. Jak dziennikarstwo miało by istnieć bez opowieści?

Opowieść to tylko jedno z narzędzi, które mamy. Istotne jest, by opowiadacz historii uznał swoją pozycję – a jest to pozycja władzy. Opowiadacz decyduje, jaką historię opowie, kto w niej się pojawi, a kto nie, kto zostanie usłyszany, a kto nie, jak się ona rozpocznie i jak się zakończy. A opowieść niesie ze sobą mit

ROD LAMKEY / CNP / MEDIAPUNCH / BE&W

JEFF JARVIS (ur. 1954) – dziennikarz, pisarz i wykładowca badający nowe media. Obrońca idei Open Web i transparentności w internecie. Autor wielu książek, m.in. „The Gutenberg Parenthesis. The Age of Print and Its Lessons for the Age of the Internet" (2023) oraz „The Web We Weave. Why We Must Reclaim the Internet from Moguls, Misanthropes, and Moral Panic" (2024). W styczniu 2026 r. ukazała się „Hot Type: The Magnificent Machine that Gave Birth to Mass Media and Drove Mark Twain Mad".

alfy i omegi, początku i końca. Uważam, że sieć uczy nas, że tak naprawdę rzeczy nigdy nie mają początku ani końca. Musimy przestać traktować opowieść jak instytucję, a zacząć jak narzędzie.

Znany jest przypadek Claasa Relotiusa, nagradzanego dziennikarza z „Der Spiegel", którego zwolniono po tym, jak okazało się, że zmyślił niektóre ze swoich rozmów w reportażach. Wymyślał je pod presją tego, by tworzyć coraz lepsze opowieści. Ta sytuacja zmusiła „Der Spiegel" do refleksji nad tym, jaką ma relację z opowieścią i opowiadaczem. Wszyscy powinniśmy dokonać takiej refleksji. Opowieść musi być jednym ze sposobów podawania informacji. A jest ich tak wiele!

Ostatnio dzięki AI mogliśmy wrzucić do sieci nagranie z rady miasta, opisane minutowo, gdzie każdy, kto chce, może kliknąć w konkretny moment i temat, który go interesuje. To też sposób na przekazanie informacji. To jedno z zadań dziennikarstwa – informowanie, dostarczanie faktów.

A jednak w powszechnym informacyjnym chaosie opowieści są tym, co pozwala nam jako tako zorientować się w rzeczywistości. Nasze umysły tak są zresztą zbudowane, że szukają porządku w chaosie życia.

Jeśli sięgniemy dziś po „New York Timesa", dostaniemy obraz uporządkowanej Ameryki. Gazeta układa świat, nadaje mu narracyjną strukturę, starając się przedstawić chaos, który się tu panoszy, jako politykę – bo politykę opowiadać potrafi. Tymczasem powinniśmy widzieć chaos, bo jesteśmy w chaosie. Uparte porządkowanie sprawia, że każdego dnia umniejszamy kryzys, w jakim aktualnie się znajdujemy.

Często cytuje Pan myśl Marshalla McLuhana, że natura mediów wpływa na to, jak myślimy i jak się komunikujemy.

McLuhan mnie fascynuje, jestem szalenie ciekaw, co powiedziałby o internecie i AI, gdyby żył. Co z nami robią mass media? Sprzedają nam ideę, że tylko skala ma znaczenie, że ważne jest to, co dociera do wszystkich. Cóż, prawda jest taka, że media nigdy nie docierają do wszystkich. Mamy przekonanie, że jak coś jest trendem na platformie X, to przejmuje cały świat. Ale to przecież również maleńki skrawek ludzkości. Sądzę, że internet najpierw zabije model biznesowy niektórych mediów, a potem ich ideę, wedle której wszyscy jesteśmy jedną wielką konglomeracją ludzi i jako taka możemy być traktowani bez uznawania naszej indywidualności i tożsamości.

Co zastąpi te media?

Jeszcze za wcześnie, by móc to określić. Kiedy narodziło się radio, nie doceniano jego potencjału – a pierwsi, którzy go pojęli, to byli amatorzy budujący odbiorniki w swoich piwnicach. Na początku byli większością, potem zostali odsunięci na bok przez wielkie korporacje. Podobnie wydarzyło się z internetem – najpierw królowali w nim amatorzy, blogerzy. Później blogi zaczęły pisać firmy, aż przejęły blogowanie jako takie. Podkasty próbował przejąć Spotify, ale zorientował się, że nie może na nich specjalnie zarobić, mimo to zepsuł ich strukturę reklamową. Coś dobrego zostaje przejęte i zepsute – taki mamy wzorzec. Czy my, amatorzy, będziemy mieli szansę robić to, co chcemy, i nadal mówić oraz słuchać ludzi? Oto jest pytanie, na które nie mam odpowiedzi.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

Papież w piżamie

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

POPKULTURA | Kino spełnia nasze marzenia o Kościele, w którym wygrywa dobro. Daje nadzieję, że jest w nim jeszcze miejsce na coś więcej niż pieniądze i polityka.

Detektyw Benoit Blanc wchodzi na ambonę. Ma, zgodnie z regułami gatunku, wygłosić tryumfalną przemowę, wyjaśniającą, co naprawdę wydarzyło w tamten Wielki Piątek, gdy prałat Jefferson Wicks został zamordowany w pustym pomieszczeniu przy prezbiterium. I kiedy Blanc ma już zamiar zdemaskować spisek upozowany na cud, doznaje objawienia. Oświadcza, że nie może rozwiązać sprawy. Dlaczego? Zamiast przesłuchania będzie spowiedź.

Ojciec Mateusz

Rian Johnson, reżyser i scenarzysta filmu „Żywy czy martwy" („Wake Up Dead Man"), trzeciej części cyklu „Na noże", cały obraz osadza w kontekście Kościoła katolickiego: ofiara i podejrzany to księża, społeczność, w której dochodzi do zbrodni, to parafia, a zamkniętym pokojem, gdzie rozgrywa się zagadka, jest kościół.

Klimat produkcji buduje półmrok neogotyckiego wnętrza, szkarłat liturgicznych szat i blask cennych parafernaliów. Napięcie między starym a młodym księdzem, pojmowaniem przez nich kategorii grzechu i kary, winy i moralności, tworzy żyzne podglebie dla kryminalnej historii.

Johnson nie jest pierwszym, który zauważył, jak dobrze czuje się kryminał w kościelnym anturażu, pozwalającym zręcznie łączyć detektywistyczny i moralny wymiar śledztwa. To zabieg znany od G.K. Chestertona i jego działającego sto lat temu Ojca Browna, po całkiem współczesnego nam „Ojca Mateusza". Ale to nie w dekoracjach ani konwencji tkwi istota popkulturowego zjawiska, którego elementem jest ten film.

„Żywy czy martwy" to jedna z wielu produkcji eksplorujących Kościół katolicki – ten instytucjonalny, z jego liturgią i rytuałami, hierarchią i tradycją. „Młody papież" (2016) i „Nowy papież" (2020), „Dwóch papieży" (2019) oraz „Konklawe" (2024) – wszędzie powracają te same motywy: balet szat, przepych wnętrz, gwiazdy kina w komżach i piuskach, studium obrzędów, zbliżenia na twarze wiernych. Oraz przenikanie *sacrum* i *profanum:* gdy młody papież przypala papierosa w Pałacu Apostolskim, albo gdy Franciszek z Benedyktem jedzą pizzę.

Czego szuka kino w kościele? Z czym się mierzy, opowiedziawszy już o aktach uzasadnianego religią okrucieństwa oraz o skrywanych haniebnych czynach? Po „Siostrach magdalenkach" Mullana (2002), „Złym wychowaniu" Almodóvara (2004), „Spotlight" McCarthy'ego (2016) czy „Klerze" Smarzowskiego (2018)? Co je tak w Kościele pociąga i fascynuje?

Ciała niebieskie

Gdy w 1989 r. Madonna w fenomenalnym teledysku do „Like a Prayer" wystąpiła z krucyfiksem, wśród różańców, świętych figur, stygmatów i płonących krzyży, do jej bojkotu wezwał sam Jan Paweł II. Dziś byłaby w mainstreamie – katolickie imaginarium święci tryumfy na TikToku i Pintereście jako nurt *Catholic Core* czy *Coquette Catholic*, gdzie niekoniecznie wyraża przywiązanie do tradycji.

Jak piszą badaczki zjawiska Lauren H. Griffin i Nicole Phillips, różowe różańce, welony i święte obrazki służą nie tyle odnalezieniu wspólnoty, ile własnego vibe'u, estetyki, z którą można się utożsamić. Wymykają się kategoriom „szczerej religijności" czy ironii. Katolickie *decorum* zaprzęgane jest do własnych komunikacyjnych potrzeb.

Może najbardziej inspirującym dla tego trendu wydarzeniem była gala charytatywna Metropolitan Museum of Art w 2018 r., zbudowana wokół wystawy „Ciała niebieskie. Moda i katolicka wyobraźnia". Na czerwonym dywanie świat zobaczył gwiazdy w strojach od największych projektantów, nawiązujące do katolickiego imaginarium – Rihannę w biskupiej mitrze, Jareda Leto w stule.

Były płótna wyszywane złotem, skrzydła, habity, papieska biel i klejnoty. Nie było potępienia. Przeciwnie, gościem gali był arcybiskup Nowego Jorku, konserwatywny kardynał Timothy Dolan. „Prawda, dobro i piękno Boga odzwierciedlane są we wszystkim, nawet w modzie" – twittował później. Dodał też, że jako jedyny uczestnik imprezy nie musiał specjalnie na tę okazję kupować sobie stroju.

Bohaterem świata mody bywał Benedykt XVI. Watykan dementował pogłoski, że nosi czerwone trzewiki od Prady, a on pojawiał się w karmazynowym mucecie obszytym futrem. Barokowy kostium przywrócił papiestwu też Pius XIII – Lenny Belardo w „Młodym papieżu" Paola Sorrentino, serialu również lokowanym w trendzie *Catholic Core*, gdzie grający główną rolę Jude Law nosi okulary słoneczne do złotej kapy, a potrójna tiara leży mu, jakby się w niej urodził. Reżyser na łamach „New Yorkera" mówił: „To był dla mnie wielki test, który miał sprawdzić, czy potrafię stworzyć coś tak wizualnie niebywałego, jak to, co stworzył Kościół katolicki. Maszynerię majestatu, którą projektował przez stulecia".

A więc odzwierciedlenie boskiego piękna czy własnego majestatu? W 5. odcinku Pius XIII mierzy szaty do wtóru „Sexy and I Know It". Odcinek później, zasiadając na tronie w szatach pontyfikalnych, konfrontuje się z bosymi franciszkanami w habitach. Gdy żądają jego abdykacji, grozi odebraniem im ich pięknych klasztorów. „Jesteście gotowi żyć na ulicach jak święty Franciszek? Chcecie ze mną wojować uzbrojeni tylko w bezdenną biedę?" – szydzi. Mnisi spuszczają wzrok.

Zaczarowany Watykan

Może jest tak, że kino, w czasach obrazów generowanych komputerowo zdolne do pokazania wszystkiego, właśnie w owej maszynerii majestatu widzi godne siebie wyzwanie? Bo co pokazać, gdy da się pokazać wszystko? A może chodzi o coś jeszcze – bo przecież nic tak nie zderza *sacrum* z *profanum* jak święta szata. Chwała Boga przyodziana w ziemski przepych. Im strojniejsza, tym bardziej wygląda spod niej człowiek, z całą swoją słabością do manifestowania statusu, doświadcza-

HBO / EVERETT COLLECTION / EAST NEWS

Jude Law w serialu „Młody papież", reż. Paolo Sorrentino

nia luksusu, a przede wszystkim z pragnieniem bycia widzianym.

W tym sensie Benedykt XVI i Rihanna przedstawiają ten sam widok. Paradoksalnie, w nieziemskich szatach stają się bardziej ludzcy. I dostarczają patrzącemu usprawiedliwienia dla odrobiny własnej próżności. Kurator wystawy „Ciała niebieskie" zachwycał się, że „katolicy żyją w zaczarowanym świecie". Rachel Donadio na łamach „New York Timesa" podkreśliła, że Sorrentino w „Młodym papieżu" stosuje swój znak firmowy: „nasycony Technikolor, sugestię realizmu magicznego", chętnie stosowany przez Hollywood w filmach kostiumowych.

A kostium – jak powiedziała kostiumolożka i laureatka trzech Oscarów Colleen Atwood – przemawia, zanim jeszcze postać otworzy usta. Za jednym zamachem ukrywa – a więc jest coś do ukrycia! – przenosi w czasie, kreuje świat, kieruje uwagę na kontekst kulturowy, wartości, ale przede wszystkim na osobę w kostiumie. Poprzez kostium realizm spotyka się z magią. Kościół też chętnie podkreśla swój podwójny charakter: nadprzyrodzony i ludzki.

„Pokazywanie papieża w piżamie czy biorącego prysznic rzuca się wprawdzie widzowi w oczy, ale to tylko element estetyki pokazywania ukrytego Watykanu" – mówił Sorrentino. Widz chce przeniknąć mury i klauzury, nie żeby podglądać, oceniać czy demaskować ludzi, którzy się nimi otoczyli, ale żeby się do nich zbliżyć. I do ich tajemnicy.

Przy koniaczku

Być może najdosłowniej potraktował ową tajemnicę – jako siedlisko spisków i tajemnych znaków – jeden z pierwszych nowoczesnych obrazów eksplorujących kościelne imaginarium: „Anioły i demony" Rona Howarda na postawie powieści Dana Browna. I to nie doborowa obsada z Tomem Hanksem w roli głównej, tylko pieczołowicie odtworzony watykański splendor i rytuał sprawił, że film ten dało się oglądać. Nawiasem mówiąc, jako że Watykan nie udostępnia filmowcom swoich wnętrz, w tym i wielu innych obrazach – m.in. „Konklawe" czy „Dwóch papieżach", zagrał je pałac w Casercie, rezydencja Burbonów pod Neapolem.

„Konklawe" Edwarda Bergera z Ralphem Fiennesem i Isabellą Rossellini to kolejny adaptowany – z książki Roberta Harrisa – film, który był lepszy od pierwowzoru. Oglądamy zamkniętych w przepychu mężczyzn toczących swoją politykę i toczonych przez słabości, dostrzegamy niewidzialne, a donośnie obecne zakonnice, śledzimy rytuały – i nie możemy się oderwać. Ale to nie tylko dramat kostiumowy – film Bergera stawia Kościołowi katolickiemu zarzuty i oczekiwania.

Nie można tu nie przywołać filmu z czasów, gdy o *Catholic Core*, a nawet o internecie nikt nie słyszał: „Trzewiki rybaka" z 1968 r., z Anthonym Quinnem i Laurencem Olivierem. To opowieść o arcybiskupie Lwowa Kiryle Pawłowiczu Łakocie, zwolnionym po 20 latach z łagru. Nad zimnowojennym światem wisi widmo III wojny, do której prą głodujące Chiny, a w Watykanie odbywa się konklawe. To Łakota zostaje papieżem.

Naciągana dość fabuła, która zmieściłaby się w półtoragodzinnym obrazie, zajmuje trzy godziny, bo twórcy rozkoszują się kościelnym rytuałem i angażują w to widza. Patrzymy na Kościół w kostiumie jeszcze przedsoborowym. Ale też na Kościół masowy, z tłumami wiernych w kadrach świetnie znanych z mediów i jakby wciągających we współuczestnictwo – filmowcy użyli dokumentalnych scen z pogrzebu Jana XXIII i wyboru Pawła VI.

Gdy papież Kirył wymyka się *incognito* w zaułki Rzymu, nabiera się pewności, że doskonale znał ten film papież Bergoglio, choć nigdy się do inspiracji nim nie przyznał. Może z uwagi na jego lewicowy wydźwięk – w jednej z najwymowniejszych scen kardynałowie przed konklawe dyskutują o rewolucji społecznej, siedząc ↦

MATERIAŁY PRASOWE

Daniel Craig w filmie „Żywy czy martwy" z serii „Na noże", reż. Rian Johnson, Netflix

↦ w pałacu, przy cygarach i koniaczku. A może dlatego, że papież Kirył wyznaczył standard, któremu żaden papież nie sprosta: ogłosił, że dla zapobieżenia głodowi i wojnie oddaje cały – cały! – majątek Kościoła potrzebującym.

Gang Olsena

Taki – czysto ewangeliczny przecież – pomysł bezlitośnie wyszydził Sorrentino w pierwszym odcinku „Nowego papieża". Autorytet, jak wyłożył franciszkanom Pius XIII, nie może być bosy. Ale przecież także oba seriale Sorrentina są opowieścią nie o mechanizmach i spiskach władzy, lecz o ludziach ją sprawujących i jej poddawanych, o ich małości, wielkości, kruchości i świętości. Tak samo jak doskonały dzięki swojej kameralności i wybitnej grze Jonathana Pryce'a i Anthony'ego Hopkinsa film „Dwóch papieży" Fernanda Meirellesa.

Na marginesie: niesamowite, w jak czuły punkt uderzyła abdykacja Benedykta XVI, skoro kino zareagowało na to – *nomen omen* – dwoma dziełami, Sorrentina i Meirellesa. Dwóch papieży w Watykanie to przecież archetypiczna sytuacja narracyjna, w której świat rozpada się na dwoje i domaga się scalenia.

„Watykan był tematem tabu – mówił Sorrentino – i wszystko, co o nim powstawało we Włoszech, było hagiografią, gdy tymczasem Amerykanie chcieli przesuwać wajchę w stronę skandalu. Chciałem się trzymać z dala od obu tych skrajności. W centrum miał być papież i duchowieństwo, ale jako ludzie – ze swoimi słabościami, siłą i sprzecznościami". Wszystkie te obrazy opowiadają w gruncie rzeczy o marzeniu.

Marzeniu o Kościele i o świecie, w którym, jak to w Hollywood, na koniec wygrywa dobro. O tym, że w Kościele i w świecie jest miejsce na coś więcej niż spiski, polityka i bogacenie się. Że ludzie powołani do rzeczy wielkich są do nich zdolni. I to jako zwykli ludzie, bo przecież wszystkie postacie z tych filmów są właśnie takie: bezsilny wobec przemocy kardynał Baggia, kardynał Lawrence w kryzysie wiary, poczciwy Kirył Pawłowicz, kardynał Voiello i jego drużyna niezgrabni jak watykański Gang Olsena – to nie święci, lecz postacie, z którymi da się utożsamić.

Przy całej świadomości krzywd, hipokryzji i chciwości kino opowiada o nadziei, że ta intrygująco dziwna instytucja może być kustoszem czegoś więcej niż obrzędów i strojów. Widz zostaje z myślą o tym, jak mogłoby być. W końcu Hollywood to fabryka marzeń.

Coś więcej

Gdy Benoit Blanc w finale nie dopowiada „kto zabił", film Johnsona łamie nie tylko kryminalną konwencję, ale w ogóle logikę kryminału jako opowieści o wykryciu sprawcy zbrodni i doprowadzeniu go przed oblicze sprawiedliwości.

Trzecia część cyklu „Na noże" z całkowitą powagą zawiesza pragnienie sprawiedliwości i przywołuje w zamian pragnienie przebaczenia i odpuszczenia. Łaski. Jak mówi Blanc, „dla tych, którym się ona nie należy, ale jej najbardziej potrzebują: winowajców". Zaś ojciec Jud upomina się w finałowej scenie spowiedzi o – jeszcze jedno słowo z chrześcijańskiego wokabularza – ofiarę. Figurę, którą skupione na sprawcy historie kryminalne często lekceważą.

Oto, czego Johnson szukał w Kościele. Reżyser, który chrześcijaninem nie jest, ale dorastał w silnie chrześcijańskim środowisku, przyznaje się do inspiracji kryminałami Chestertona. „Ojciec Brown jest znakomitym detektywem dlatego, że jest dobrym księdzem rozumiejącym, jak zepsuci i omylni są ludzie, włącznie z nim samym. Daje mu to empatię i wgląd w zbrodnię" – mówił na łamach serwisu Tudum.

Gdy istotą kryminału stają się miłosierdzie i zaleczenie rozdartej zbrodnią wspólnoty, wyraża to być może największą tęsknotę za tym „czymś więcej". A osadzenie tej opowieści w kościele daje jej jeszcze coś: język. Słowa, które w innym kontekście brzmiałyby naiwnie czy fałszywie.

„Zgadza się, to tylko sztuka narracji – odpowiada ojciec Jud detektywowi. – To nie jest średniowieczny kościół, tylko XIX-wieczny neogotyk. Bliżej mu do Disneylandu niż Notre-Dame. Obrzędy, rytuały, kostiumy i cała reszta – to zbiór opowieści. Pytanie tylko, czy te opowieści wmawiają nam kłamstwo? A może wydobywają głęboko zakorzenioną prawdę, której nie potrafimy wyrazić inaczej niż za pomocą opowieści?". ©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Kto będzie pisał nasze piosenki

JAN BŁASZCZAK

MUZYKA | Wytwórnie podpisują umowy z firmami AI. Czy nie lepiej byłoby dla nas wszystkich, by zwalczały muzykę tworzoną z pomocą sztucznej inteligencji?

Czytanie o współczesnym rynku muzycznym przypomina zanurzanie się w cyberpunkowej powieści. Nie bez powodu. W końcu jedną z głównych kwestii tej branży jest próba ustalenia, kto jest człowiekiem, a kto robotem. A ten podział się rozmywa.

Dlaczego? Otóż platformy streamingowe codziennie podsuwają nam tysiące utworów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Jej urokom nie opierają się kolejni twórcy, którzy za sprawą AI poprawiają sobie to i owo. Wreszcie, dużą popularnością cieszą się aplikacje umożliwiające generowanie prostych utworów na podstawie podpowiedzi ich użytkowników. Można wybrać gatunek piosenki, jej tempo, wpisać dowolny tekst i wskazać, by zaśpiewał go głos przypominający Sinatrę. Tyle że po rumuńsku.

Jesienią dwie najpopularniejsze aplikacje pozwalające na „tworzenie" muzyki (Suno i Udio) podpisały umowy z Warner Music Group oraz Universal Music Group. Czy takie porozumienia są w interesie muzyków? Niekoniecznie, natomiast możliwe, że bez nich byłoby jeszcze gorzej.

Umowa albo psikus

Nie wiemy wiele na temat treści tych umów, natomiast możemy pospekulować na ich temat, przyglądając się najnowszej historii rynku muzycznego.

– W branży krąży opowieść, według której wytwórnie miały realną szansę dogadać się z Napsterem [popularną niegdyś platformą służącą do wymiany plików MP3 – red.], ale ostatecznie się na to nie zdecydowały i wybrały drogę sądową – tłumaczy Sam Backer, historyk i współautor podkastu „Money 4 Nothing". – W tym czasie platforma umożliwiająca pobieranie plików rozszczepiła się na wiele różnych stron, programów i serwisów, co wywołało kryzys na rynku muzycznym. Wydawcy mieli wówczas dojść do wniosku, że pozew to nie jest sposób na nowe technologie. To po prostu nie działa.

Dlatego ze Spotify duże wytwórnie postąpiły inaczej. Wspaniale opisuje to Liz Pelly w wydanej rok temu książce „Mood Machine" poświęconej polityce największej platformy streamingowej. Tak jak w przypadku Napstera, wydawcy zagrozili szwedzkiej firmie pozwami, ale potem – to jest w 2011 r. – zaproponowali jej układ. W zamian za dostęp do swoich katalogów wytwórnie zaczęły zarabiać na streamingu. Treść tych dokumentów jest niejawna, ale biorąc pod uwagę ówczesną przewagę wydawców, można zakładać, że umowy były dla nich bardzo korzystne (czy były takie dla samych artystów – to już inna sprawa).

– Później Universal próbował zrobić to samo z TikTokiem – zwraca uwagę Backer. – Dwa lata temu wycofał swój katalog, co sprawiło, że użytkownicy tej platformy nie mogli nagle wykorzystywać piosenek Taylor Swift jako podkładu do swoich nagrań. Minęło kilka miesięcy i ta baza muzyczna została przywrócona. Dlaczego? Nie wiemy. Czy to nie szalone? Największa platforma socialmediowa i największa wytwórnia stoczyły walkę, a my nie wiemy, kto wygrał.

Wszystko wskazuje na to, że w przypadku umów z Suno i Udio to wytwórnie rozdają karty. Szczegóły tych porozumień nie są oczywiście znane, ale warto zauważyć, że ta druga firma niedługo po podpisaniu kontraktu z Universalem zablokowała użytkownikom możliwość pobierania wygenerowanych przez siebie utworów. Suno natomiast mocno tę opcję ograniczyło.

Oczywiście nie były to decyzje popularne wśród użytkowników aplikacji. A jednak ich szefowie uznali, że warto iść na ustępstwa, żeby zamiast pozwu dostać licencje do głosów popowych diw i riffów gwiazd rocka.

Na Dzikim Zachodzie

Można się zastanawiać, co z takiej umowy mają wytwórnie. Czy nie lepiej byłoby dla nas wszystkich, by walczyły z muzyką tworzoną z pomocą sztucznej inteligencji i budowały swój status w opozycji do niej? Wydaje się jednak, że próba regulacji statusu generowanej w ten sposób muzyki jest najbardziej opłacalnym wyjściem dla dużych wydawców.

Po pierwsze – to dla nich dodatkowe źródło przychodów. Po drugie – daje to wydawcom wizerunkową przewagę, która ułatwi im późniejsze rozprawienie się z firmami z branży AI, które nie pozyskały licencji. Bez kontraktu z Suno czy Udio przedstawiciele wytwórni słyszeliby, że są uparci, archaiczni i zamknięci na nowe.

W obecnej sytuacji będzie im łatwiej zaprowadzić porządek na tym cyfrowym Dzikim Zachodzie. Wreszcie, możliwość zapewnienia artystom realnych przychodów z tytułu licencjonowania ich twórczości na potrzeby algorytmów daje Universalowi i Warnerowi przewagę nad innymi wydawcami.

– Podstawą działania wytwórni jest nakłanianie muzyków, by przekazywali im prawa do swoich nagrań w zamian za oferowane przez wydawcę usługi – tłumaczy Backer. – Kiedyś oznaczało to dostęp do studia nagraniowego czy dystrybucji, jednak w epoce cyfrowej atrakcyjność takiej oferty przestała być oczywista. Dlatego dla wytwórni jest istotne, by mieć nową kartę przetargową. Teraz mogą powiedzieć: „słuchaj, generatywna sztuczna inteligencja będzie tworzyła muzykę bazującą na twojej twórczości – nie ma co do tego wątpliwości! Jednak trzymając z nami, uda ci się zarobić oraz będziesz miał nad tym pewną kontrolę". Myślę, że to ważny element tego, co dzisiaj robią Universal czy Warner.

Cyfrowy squating

Amerykański badacz ma również nadzieję, że umowa z branżą AI pomoże wydawcom nie tylko rozgrywać aplikacje ↦

BREAKING RUST

Sztuczna inteligencja „ubrała" charakterystyczny ton religijnych pieśni niewolników w wizerunek à la John Wayne. Tak narodził się fikcyjny artysta o nazwie Breaking Rust, którego piosenek można słuchać w streamingu.

↦ do generowania muzyki i platformy streamingowe względem siebie, ale także doprowadzi do jasnego podziału – prawdziwych artystów słuchamy na Spotify czy Deezerze, a bazujące na ich twórczości memy to domena Suno czy Udio.

I jakkolwiek odpowiada mi taka wizja, to wydaje mi się ona nieco zbyt optymistyczna. Bo w czyim interesie jest podkreślanie tej różnicy? Na pewno jest to ważne dla artystów, niezależnych wytwórni i platform (Bandcamp właśnie ogłosił, że nie będzie publikował utworów stworzonych przez AI), a także dla części słuchaczy. Nie wydaje się jednak, by zależało na tym największym serwisom streamingowym, skoro do tej pory tak niewiele z tym robią. A skala problemu jest potężna.

– Kilka miesięcy temu Deezer poinformował, że każdego dnia na ich platformę streamingową trafia 50 tys. utworów wygenerowanych wyłącznie przez sztuczną inteligencję – mówi Damon Krukowski, perkusista i publicysta zajmujący się rynkiem muzycznym. – Podejrzewam, że dzisiaj ta liczba jest wyższa, bo AI przyspiesza. Już niedługo utwory stworzone za jej pomocą będą stanowiły większość muzyki dostępnej w streamingu.

Zalew muzyki tworzonej przez AI sprawia, że katalog największych wytwórni ma niższy procentowy udział w bazie platform streamingowych, co może poprawiać pozycję negocjacyjną tych serwisów podczas rozmów z wydawcami. Między innymi dlatego Warner czy Universal chcą przekierować część tego ruchu na rzecz licencjonowanych aplikacji. Nawet jeśli im się to uda, problem pozostanie. Bo dotyczy nie tylko łamania praw majątkowych autorów, ale także ich autorskich praw osobistych.

Weźmy „cyfrowy squating" – tym określeniem Backer określa wytwory AI podszywające się pod prawdziwych artystów. Dobrym przykładem jest sytuacja, która miała miejsce po wycofaniu się ze Spotify popularnej australijskiej grupy King Gizzard & the Lizard Wizard. Niemal od razu na jej miejsce pojawiły się utwory sztucznego tworu o nazwie King Lizard Wizard. Wszystko po to, by naciągnąć zdezorientowanych fanów na tysiące odsłuchów, za którymi idą pieniądze.

Inny problem obrazuje przypadek piosenki country „Walk My Walk" fikcyjnego artysty o nazwie Breaking Rust. Na cyfrowo wygenerowanym zdjęciu twórcy widzimy białego kowboja w kapeluszu. Sęk w tym, że utwór czerpie najpewniej z głosu Blanco Browna – czarnego wokalisty poruszającego się pomiędzy country i hip-hopem. W rezultacie AI ubrała charakterystyczny ton religijnych pieśni niewolników z Południa w strój Johna Wayne'a. Można się spodziewać, że to dopiero początek problemów żywcem wyjętych z lemowskiej prozy, które zaserwuje nam sztuczna inteligencja.

Muzyczne memy

Na rosnącą obecność muzyki tworzonej przy pomocy AI warto spojrzeć jeszcze z dwóch perspektyw: konsumentów i artystów. Zacznę od tych pierwszych, bo wydaje się, że tu mamy najwięcej znaków zapytania. Przede wszystkim nie wiemy, czy szefowie Suno albo Udio mają rację, przewidując ogromne zainteresowanie ich ofertą, czy będzie to jednak bańka, chwilowa internetowa moda.

Zdaniem Backera ofercie tych aplikacji należy przyglądać się z dwóch perspektyw: – Jeśli patrzymy na te aplikacje przez pryzmat konsumentów, którzy będą tworzyć muzykę za ich sprawą, to ten potencjał wydaje mi się mocno ograniczony – przyznaje badacz. – Nie sądzę, by wiele osób wracało z pracy do domu i mówiło: „Suno, przygotuj mi piosenkę o moim dniu!". To brzmi okropnie. I nie chodzi mi o technikalia, to po prostu nie wydaje mi się atrakcyjne. Kiedy wracam do domu, chcę słuchać piosenek, które znają inni. Muzyka pozostaje jednak technologią międzyludzkich relacji. Popychanie jej w stronę solipsyzmu wydaje się przeciwne jej podstawowym założeniom.

Dlatego większą popularnością mogą cieszyć się muzyczne memy i inne przeróbki gwiazd krążące po social mediach lub nowych platformach zaprojektowanych z myślą o takich nagraniach. Tutaj istnieje potencjał zawiązywania się społeczności, chociażby fanów Taylor Swift, którzy będą czekać na nowe materiały bazujące na twórczości artystki. Być może sami twórcy będą za sprawą takich memów wchodzić w interakcje z odbiorcami. Backer proponuje tu określenie „slop halo" – jeśli „AI slop" oznacza amatorską twórczość wygenerowaną przy użyciu sztucznej inteligencji, to w tym przypadku mamy do czynienia z pierścieniem takich produkcji ściśle oplatającym danego artystę.

Zasadne wydaje się jednak pytanie, czy taki wysyp utworów naśladujących artystę rzeczywiście zwiększa jego popularność, czy ostatecznie dewaluuje jego, tak uniwersalnie przetwarzaną, twórczość. Polski kompozytor i producent Moo Latte, który w ostatnim czasie współpracuje z czołówką światowego rapu, patrzy na przyszłość muzyki wytwarzanej przez Suno czy Udio ze sceptycyzmem: – Być może będzie to ciekawostka dla fanów wielkich gwiazd, takich jak Ed Sheeran czy Dua Lipa. Będą mogli tworzyć własne piosenki z głosem swojego idola i zalewać

nimi internet. Wytwórnie na tym zarobią, użytkownicy po chwili się znudzą, a imitowany artysta będzie zmagał się z wypromowaniem kolejnej piosenki, którą faktycznie stworzył.

Protezy kreatywności

Krukowski zwraca moją uwagę, że podczas kluczowych dla tego sektora negocjacji pomiędzy wydawcami a przedstawicielami big techów nigdy nie są obecni muzycy. Być może jest tak dlatego, że amerykańskie prawo *de facto* zabrania im zakładać związki zawodowe, choć pewnie kluczowe jest to, że ich zdanie w tej akurat sprawie łatwo sobie wyobrazić.

Nawet jeśli Suno czy Udio nie będą tworzyły genialnych piosenek, najpewniej szybko zdominują sektor muzyki użytkowej (reklamy, telewizja), który dla wielu muzyków stanowi ważne źródło dochodu. Ucierpią też inżynierowie dźwięku, właściciele studiów nagraniowych, eksperci od miksu i masteringu. Stracą sidemani. Już dzisiaj można przeczytać o nieciekawej sytuacji instrumentalistów z Nashville. Perkusistów, którzy przez dekady dogrywali się do demówek początkujących twórców country próbujących zdobyć swój pierwszy kontrakt. Obecnie coraz częściej rejestrują tylko swój głos i gitarę, resztę dogrywa im sztuczna inteligencja.

– Jeśli chcesz, żeby twoje nagranie brzmiało po prostu profesjonalnie, zgodnie z oczekiwaniami, to pewnie wystarczy – twierdzi Backer. – Natomiast wielcy artyści nie robią rzeczy, które są od nich oczekiwane. Jeśli to maszyny będą podejmować kolejne artystyczne decyzje, to w muzyce będzie postępowało wygładzanie krzywej ludzkiej kreatywności.

W podobnym tonie wypowiada się Moo Latte: – Te platformy często nazywane są przez producentów „narzędziami", ale w mojej ocenie one bardziej przypominają protezy lub egzoszkielet dla kreatywności. Sięganie po nie wynika z pokusy nadludzkiej produktywności. Jednak wyręczanie się generowaniem nieskończonej ilości pomysłów jest tak naprawdę receptą na powolną degradację wyobraźni i zdolności do faktycznego tworzenia.

Piękna katastrofa

A co z przeróbkami? Czy artyści zgodzą się, by ich głosem czytane były listy zakupów, a solówki bazujące na brzmieniu ich instrumentu zapowiadały nadjeżdżającą windę? Z pewnością wielu z nich się wycofa, żądając od wytwórni wyłączenia takiego pola eksploatacji. Natomiast część z nich pewnie na to przystanie. Być może młodsi artyści wychowani w czasach social mediów i wszędobylskich memów nie będą mieli nawet co do tego większych wątpliwości. W końcu czasy się zmieniają, a branża muzyczna zawsze świetnie to odzwierciedlała.

– Zobacz, w okresie poprzedzającym nagrywanie nie mogłeś być wokalistą i nie być przy tym trochę aktorem – zauważa Backer. – Cała twoja praca sprowadzała się przecież do występowania na scenie. Dzisiaj zapewne część wytwórni tłumaczy muzykom, że ich praca to zarówno tworzenie piosenek, jak i rozwijanie swojej marki w social mediach. I dla wielu artystów to jest akceptowalne. Dlatego potrafię sobie wyobrazić, że w niedalekiej przyszłości wytwórnie będą tłumaczyć twórcom, że jeśli pozwolą na tworzenie memów na podstawie swojej muzyki – a wasza muzyka ma do tego potencjał, dzieciaku! – to mają o 34 proc. więcej szans na zrobienie kariery. Wiele osób na to pójdzie.

Wydaje się więc nieuniknione, że w najbliższej przyszłości czeka nas dalszy zalew muzyki tworzonej przez amatorów przy pomocy sztucznej inteligencji, a także memów naśladujących gwiazdy, które znamy z radiowych playlist. Mimo to moi rozmówcy starają się dostrzegać pozytywy w obecnym układzie sił.

Backer zwraca uwagę, że wytwórnie z godną podziwu sprawnością rozgrywają kolejne firmy z branży big tech. I nawet jeśli ich umowy są niejawne, a zyski dla artystów niewielkie, to wciąż lepiej, że o przyszłości sektora decydują ludzie, których muzyka rzeczywiście interesuje.

W inne tony uderza Krukowski, którego optymizm jest, no cóż, dość przewrotny: – Streaming jest taką katastrofą dla muzyków, że jego tonięcie w generycznych utworach wyprodukowanych przez AI może zadziałać na naszą korzyść. A przynajmniej nie mam problemu z tym, że coś zaburza *status quo* – w końcu ono nie przynosi nam żadnych korzyści.

© JAN BŁASZCZAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep Tygodnika Powszechnego

sklep.TygodnikPowszechny.pl

Tylko do końca lutego promocja do

-25% na e-booki

ZAMÓW

Szkatułka z niespodzianką

ADAM WOŹNIAK

POLECAMY | Powieść znanej tłumaczki opisuje świat, w którym nie ma już faktów, a słowo straciło swoją moc – pozostały nam tylko interpretacje i przekłady.

Czy tłumaczka powinna być jak sędzia piłkarski? Czy miarą jej sukcesu jest to, jak skutecznie zniknie z pola widzenia i zatrze po sobie ślady, umożliwiając płynną grę prawdziwym gwiazdom, czyli pisarzom? Kilka lat temu w eseju dla „Guardiana" Jennifer Croft uznała takie, niestety wciąż żywe podejście za jeden z najbardziej toksycznych literackich stereotypów. Autorka angielskich przekładów „Biegunów" i „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk przekonywała, że o tłumaczeniu warto myśleć raczej jako czymś z natury wspólnym – dziecku, które nie musi zdradzić matki, by dostrzec, że ma ojca.

Jako felietonistka i aktywistka literacka Croft od lat stara się odkleić od tłumaczy łatkę tych „gorszych" czy „mniej fajnych" rodziców tekstu. Krytykuje pomijanie ich nazwisk na okładkach, przekonuje, że są pełnowartościowymi artystami, przypominając też anglojęzycznym czytelnikom, że zachwycając się frazą „Flights" („Biegunów"), zachwycają się w istocie jej własnymi słowami.

Najmocniej na pozycję tłumaczy w polu literackim Croft oddziaływała jednak samą praktyką translatorską. Po kolejnych międzynarodowych nagrodach dla Olgi Tokarczuk często słyszało się przecież, że ma ona „szczęście" do doskonałych tłumaczek. Takie stawianie sprawy nie sprzyjało umacnianiu romantycznego mitu artysty, którego uniwersalne idee bronią się bez niczyjej pomocy, i to od razu we wszystkich językach.

Słabnięciu tego złudzenia sprzyjał też pewnie ogólny klimat intelektualny – od 2016 r. tłumacze zaczęli być równorzędnymi laureatami International Booker Prize (Croft otrzymała ją w 2018 r. właśnie za „Flights"), a kilka lat później obecność ich nazwisk na okładkach stała się niemal standardem.

Ciekawe, że właśnie w tych (na razie symbolicznie) lepszych dla tłumaczy czasach Croft postanowiła sprawdzić, jak to jest być po drugiej stronie, i napisała dwie powieści. A jeszcze ciekawsze, że zmieniając punkt siedzenia, Amerykanka wcale nie zmieniła punktu widzenia. Wprost przeciwnie.

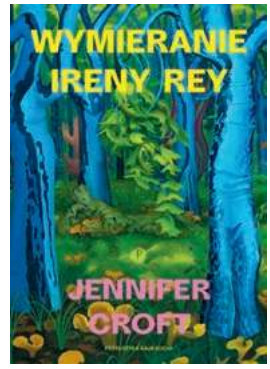

▪ *Jennifer Croft,* **WYMIERANIE IRENY REY** *przeł. Kaja Gucio, Pauza, Warszawa 2026*

Wydane właśnie w Polsce „Wymieranie Ireny Rey" to ironiczna, zabawna, a przy tym nienachalnie paraboliczna opowieść o kondycji współczesnych tłumaczy. Jeśli chodzi o formę, mamy tu do czynienia z prawdziwą wieżą Babel – w pierwszych zdaniach powieści dowiadujemy się, że czytany przez nas tekst jest tłumaczeniem na angielski zaginionego oryginału, który został napisany po polsku przez Argentynkę.

Jakby tego było mało, powieściowa „tłumaczka" jest jednocześnie bohaterką opowieści i co jakiś czas daje znać, jak bardzo nie podoba jej się sposób, w jaki została przedstawiona. A przecież potem już najzupełniej realna Kaja Gucio musiała jeszcze przełożyć to wszystko na polski! Całe szczęście zawartość tej literackiej „szkatułki", a co za tym idzie: fabuła „Wymierania...", jest zupełnie przejrzysta.

Ośmioro tłumaczy i tłumaczek z całego świata przyjeżdża do Puszczy Białowieskiej, by w towarzystwie wybitnej polskiej pisarki, Ireny Rey, przełożyć jej owiane tajemnicą *opus magnum*. Atmosfera tego plenum jest skrajnie sekciarska – zgromadzeni nie znają swoich imion, istnieją zakazane tematy, a autorka traktowana jest jak półbogini („Matka boska literacka").

Murowana faworytka do Nagrody Nobla od początku zachowuje się dziwnie, aż wreszcie znika bez słowa, zostawiając zdezorientowanych gości sam na sam z tekstem, nad którego kształtem nie czuwa już teraz żadna „boska" instancja. Podczas trwających równolegle z tłumaczeniem poszukiwań okazuje się zresztą, że Irena Rey nie jest wcale taka święta – ma na koncie zdrady i kilka drobnych świństw, a większość z tego, co opowiada na swój temat, to konfabulacje.

Odkrywając to wszystko, początkowo skrajnie podporządkowani czy wręcz stopieni z „geniuszką" tłumacze powoli uwalniają się spod jej toksycznego wpływu, zyskują sprawczość i na własną rękę zastanawiają się nad swoją pozycją w literackim ekosystemie. Czy są tylko pasożytami żerującymi na pracy prawdziwych twórców? A może przeciwnie – bywają od nich pożyteczniejsi, bo wobec nadmiaru tekstów trzeba nam dziś recyklingu (przekładów), zamiast kolejnych nowości?

Croft stawia te pytania wprost, ale interpretowanie jej tekstu jako doraźnej, branżowej satyry byłoby nieuczciwe. „Wymieranie..." można bowiem czytać jako egzystencjalną powieść o świeżo odkrytej wolności i żałobie po utraconych autorytetach. Otwierając tę książkę, zostajemy wrzuceni do uniwersum, którego stwórca oszalał, a potem zniknął. To świat, w którym wszyscy muszą się pogodzić z tym, że nie ma już faktów, a oryginalne Słowo straciło swoją moc – pozostały interpretacje i kolejne, często interesowne, przekłady.

Jeśli zaś chwilowo nie macie ochoty ani na metafizykę, ani na dyskusje o „polu literackim", można zapomnieć o całym tym bagażu i po prostu czerpać przyjemność z jadowitej ironii, na którą „tłumaczka" tekstu co i rusz pozwala sobie wobec znienawidzonej „autorki". A przy tym sprawdzić, jak amerykańska pisarka poradziła sobie z kreowaniem realiów polskiej prowincji. ©

■ *Qiu Miaojin*, **ZAPISKI KROKODYLA**, *przeł. Agnieszka Walulik, Tajfuny*

4 MAJA 2019 R. OSTATECZNIE ZALEGALIZOWANO na Tajwanie małżeństwa osób tej samej płci. Qiu Miaojin, autorka „Zapisków krokodyla", nie doczekała tej chwili, popełniła samobójstwo. To istotny kontekst dla powstałej ponad dwie dekady temu powieści. Otóż „Zapiski krokodyla" to dziennik młodej lesbijki, mieszkającej na przełomie lat 80. i 90 w Tajpej. Dziewczyna pisze o swoich studiach, związkach, tożsamości. I chociaż każda zajawka powieści mówi o niej w kontekście LGBT, książka właściwie omija kontekst walki o prawa osób nieheteronormatywnych. Na Tajwanie ten temat niemal nie istniał, a queerowość bohaterki, Laćki, realizuje się w codziennych negocjacjach ze sobą i dziewczynami, na punkcie których ma obsesję. Z drugiej strony Laćka nie przeprasza nikogo za swoją orientację i nie ukrywa jej. To może być jeden z powodów, dla których powieść zyskała tak dużą popularność w Tajwanie i na świecie. Relacja głównej bohaterki ze światem przebija się w krótkich fragmentach napisanych z perspektywy ambiwalentnego płciowo Krokodylo. Krokodylo krok po kroku odkrywa, że jest inne, że zasady współżycia społecznego nie obejmują takich jak ono, że musi ukrywać to, kim jest. Poza oczywistą metaforą queerowości w heteronormatywnym świecie, zapiski pozwalają czytać się także na inne sposoby. Laćka w pewnym momencie wspomina, że marzy o karierze pisarskiej. Może zapiski Krokodylo to jej pierwsze próby literackie? Cała książka jest z pewnością intensywnym poszukiwaniem własnego głosu i stylu, co widać w efekciarskich momentami zdaniach. Autorka nieustannie balansuje w nich pomiędzy depresją a euforią. Książka Qiu Miaojin może przypomnieć czytelnikom popularnej dziś Sally Rooney, że opowieści o problemach młodych dorosłych z dopasowaniem do świata i bliskością nie są tematem wyłącznie ostatniej dekady. I jeśli u Irlandki wszystko jest starannie zaplanowane i ułożone, u Tajwanki panuje kreatywny chaos. Pierwszoosobowa narratorka „Zapisków" otwiera dla nas swój dziennik i zasypuje nas emocjami. „Jako osiemnastolatka miałam za sobą już trzy lata obróbki na taśmie zakładu produkującego ekskluzywne konserwy egzaminacyjne. Ale w środku kryło się jedynie zgniłe mięso" – czytamy. Naprawdę warto dać się ponieść językowi tej powieści. © JAKUB SZYMCZAK

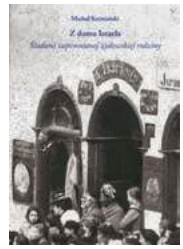

■ *Michał Kuźmiński*, **Z DOMU ISRAELA. ŚLADAMI ZAPOMNIANEJ ŻYDOWSKIEJ RODZINY**, *Austeria*

CZY ZDARZYŁO SIĘ WAM PATRZEĆ NA stare fotografie, na których – z powodu ziarnistości lub poruszenia – trudno dostrzec cokolwiek wyraźnego? A może poddaliście się kiedyś z żalem, próbując czytać dawne teksty, nie mogąc odcyfrować rękopisu, nie rozumiejąc językowych skrótów oraz form, które wyszły z użycia? Autor tej książki również się z tym mierzył. Zaczęło się od zainteresowania przodkami, a tak naprawdę pochodzeniem domu, który kupił – jak się powiadało u Kuźmińskich: „od Żyda" – pradziadek autora. Jednak „Z domu Izraela" nie opowiada historii, podpierając się archiwami. Ta książka pozwala archiwaliom mówić za siebie. Sprawia, że wybrzmiewa głos dla wielu mniej wprawnych uszu słabo lub wcale niesłyszalny. Michał Kuźmiński cytuje księgi wieczyste i adresowe, akta metrykalne, kwity, rachunki, listy sprzed lat. Pokazuje, jak wychodząc od jednego zdjęcia z 22 czerwca 1902 r., którego fragment słusznie stał się okładką książki, przeprowadzić śledztwo, odnaleźć kolejne fotografie, dokumenty, świadków. Tłumaczy, kiedy użyć lupy, a kiedy niezbędna będzie wiedza. Nie ukrywa ani wysiłku, ani zapału. Uczy czytania i rozumienia śladów przeszłości. Jednocześnie czyni czytelnika i czytelniczkę świadkiem: pracy odzyskiwania pamięci, a pośrednio – opisywanych wydarzeń. Widzimy i rozumiemy, jak prywatna historia rodziny Isacsohnów splata się nie tylko z losami przodków autora, ale też z samą Historią: zakup, a potem sprzedaż kamienicy na rynku w Golubiu, zmiany granic państw, śluby, narodziny i śmierci kolejnych członków rodziny, polityka kolejnych rządów, wyjazdy do szkół, pracy, na emigrację, przeprowadzka do Berlina, wojna, przetrwanie, Zagłada, ocalenie. Widzimy również, jak rośnie znajomość dziejów, w miarę jak jest zgłębiana. Narrator nieustannie krąży wokół okładkowego zdjęcia, szuka informacji o zgromadzeniu na golubskim rynku, o samym budynku, wreszcie – o ludziach stojących na schodach. Ten głos nie dominuje jednak nad głosami dokumentów. To taniec z archiwami, którego kroków Kuźmiński uczy czytelnika z uprzejmą stanowczością, i w którym prowadzi, nie udając omniscjencji. © AGATA OKOŃSKA

■ **FESTIWAL TEATRÓW DLA DZIECI**, *Nowohuckie Centrum Kultury w Krakowie, 1–13 lutego*

CZTERNAŚCIE TEATRÓW z całej Polski zaprezentuje dziewiętnaście spektakli. Tegoroczna edycja Festiwalu Teatrów dla Dzieci poświęcona jest motywowi podróży – zarówno tej rozumianej dosłownie, jak i symbolicznej wyprawie do krainy wyobraźni. Organizatorzy obiecują, że udamy się m.in. do Kanady i Japonii oraz kilku krajów nadbałtyckich, przemierzymy afrykańską sawannę, zanurzymy się w oceanach i morzach, a także odwiedzimy parki narodowe – od Grenlandii po Komodo. Spotkamy Anię z Zielonego Wzgórza (Teatr Zagłębia z Sosnowca), Pippi Långstrump (Teatr Lalki i Aktora z Wałbrzycha), Dzieci z Bullerbyn (Teatr Miejski w Gliwicach) oraz Koziołka Matołka w Afryce (Teatr Banialuka z Bielska-Białej). Teatr im. Adama Mickiewicza z Częstochowy zdradzi, jak zostać smokiem, a z lubelskim Teatrem Andersena wyruszymy na poszukiwanie skarbów. Festiwalowi towarzyszą warsztaty dla dzieci oraz dwie wystawy autorstwa Aleksandry i Daniela Mizielińskich: „Mapy. Obrazkowa podróż po lądach, morzach i kulturach świata" oraz „Którędy do Yellowstone? Dzika podróż po parkach narodowych". Na wielkoformatowych płótnach zaprezentowane zostaną strony z atlasów – gratka dla miłośników twórczości pary słynnych ilustratorów. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Z gracją zejść ze świecznika

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Czy Paolo Sorrentino rzeczywiście ma „starą duszę", czy ze starzenia się i przemijania uczynił ozdobny autorski stempel, który ma dodawać głębi jego kinu?

„Wielkie piękno" (2013) Sorrentino nakręcił tuż po czterdziestce, czyli „w życia wędrówce, na połowie czasu", czyniąc ze starszego o dekadę Toniego Servilla swój aktorski fetysz. Współpracowali ze sobą już dużo wcześniej, przy „O jednego więcej" (2001), to jednak właśnie on stał się dla Sorrentina najdoskonalszym wcieleniem jego obsesji, również tych związanych z upływem czasu. Trudno wyobrazić sobie innego aktora w roli melancholijnych rzymskich dandysów czy politycznych monstrów (Andreotti w „Boskim" i Berlusconi w „Onych"), którzy też na różne sposoby próbowali zaklinać swój czas.

W najnowszym filmie, „La Grazia", do pewnego stopnia łączy tamte postacie. I to, że sztandarowa kwestia „do kogo należą nasze dni?" nie wybrzmiewa tu z ciężkim dudnieniem, zawdzięcza film w dużej mierze ironicznemu błyskowi w oczach Servilla, nagrodzonego za tę rolę na ubiegłorocznym festiwalu w Wenecji.

Co pozostanie? – to pytanie zadawane sobie na odchodnym nabiera szczególnego ciężaru u sprawujących władzę. Zwłaszcza gdy było się politycznym „żelbetem", czyli religijnym ortodoksem i sztywnym karnistą z zawodu. Chadecki prezydent Mariano De Santis jest w dodatku wdowcem podwójnie zasuszonym w swoim żalu – nie przestaje zadręczać się spekulacjami, z kim zdradziła go żona... czterdzieści lat wcześniej. Zakładnik toksycznej pamięci, więzień protokołu i restrykcyjnych diet (pilnowany przez córkę zatrudnioną w roli doradczyni i asystentki), a do tego niespełniony poeta, jest ów prezydent kolejnym u Sorrentina samotnikiem, podobnie jak ekscentryczni papieże w jego głośnych serialach.

Zresztą „La Grazia" też uchyla przed nami bramy Watykanu: zanim Mariano przejdzie na polityczną emeryturę, musi podjąć trudną decyzję w sprawie ustawy o eutanazji, dla niektórych „śmiercionośnej", dla innych pozwalającej godnie odejść. Na biurku ma jeszcze dwie prośby o ułaskawienie – męża, który postanowił skrócić cierpienie swojej żony w końcowym stadium alzheimera, i kobiety, która w poczuciu bezradności i rozpaczy zabiła przemocowego małżonka. Ze swoimi dylematami udaje się nasz bohater do samego ojca świętego, a ten – witajcie w uniwersum Sorrentina – jest czarny i posiada bujne dredy.

Właśnie to delikatne przekręcenie, jakże charakterystyczne dla twórcy „Wszystkich odlotów Cheyenne'a", nadaje lekkości filmowi ponaddwugodzinnemu, przepełnionemu samymi ważkimi kwestiami i odtwarzającemu raz jeszcze to, za co albo tego reżysera się kocha, albo wręcz przeciwnie. Czyli stylizację barokową w podwójnym znaczeniu tego słowa, bo celebrującą zarówno swój estetyczny nadmiar, jak i wszechobecną *vanitas*. Dlatego wielkie zmęczenie Mariana, jego egzystencjalne odklejanie się od świata i jego nowych rytmów, oddaje Sorrentino, sięgając po spowolnione zdjęcia czy przeskalowane dźwięki techno. Zresztą na bardzo eklektycznej ścieżce dźwiękowej „La Grazii" można też usłyszeć Ryūichiego Sakamoto, Jóhanna Jóhannssona, Lou Reeda oraz Hanię Rani i Dobrawę Czocher, nie mówiąc o alpejskich strażnikach, odgrywających w tym filmie cokolwiek surrealistyczną rolę.

A twardogłową monstrualność głównej postaci, która nawet ukochanego konia skazuje na długie konanie, nieoczekiwanie zmiękcza piękną sceną z astronautą na orbicie – obserwowanym zdalnie i na żywo przez włoskiego prezydenta, stęsknionego za kosmiczną nieważkością. Przewrotnie nawiązuje tutaj reżyser do postaci Umberta Guidoniego, autentycznego włoskiego astronauty, który został... lewicowym politykiem, i w scenariuszu znajdziemy więcej takich zapożyczeń z rodzimej rzeczywistości.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

ANDREA PIRRELLO / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

LA GRAZIA *– reż. Paolo Sorrentino. Prod. Włochy 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 6 lutego.*

Paolo Sorrentino to jeden z najbardziej rozpoznawalnych twórców europejskiego kina, choć nie posiada filmowego wykształcenia. W jego filmach powraca regularnie rodzinny Neapol („To była ręka Boga", „Bogini Partenope"), poszukiwania utraconego czasu („Wielkie piękno", „Młodość"), a także satyryczne portrety władzy („Boski", „Oni", seriale „Młody papież" i „Nowy papież").

Powyżej: kadr z filmu „La Grazia"

Ale „La Grazia" to nade wszystko portret starości na szczytach, i to portret na sterydach. Ostatnie miesiące bardzo przeciętnej prezydentury naznaczone są gigantycznym lękiem przed odpowiedzialnością oraz pragnieniem urodzonego służbisty, by jak najlepiej dokończyć swe dzieło – i ramy tego portretu próbuje Sorrentino maksymalnie rozciągnąć.

Dywaguje więc o sensie życia w ogóle i widzi w swoim bohaterze postać wręcz modelową: pogubionego acz zadufanego w sobie małżonka, ojca, mężczyznę starej daty. „Nie prawdy szukaj, ino miłości" – chciałoby się sparafrazować polskiego klasyka, dopisując na końcu jeszcze odwagę. Zamiast do prawniczo-etycznych rozstrzygnięć typu „winny czy niewinny", „słuszny czy nie", namawia bowiem włoski reżyser, by po prostu otworzyć się na życie, we wszystkich jego komplikacjach, nieoczywistościach, niewiadomych. I wie, jak zamienić te banały w atrakcyjne widowisko, w którym jest miejsce na wysłane z przyszłości psy roboty, na wstydliwe tajemnice z przeszłości i na delikatną kpinę z nich.

Szkoda tylko, że twórcy „Młodości" zdarza się grzeszyć wielosłowiem i zarazem dosłownością, czym zagaduje czasami to, co można było wyrazić w soczystych sorrentinowskich obrazach czy w aktorskiej ekspresji.

Przez tę skłonność do eleganckiej ględźby odechciewa się tłumaczenia, czym jest tytułowa łaska – niemal wszystkie możliwe eksplikacje zostają nam z gracją podane na tacy. W porównaniu jednak do poprzedniego filmu, „Bogini Partenope" (2024), który był wykaligrafowaną męską fantazją o feminizmie, „La Grazia" wydaje się trochę „bliżej krwioobiegu", i – jadąc dalej Grochowiakiem – „w zziębłość posągów wkłada zapach mysi". Robi to właśnie boski Servillo w roli kogoś, kto powoli schodzi ze świecznika, i film kończy się moim zdaniem w najciekawszym momencie, kiedy bohater, wreszcie wolny, przebudzony, „uczłowieczony", będzie musiał jakoś zagospodarować własną starość.

Dlatego „La Grazia", w swojej dawno sprawdzonej formie i trochę niezgrabnych ukłonach w stronę nowoczesności (patrz: znany włoski raper Guè w roli samego siebie), cała jest o tym, że przemija postać świata i nawet mistrz Sorrentino nie ukrywa, że coraz trudniej mu za nią nadążyć. Stawia więc kolejny nostalgiczny i wykwintny pomnik. Dla jednych zapewne pustawy w środku, dla innych zaś na tyle pojemny, że można tam spokojnie powkładać swoje mniej ekskluzywne nostalgie czy lęki. ©

Lektor:
Rumaki i ślimaki

▪ *Józef Czapski, Wojciech Karpiński,* **KORESPONDENCJA**, *odczytali Julia Juryś i Mikołaj Nowak-Rogoziński. Opracował Mikołaj Nowak-Rogoziński. Wydawnictwo Próby, Warszawa 2025, ss. 316.*

Jesień 1965 r., paryska restauracja koło dworca Saint-Lazaire. Zygmunt Hertz, jeden z filarów „Kultury", przyprowadza młodego przybysza z Warszawy – Wojciech Karpiński ma 22 lata, ale wygląda jak nastolatek. Przy stoliku czeka już 69-letni Józef Czapski...

Tak się zaczęła wieloletnia znajomość, a potem przyjaźń. Młody Karpiński był do tego spotkania dobrze przygotowany. Dzięki ciotce pracującej w warszawskim Muzeum Narodowym obejrzał przechowywane tam obrazy Czapskiego. Wiedział, czym jest „Kultura", dokładnie też przeczytał „Oko" – wydany przez Giedroycia tom szkiców Czapskiego. Nic dziwnego, że malarz, polecając go później Maciejowi Morawskiemu, dziennikarzowi i działaczowi emigracyjnemu, nazwie Karpińskiego wunderkindem, cudownym dzieckiem: „Zupełny fenomen, jeżeli chodzi o oczytanie, o poziom myślenia i chyba także o gatunek człowieka".

Pierwsze lata tej korespondencji upływają pod znakiem konspiracji – odbiorcą listów słanych z Warszawy jest zaprzyjaźniony z Czapskim Francuz. Ostrożność wskazana, po drodze był przecież Marzec, Wojciech publikuje pod pseudonimem w „Kulturze", a jego starszy brat Jakub, socjolog, trafia do więzienia i zostaje skazany w „procesie taterników", oskarżonych o przerzucanie do kraju wydawnictw emigracyjnych. Wprowadzenie stanu wojennego zastaje Karpińskiego za granicą – odtąd wymiana listów staje się swobodna, a zarazem coraz bardziej dramatyczna, bo odzwierciedla heroiczną walkę tracącego powoli wzrok artysty o swoje malarstwo. Czapski czasem układa w myśli wielostronicowe listy, które nie zostaną przelane na papier, także dlatego, że jego pismo staje się zupełnie nieczytelne.

Zresztą rdzeniem tej przyjaźni jest chyba właśnie sztuka (w książce korespodencji towarzyszą zresztą wspaniałe ilustracje!). W Karpińskim napotkał Czapski odbiorcę idealnego, podzielającego jego hierarchię wartości i pełnego podziwu dla jego malarstwa. W 1985 r., po operacji w paryskim szpitalu, Karpiński pisze: „Ja się oddaję lenistwu, ale już do tego przywykłem. Nie mając Twojej energii, nie mam też Twoich wymagań wobec siebie (...) my ślimaki patrzymy z osłupieniem na różne pędzące rumaki, które, gdy tylko trochę zwolnią, sądzą, że stoją w miejscu, a tymczasem gnają jak opętane". Mając w pamięci ogromny dorobek Karpińskiego i jego zasługi choćby właśnie dla Czapskiego, pozostaje westchnąć: obyśmy mieli jak najwięcej takich ślimaków! ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Przy wspólnym stole

Osiem wspólnych posiłków tygodniowo zapewni największą satysfakcję z życia. Czyli raz dziennie kolacja plus obiad w niedzielę – byle nie za dużo gadać o robocie, chyba że sprawy zawodowe to jedyny temat pozwalający uniknąć dyskusji o rozpadzie kanapy model Polska 2050. Okazała się jeszcze mniej trwała niż sofa rozkładana Kaputt, czy jak tam się zwie najtańsza linia meblarska znanego wszem wobec szwedzkiego producenta. Jako najlepiej poinformowana grupa czytelnicza w Polsce, czerpiąc z mądrości profesora Flisa, spodziewaliście się tego już od dawna, właściwie od samego momentu założycielskiego, kiedy wasz ulubiony „Tygodnik" stracił świetnego felietonistę. Tutejszej rubryczce daleko do świetności tamtych popisów Szymona Hołowni, ale za to możecie być pewni, że jej autor porzuci kartkę, ołówek oraz nóż i deskę do krojenia na rzecz służby publicznej dopiero, gdy go z zaświatów Najjaśniejszy Pan zawoła, by podjął dworską karierę w niebiańskim Schönbrunnie.

Tymczasem zaś będziemy pilnować garnków, bo, jak się rzekło, idzie o szczęście ludzkości, a w każdym razie tej niewielkiej cząstki, którą zdołamy co wieczór posadzić przy naszym stole. Koniecznie razem. Polskie słowo „towarzystwo" wzięło się, o ile wierzyć etymologom, z tureckiego rdzenia, który służył do oznaczania majątku – ten sam znajdziemy w naszym „towarze". Czuję się z tym głupio, jakbym prosząc na kolację już sobie kombinował, jak was sprzedać reklamodawcom albo wyciągnąć jakąś wymienną korzyść z waszej obecności. Chyba że jest to skrzynka jabłek ze starego sadu, za którą pięknie dziękuję czytelnikom. Porzućmy zatem to interesowne towarzystwo i zasiądźmy w kompanii, oby wesołej. W tym bardzo starym słowie – które w dodatku siedzi od zawsze we włoszczyźnie czy we frywolnej mowie Francuza – pobrzmiewa łacińskie *cum panis*, czyli wspólnota chleba. Tamte romańskie ludy były przekonane, że nie ma lepszego miejsca na bycie-z-kimś, jak stół z jadłem. Niekoniecznie uczta, po prostu posiłek. Dwa kęsy przed spoczynkiem.

Co potwierdzają ankiety Gallupa przeprowadzone na 150 tysiącach osób w parudziesięciu krajach, z których wziąłem ową tabelkę korelacji liczby nie-samotnych posiłków z subiektywnymi miarami szczęścia. Wszystko to w ramach *World Happiness Index*, o którym to wskaźniku na pewno słyszeliście z kochających rankingi mediów, choćby to, że rokrocznie za najprzychylniejsze miejsce na Ziemi uznaje Finlandię. Serio? Mam jechać do Helsinek, jakbym miał w zapasie drugi zestaw palców do odmrożenia? Gdyby publikowali te tabelki w lecie, może dałbym wiarę, ale dziś,

kiedy po najwstrętniejszym w mojej pamięci styczniu zaczyna się luty tylko o tyle lepszy, że ma trzy dni mniej, nie będę niczego zazdrościł poddanym królowej lodu. Przy bliższym oglądzie tabela wygląda jeszcze bardziej podejrzanie: czołówkę sprzyjających szczęściu krajów tworzą jeszcze Dania, Islandia, Szwecja, Norwegia... jedyne kraje z nieco mniej upiornej strefy klimatycznej w pierwszej dziesiątce zbiorczego rankingu to Holandia, Szwajcaria i Luksemburg. Ale one z kolei to dowód, że pieniądze, owszem, dają szczęście i właściwie możemy przestać dalej czytać te bajki na dobranoc dla grzecznych dzieci Mamony.

Ale taki jest urok zbiorczych zestawień, grubych uogólnień, że mówią o wszystkim naraz, a więc o niczym. Wiele za to szczegółowych przekrojów przynosi korzyść poznawczą, jak ów rozdział o posiłkach. Zawsze jest miło zobaczyć, że nasze własne intuicje czy wręcz przekonania dla nas oczywiste, znajdują potwierdzenie w badaniach i ich analizie wykonanych z jako takim rygorem metodologii nauk społecznych.

Uważniejsze czytanie danych przynosi jeszcze różne małe i większe zaskoczenia. Jak się rzekło, subiektywne poczucie zadowolenia szczytuje w okolicach ośmiu posiłków tygodniowo, po czym znowu lekko opada. Polska nie jest, a w każdym razie sama się nie uważa za szczęśliwy kraj. Pewnie dlatego, że za mało jemy razem? Przeciwnie. Tych posiłków wspólnych mamy prawie jedenaście tygodniowo i jesteśmy z tym wynikiem na piątym miejscu w świecie – przed nami są tylko kraje takie jak Senegal czy Paragwaj. Nawet

ALEKSANDRA SUZI / SHUTTERSTOCK

Wspólne biesiadowanie w Helsinkach podczas obchodów Dnia Miasta. Finlandia, 12 czerwca 2018 r.

super biesiadne Hiszpania i Włochy lokują się około trzydziestki, Francja jeszcze dalej. Przy czym nasz region wypada ogólnie słabo, samotniczo, do czego przyczyniają się denne wskaźniki zwłaszcza Bałtów (ale Czesi i Słowacy wyraźnie od nich lepiej).

Czyli za dużo wspólnoty to też niedobrze? Każdy musi mieć swoją chwilę na osobności, zjeść rano owsiankę, stojąc samotnie przed oknem, gapiąc się na głodne ptaki dziobiące w zmarzlinie? Może w samych badaniach jest jakaś luka albo może trzeba by sięgnąć głębiej, w rewiry, gdzie już żadna ankieta nie sięgnie. Wstyd powiedzieć, ale podejrzewam, że zadowolenie z życia, owszem, zależy od tego, ile razy się zasiada do wieczerzy w kompanii – ale może w równym stopniu od tego, co i jak się spożywa. Co prawda Finowie w zimie mają dietę równie ponurą jak nasza, ale szczęśliwość osiągają pomimo, a nie dzięki jedzeniu – za sprawą np. wysławianej wspólnotowości w innych obszarach doświadczeń codziennych. Chcąc też zrobić coś dla swojego państwa, jak mój dawny kolega z łamów, zastanawiam się, co będzie łatwiej: obudzić w nas tutaj nad Wisłą ducha współpracy, czy raczej zmienić dietę na bardziej śródziemnomorską, bo nie ma lepszej drogi do nieba w gębie?

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Kremowe aglio e olio z palonym czosnkiem

Oto przepis szarobiały jak pogoda za oknem, a zarazem mający coś immanentnie włoskiego, bo łączy w sobie ideę makaronu aglio e olio z kremowością, jaką znamy z carbonary (zresztą można na koniec dodać kawałeczki zrumienionego boczku!). Jeśli dodam, że nauczyłem się go od amerykańskiej autorki pochodzącej jednakowoż z Rumunii... to już totalny mętlik. Ważne, że łatwe, zdrowe i bardzo sezonowe, bo czosnku ci u nas dostatek.

SKŁADNIKI:
240 g krótkiego makaronu 1 główka czosnku 40 ml oliwy 40 ml śmietanki 600 ml wody ▪ sól

Obieramy czosnek, zostawiamy jeden ząbek, resztę dajemy na patelenkę z oliwą, podgrzewamy i kiedy oliwa zacznie lekko syczeć, zmniejszamy ogień i bardzo ostrożnie, często mieszając, rumienimy ząbki, aż osiągną złotą barwę wpadającą w lekki brąz. To bardzo delikatna faza, nie można pospieszać, bo łatwo przegiąć i po prostu przypalić, co będzie skutkowało goryczą. Może nam to zająć nawet 10 minut. Wyjmujemy czosnek, wkładamy go do garnka z zimną, odmierzoną wodą z solą, przykrywamy, zagotowujemy. Od momentu wrzenia gotujemy 5 minut. Wyjmujemy go cedzakiem, a do garnka z wrzątkiem wrzucamy makaron, po czym dodajemy po chwili czosnek, który rozgnietliśmy na pastę łyżką albo bokiem noża. Gotujemy bez przykrywki na średnim ogniu, często mieszamy, bowiem woda będzie wyparowywać i w garnku zacznie się robić „gęsto". Na dwie minuty przed podanym na opakowaniu makaronu czasie gotowania wody już prawie nie powinno być. Wlewamy zachowaną oliwę, dodajemy świeży ząbek czosnku drobniutko posiekany, intensywnie mieszamy, wlewamy śmietankę, znów mieszamy, wyłączamy ciepło i przykrywamy na dwie minuty. Cała woda powinna w tym czasie zostać wchłonięta, a kluski otoczone wybitnie kremowym sosem. Na wydaniu lubię go wzbogacić niewielką garstką parmezanu. ©℗

ADILSON SOCHODOLAK / SHUTTERSTOCK

GDY WOŁOSI ZESZLI Z GÓR

MACIEJ JANOWSKI, HISTORYK:

Z dwóch obrazów – gór jako działu, granicy, oraz przełęczy, przez które prowadzą drogi – bliższa jest mi ta druga, łącząca.

MARCIN ŻYŁA: Ma Pan z Mokotowa kawałek do gór.

MACIEJ JANOWSKI: A wie pan, że często mi się śnią? Tuż tuż, pod Warszawą. Wychodzę z domu, idę na Pole Mokotowskie i stamtąd, za Żwirki i Wigury, widzę jakieś tatroidy. Czasem – Karpaty siedmiogrodzkie. Do Siedmiogrodu podróżowałem w latach 90., w snach jest krainą z bajki.

Pochodzę z Kongresówki. Nie mam górskiej *inner knowledge*, żadnej rodziny na Podhalu. W Tatrach i w Rumunii jestem tak samo obcy jak każdy inny turysta, który kupuje placek po węgiersku i z rozdziawioną gębą słucha przewodników.

Z tą różnicą, że pisze Pan potem książkę o historii Karpat. Nie wierzę w tę Pana obcość.

Jestem z rocznika 1963. Układałem sobie świat w głowie podczas pierwszej Solidarności i stanu wojennego. Wtedy Europa Środkowa była w modzie. Ale z wyjątkiem „Europy słowiańskiej" Jerzego Kłoczowskiego teksty innych – nawet Kundery – były ogólnikowe. Chodziło o to, żeby odciąć się od Rosji albo z nostalgią wrócić do Austro-Węgier. Co zresztą mnie, Warszawianina, znów zostawiało na uboczu. Chodziło mi o coś więcej – znalezienie kontekstu dla zrozumienia historii Polski.

Na studiach wymyśliłem, że napiszę o szkole krakowskiej i jej odpowiednikach w Czechach i na Węgrzech. Czyli o konserwatywnych, prohabsburskich historykach przełomu XIX i XX w., którzy zarazem sprzeciwiają się nacjonalistycznej wizji historii. Ta książka jeszcze nie powstała. Napisałem za to historię regionu od innej strony: uogólnione dzieje Karpat, jedną opowieść, z przykładami i z Polski, i z Rumunii.

Jako dziecko narysowałem na mapie okrąg ze środkiem w Koszycach. Miał promień o długości niecałych 200 kilometrów, lecz w środku zmieściło się siedem państw. Zdziwiłem się: czemu, mieszkając na południu Polski, z radia wiem więcej o dalekim Szczecinie niż o bliskiej Bańskiej Bystrzycy?

W książce „Wspólnoty wyobrażone" Benedict Anderson opisuje, jak gazeta codzienna tworzy wyobrażenie państwa. Mapy są skadrowane tak, że układają nam specyficzny obraz. Ja też przeżywałem zdziwienia – np. odkrywając, jak blisko od Czarnohory są Góry Rodniańskie. Osobne mapy Ukrainy i Rumunii nie pokazują tego sąsiedztwa.

Na mapach w PRL granice zaznaczano wyraźniej. Ale to, co za nimi, rysowano bez szczegółów.

Podobnie jak na mapach średniowiecznych. „*Ubi leones*" – „tam, gdzie lwy żyją" – tak podpisywano zagranicę.

Tylko że ze szczytu góry to, co po drugiej stronie granicy, widzi się jak na dłoni. To nie jest wyobrażenie dalekiej Szwecji z plaży w Kołobrzegu. Tamte mapy po prostu unieważniały rzeczywistość.

Efekt był taki, że gdy w 1989 r. pierwszy raz pojechałem do Czechosłowacji, zafascynował mnie świat podobny i inny zarazem. Dlaczego ratusz w Lewoczy ma takie same attyki jak Sukiennice? Czemu w Preszowie rynek nie jest kwadratowy?

Przełom Żelaznej Bramy na pograniczu serbsko-rumuńskim – miejsce, gdzie kończą się Karpaty.

SLAVICA STAJIC / ADOBE STOCK

Gdy jest się w Rumunii i na freskach widzi bojarów, ich zupełnie sarmacki wyraz twarzy i typ stroju, ma się poczucie, że podręczniki szkolne nas oszukały. Że przez wydzielenie historii Polski z dziejów regionu pokazano nam nieprawdziwy obraz.

To z potrzeby naprawienia podręczników powstała ta książka?

Raczej z chęci wyjaśnienia samemu sobie pewnych kwestii po latach wakacyjnych wędrówek. Z dwóch obrazów – gór jako działu, granicy, oraz przełęczy, przez które prowadzą drogi – bliższa jest mi ta druga, łącząca. Jest mniej oczywista.

Z ogólnopolskiej perspektywy Karpaty są pograniczem. Trwałym i pokojowym – akurat wojen polsko-węgierskich dzieje nam oszczędziły. W „Karpatach" starałem się zwrócić uwagę na podobieństwa, wychodząc z założenia, że różnice widzi każdy. Nie znam się na Alpach, ale intuicyjnie czuję, że skoro Karpaty są niższe, to element łącznikowy jest ważniejszy. Niemiecki gotyk i barok jest inny niż we Włoszech. Karpaty są granicą bardziej przenikalną, nawet ich łukowy kształt sprawia, że trudno powiedzieć, co jest na północ, a co na południe od nich.

Pisze Pan, że określenie granic Karpat nie jest tak bardzo istotne. Dlaczego?

Definicje są zubożające. Reinhart Koselleck, wybitny niemiecki historyk, który zajmował się historią pojęć, napisał, że słowa możemy definiować, lecz pojęć nie. Pojęcia można starać się zrozumieć. Zacytował też Nietzschego: „Tylko to da się zdefiniować, co nie ma historii". Bo w trakcie historii to coś się zmienia.

To porozmawiajmy o zmieniającej się górskości: czymś, co upodabnia do siebie życie i miejscowości po różnych stronach karpackich granic. Składają się na nią, Pana zdaniem: hodowla zwierząt, dziedzictwo kolonizacji wołoskiej, pograniczność, historia zbójnictwa oraz, w przeszłości, lżejszy niż na nizinach ucisk pańszczyźniany.

Jestem pewien, że górskość istnieje. Dobrze byłoby ją pokazać w szczególe. Ogólne reguły znamy: że na 100 metrów różnicy wysokości temperatura spada średnio o pół stopnia; że wtedy rolnictwo staje się trudne i mało opłacalne, lepiej wypasać stada. Żyje się ciężko, do pracy ważna jest każda para rąk, więc kobiety mają nieco bardziej niezależną pozycję. O tych kwestiach geografowie i historycy piszą od XIX w. Brakuje jednak książki o tym, jak ta górskość „pracuje" w konkretnej wsi.

Na czym polega osławiona górska wolność?

W górach pańszczyzny było mniej. Wyżej zboże rodzi gorzej i postawienie folwarku jest nieopłacalne. Władzy trudniej się tu dopchać, trudniej kontrolować. Choć z drugiej strony – w odległych regionach łatwiej ukryć nadużycia, a nawet zbrodnie. To nie przypadek, że kard. Wyszyńskiego trzymali w Bieszczadach.

Historia Karpat to gra wolności i niewoli?

Karpaty były przestrzenią wolności chłopskiej – ograniczonej, ale realnej. Wieś miała samorząd, pan nie był wszechmocny – między nim a wsią ciągle toczyła się gra.

↦

Jestem trochę sceptyczny wobec czarnego obrazu przedstawianego przez badaczy z nurtu ludowej historii Polski. Jednym z powodów jest niebywały poziom artystyczny wiejskiej architektury drewnianej, czy innych dziedzin sztuki określanej jako „ludowa". Chłopi w Karpatach są nie tylko poddanymi. Jest w nich sprawczość, umiejętność, możliwość i potrzeba artystycznej ekspresji.

Gdy na rumuńskich freskach widzi się bojarów, ich sarmacki wyraz twarzy i typ stroju, ma się poczucie, że podręczniki nas oszukały. **Wydzielenie historii Polski z dziejów regionu fałszuje obraz.**

Z kolei górska pograniczność to remedium na jednorodny obraz zhomogenizowanych państw narodowych. Na pomysł, że uogólniona Polska zaczyna się w Szczecinie i kończy w Ustrzykach, a tuż tuż, za Sanem, zaczyna się uogólniona Ukraina. Tak przecież nie jest. W Karpatach – to efekt kolonizacji wołoskiej – po obu stronach granicy istnieje pas podobieństwa kulturowego.

Na to się nakłada jeszcze jedna warstwa: brak centralnych ośrodków, które promieniują władzą. Używane dotąd w tym kontekście słowo „pogranicze" oznaczało tak naprawdę „prowincję" – miejsce, gdzie historia dzieje się na marginesie.

To jest dalekie od mojego rozumienia tego słowa. W książce starałem się pokazać, że w Karpatach historia dzieje się w sposób intensywny.

Natomiast to prawda, że historia Karpat jest historią bez centrum. Po pierwsze, nie bardzo wiadomo, gdzie znajduje się ich środek. Po drugie – z wyjątkiem Bratysławy w państwie słowackim, które ostatecznie istnieje od niedawna – jest to właśnie historia bez stolic. Wiedeń, Bukareszt czy Kraków – nie mówiąc o Warszawie czy Kijowie – nie leżą w górach. Dlatego w kontekście historii Karpat można przywołać anglosaską ideę *composite state*, która głosi, że co najmniej do XVIII w. nie ma tu ściśle określonych centrów władzy. Są różne poziomy zwierzchności, które pozostają ze sobą w chwiejnej równowadze.

Na przykład?

Na Podhalu przez kilka pokoleń urząd starosty należy do rodziny Komorowskich. Mogą oni na tym terenie wiele, ale nie mogą wszystkiego: na ich działalność są pisane skargi do królewskiego sądu. A zbyt ostre próby podporządkowania sobie wsi skutkują biernym bądź czynnym oporem.

Poza ziemiami Rzeczypospolitej czymś takim jest Spisz, a w jego składzie – poszczególne miasta tworzące wspólnotę. Istnieje prepozytura spiska, czyli osobna władza kościelna, są inne instytucje w postaci okręgu kopijników. Spisz jest komitatem, jedną z prowincji państwa węgierskiego – a zarazem strukturą odrębną. Bardzo wyraźną fizjonomię kulturowo-polityczną miały terytoria Sasów siedmiogrodzkich, tzw. Ziemia Królewska, Königsboden.

Wieś Orawka, położona 80 km od Krakowa, do końca I wojny światowej w granicach Węgier, była znana z barwienia tkanin. Mieszkańcy sprzedawali je nawet nad Adriatykiem. Wyjeżdżali po Wielkanocy, wracali przed Bożym Narodzeniem. Myślę często o tej scenie: ostatnie kilometry pokonują w zaspach, do domów przywożą nieznane zapachy, wzory, tkaniny. A jest dopiero XVIII wiek!

Ludzie są o wiele bardziej mobilni, niż nam się wydaje. Jeden z węgierskich historyków opisywał, że średniowieczna wieś była w ciągłym ruchu. A co jeśli słynne „*glebae adscripti*" nie oznacza „przywiązanego", lecz „przypisanego do ziemi"? Chłop przypisany do ziemi w dokumentach czy księgach parafialnych jest poddanym danego pana, ma określone obowiązki – ale to nie znaczy, że grozi mu śmierć, jeśli opuści wieś.

Mam książkę „Listy poddanych" wydaną na Słowacji w czasach stalinowskich. Są w niej dawne petycje chłopów, żeby ich panowie nie męczyli, wysyłając 200 km od wsi po wino i sól. Ich podróże były wyrazem zniewolenia, ale jednak jeździli, oglądali świat poza ich własną okolicą.

A tu, proszę spojrzeć: ikona z chrztem św. Mikołaja. W tle, moim zdaniem, jest Hagia Sophia. Z tymi charakterystycznymi okienkami, półkopułami. Autor tej ikony nie widział Hagii Sophii, ale ktoś o niej musiał opowiedzieć. Ikona pochodzi z cerkwi w Dubovej na Słowacji.

Jest jeszcze jeden mit, który mówi o tym, że górale są konserwatywni. To opowieść o kościółkowej obyczajowości, która przetrwała do dziś. Mit prawdziwy?

A czy nie jest to kwestia, paradoksalnie, nowoczesności, a nie zacofania? W Kongresówce po powstaniu styczniowym pozamykano klasztory i uczelnie, przez kilkadziesiąt kluczowych lat, gdy w kraju i społeczeństwie trwała modernizacja, Kościół wegetował. Tymczasem w Galicji – kwitł. Wydawano „Przegląd Powszechny". Księża byli różni, jedni mądrzy, inni może trochę mniej, jednak ich poziom intelektualny był wyższy niż w Kongresówce.

Uważam, że nic tak nie wpłynęło na ludową religijność jak nowoczesna szkoła państwa liberalnego. W Galicji szkoła austriacka była szkołą świecką, nie religijną, jednak z lekcjami religii. Niemiecki historyk Olaf Blaschke nazwał XIX wiek „drugą epoką konfesjonalizacji" – wtedy, dzięki nauczaniu w państwowych szkołach, religijność zeszła do mas. Obecna góralska religijność może być następstwem tamtej modernizacji, a nie zacofania.

W ostatnich stu latach wymienione przez nas elementy górskości, jedna po drugiej, znikają bądź się przeobrażają. Napisał Pan historię Karpat, która właśnie się skończyła?

Najprawdziwsza odpowiedź brzmi: zobaczymy. Zmieniło się dużo: Holokaust zmienił strukturę ludnościową, były nacjonalizacje i przesiedlenia, spadło znaczenie pasterstwa. Od XIX w. trwa proces schodzenia ludzi z gór. W miarę gdy usprawniał się transport żywności, rolnictwo na dużych wysokościach stawało się coraz bardziej nieopłacalne. Opuszczano przysiółki, ludzie schodzili w doliny.

Świetnie to widać na starych mapach. Kiedyś drogi prowadziły działami, teraz, przede wszystkim, dolinami.

Z drugiej strony, gdy się jedzie w zimie do Budapesztu i pociąg stoi na jakimś podjeździe, bo na torach jest śnieg – trudno nie uznać, że góry wciąż potrafią być przeszkodą w podróży. To wciąż nie jest nic.

Nie obawia się Pan, że Karpaty kulturowo doszlusują do innych regionów poszczególnych państw? Że się zuniformizują?

Jako mieszkaniec Warszawy nie mam prawa wymagać od ludzi, żeby prowadzili „życie romantyczne" tylko dla mojej wakacyjnej przyjemności. Mam jednak nadzieję, że turystyka przyczyni się do zachowania lokalnej specyfiki. Być może stanie się ona „scepelizowana". Ale ostatecznie zawsze taka była. Strój góralski nie jest strojem archaicznym, w którym górale chodzili na co dzień w średniowieczu – tylko jednym z wielu zmieniających się w historii strojów, zauważonym w XIX w. przez inteligentów z miast, którzy go opisali.

Może nasze stulecie doda do tych lokalności coś nowego, czym za jakiś czas wszyscy będziemy się zachwycać? Bieszczadzka kolejka leśna jest świadectwem gospodarki kapitalistycznej i eksploatacji lasu na potrzeby nowoczesnego państwa. Minęło 120 lat – i jest takim samym symbolem Karpat jak kościółek w Dębnie.

Skoro o kolei... Co z Karpatami zrobiły Austro-Węgry?

Nałożyły pewien rozpoznawalny element kulturowy, który polega np. na tym, że stacje kolejowe w Siedmiogrodzie i w Galicji są do siebie podobne. Także np. styl uzdrowiskowy – choć ma swoje odmienności w postaci stylu witkiewiczowskiego lub Dušana Jurkoviča – tworzy w Karpatach kulturową jedność.

Kontakt z instytucjami państwowymi mógł być też, na różne sposoby, szkołą funkcjonowania w państwie konstytucyjnym. W „Karpatach" opisuję zabawną historię o wsi Ławoczne, gdzie w latach 1913-1914 mieszkańcy sprzeciwiają się budowie wychodka na terenie dworca. Obawiają się, że miejscowość nie dostanie wtedy statusu uzdrowiska – bo wychodek zakłóci estetykę. Chłopi z Ławocznego potrafią poruszać się w sferze państwa nowoczesnego: piszą petycje do ministerstwa, działają. W dodatku działają w regułach, które państwo rozumie. Nie podpalają starostwa – piszą pisma urzędowe.

Te wyraźnie zaznaczane granice z lat PRL, od których zaczęliśmy, pod koniec lat 80. zaczęły tracić sens. Pan wtedy intensywnie podróżował po Karpatach. Co zapamiętał Pan z tamtego momentu?

Widziałem zalążki konfliktów etnicznych: romsko-słowackiego i słowacko-węgierskiego. Swoją drogą, to niesamowite, że tamte napięcia z początku lat 90. ostatecznie opadły.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

PROF. MACIEJ JANOWSKI jest dyrektorem Instytutu Historii PAN, zajmuje się dziejami Polski i Europy XX w. Współautor – z Magdaleną Micińską i Jerzym Jedlickim – „Dziejów inteligencji polskiej do roku 1918". Jego „Karpaty. Opowieść o pewnych górach" ukazały się nakładem Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie.

Jest rok 1991, wędrujemy po Górach Bukowych w północnych Węgrzech. Szukając miejsca na nocleg, znajdujemy ogrodzony teren, który okazuje się dawnym obozem pionierów. Samotny stróż pustego ośrodka wyjaśnia: „tylko że pionierów już nie ma". Pokazuje pistolet, bo „różni tacy chodzą po okolicy". Nazajutrz śpimy w obozie odrodzonego węgierskiego ruchu skautowego. Kolejnego dnia przekraczamy granicę słowacką, trafiamy do jakiegoś miasteczka i nie możemy się zorientować, gdzie jesteśmy. Dopiero po pewnym czasie orientujemy się, że miejscowość, która kiedyś nazywała się Šafárikovo, i tak nazywa się na naszej mapie, teraz wróciła do dawnej nazwy Tornaľa. Większość mieszkańców to Węgrzy, Słowaków jest niewielu. Pewien sympatyczny Słowak zaprasza nas do domu na nocleg. Pokazuje nam obrzyna w szafie. „Tak na wszelki wypadek". Zastanawiam się wtedy: czy jesteśmy w przededniu wojny?

Inny obraz, podobnej podróży, tylko kilkanaście lat później. W dniu, w którym wchodzimy do strefy Schengen, wsiadamy z przyjaciółmi w samochód i po czterech godzinach trafiamy do Egeru. Nocujemy pod starym tureckim minaretem. Gdy upadają współczesne granice, natrafiamy na te stare?

Granice, które są i których równocześnie nie ma – różnice i podobieństwa – są jednym z kluczy do Karpat. Kiedyś w Górach Bihorskich nocował nas węgierski, kalwiński ksiądz. Powiedział, że to zawsze była czysto węgierska okolica, lecz w pewnym momencie „Wołosi zeszli z gór". Potem się dowiedziałem, że to fraza często używana przez Węgrów siedmiogrodzkich. Subiektywnie wyobrażane doświadczenie Węgrów – obiektywnie nieprawdziwe i krzywdzące dla Rumunów, choć psychologicznie zrozumiałe – uczyło, że żyli sobie w normalnej części Węgier, a w pewnym momencie z gór zeszli Wołosi.

Węgrzy z Siedmiogrodu mają jeszcze jedno, moim zdaniem bardzo oddające ducha Karpat, powiedzenie. Mówią: „granica nas przekroczyła". Odnosi się ono do zmiany granic w 1918 r. i ma wydźwięk węgiersko-rewizjonistyczny, z którym się nie utożsamiam. Jeśli jednak odrzucimy to polityczne odczytanie, pozostaje coś bardzo trafnego: wokół nas są najróżniejsze granice, czasem obecne, częściej dawne, ale nie całkiem jeszcze zamarłe, często niewidoczne na pierwszy rzut oka. Raz ostre, częściej rozmyte; czasem my przekraczamy je, czasem one nas. A mimo wszystko pocięte najróżniejszymi granicami Karpaty nie przestają tworzyć zasadniczej jedności.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TOMASZ

Stawiszyński:

Ogród o rozwidlających się ścieżkach

Trzeba naprawdę ekstremalnego wysiłku, żeby śmiertelne strzały oddane w kierunku Renée Nicole Good i Aleksa Prettiego uznać za „uzasadnioną interwencję" funkcjonariuszy ICE. Owszem, stawianie czynnego oporu amerykańskim służbom zawsze było, jest i będzie ryzykowne. Także dlatego, że z grubsza każdy dysponuje w tym kraju dostępem do broni, stąd policja czy inne grupy mundurowe całkiem słusznie mają prawo do szybkiego i stanowczego działania. W bogatym wachlarzu technik interwencyjnych, jakimi wolno im się posługiwać, z pewnością nie figuruje jednak otwieranie ognia do cywilów, którzy nie rzucają się na nich z bronią lub pięściami. Z nagrań obu zajść, które trafiły do sieci, jasno wynika, że agenci wykazali się, delikatnie mówiąc, jaskrawym brakiem profesjonalizmu, niezdolnością do samokontroli, a także, jak się zdaje, przekonaniem o własnej wszechmocy. Cóż, z tego rodzaju konglomeratu może wyniknąć wyłącznie tragedia.

Najbardziej symptomatyczne zdaje mi się w tym wszystkim uporczywe zaprzeczanie rzeczywistości przez Donalda Trumpa, J.D. Vance'a i ich popleczników. Konsekwentne, systematyczne wmawianie opinii publicznej, że widać na tych taśmach coś innego, niż na nich widać. Kłamstwo w służbie politycznego interesu jest stare jak sama polityka, niemniej dzisiaj – z uwagi na nasze technologiczne i ideologiczne położenie – znajdujemy się w sytuacji pod wieloma względami nowej. Niczym w opowiadaniu Borgesa „Ogród o rozwidlających się ścieżkach" funkcjonujemy w uniwersum złożonym z wielu światów, pomiędzy którymi nie istnieją żadne widoczne przejścia. Całkowitemu zatarciu ulega różnica pomiędzy rzeczywistością a interpretacją, pragnieniem a możliwością, wyobraźnią a materią, na której opór powinna ona natrafiać. Ulega zatarciu zarówno w teorii – powstało wszak wiele subtelnych i rozbudowanych koncepcji mających dowieść, jak bardzo relatywny jest każdy sąd próbujący coś orzec o świecie – lecz także w codziennym doświadczeniu.

Nasza podatność na ułudy, fantazmaty i perswazje, w ostatnich, powiedzmy, dwóch dekadach, wzrosła skokowo. Rzesze ludzi absorbują rozmaite warianty chytrej politycznej propagandy, a następnie emitują ją dalej w mediach społecznościowych i własnym życiu z poczuciem pełnej niezależności i oryginalności. Tymczasem nieświadomie realizują tylko taką czy inną agendę, ci zaś, którzy wyspecjalizowali się w jej dyskretnym rozpowszechnianiu, doskonale rozumieją, że pojęcia prawdy i fałszu już dawno straciły sens. I że odpowiednio kierunkowany i prowadzony umysł – przez innych lub, co istotne, przez samego siebie – jest w stanie doświadczać absolutnej fikcji jako czegoś najgłębiej rzeczywistego. Mamy na to niezliczoną liczbę przykładów w historii, filmie i literaturze, a jednak wciąż zachowujemy się tak, jakbyśmy nie przyjmowali tego do wiadomości. Co, naturalnie, samo jest częścią tego problemu.

Tymczasem eksperci od wywierania wpływu świetnie wiedzą, że jeśli tylko umiejętnie zagra się człowiekowi na pragnieniach i deficytach – bez wahania wybierze kłamstwo, choćby miał przed oczami jawne dowody. Emfatyczne powtarzanie w kółko, że jest inaczej niż podpowiadają zmysły, sumienie i rozum, prędzej czy później sprawi, że jakaś część ludzi w to uwierzy, inna zaś przynajmniej nabierze wątpliwości co do własnych kompetencji poznawczych. Prosta to reguła i prosta metoda, a zarazem od niepamiętnych czasów skuteczna.

Dotychczasowa psychologia – rozwijana przed epoką mediów społecznościowych, polityk tożsamościowych i sztucznej inteligencji – przyjmowała za dobrą monetę działanie zasady rzeczywistości. Zgodnie z tą zasadą prawda prędzej czy później musi wyjść na jaw, nie da się bowiem wiecznie żyć w iluzji. To tak, jakby w godzinach szczytu kroczyć przez zatłoczone miasto z zawiązanymi oczami i przekonaniem, że się wszystko świetnie widzi. Zderzenie jest nieuchronne, to tylko kwestia czasu. W tej prognozie kryje się jednak – wracamy do Borgesa – założenie o istnieniu jednej rzeczywistości, jednego świata. Jeśli dziś funkcjonuje ich wiele, a każdy ma swoich mieszkańców, wówczas siłą rzeczy żadna taka konfrontacja nie jest już możliwa. Czy raczej – to, co mieszkańcy świata X widzieć będą jako konfrontację z rzeczywistością, której doświadcza mieszkaniec świata Y, dla tego drugiego będzie jeszcze jednym potwierdzeniem, że od początku miał rację. I na odwrót.

W sprawie ICE jest jednak pewien aspekt, który pozwala przypuszczać, że może nie wszystko jeszcze stracone. Mam na myśli badania opinii publicznej w USA, które pokazują systematyczny spadek poparcia dla działań Trumpa i metod stosowanych przez tę agencję. Serwis YouGov podał niedawno, że więcej Amerykanów popiera likwidację ICE niż utrzymanie jej działalności; podobnie prawie 60 proc. uznaje jej działania za nadmiernie przemocowe. Ze stanowiskiem pożegnał się również dotychczasowy szef straży granicznej, Gregory Bovino, człowiek pod względem wiary w moc zaprzeczenia bodaj jeszcze bardziej żarliwy niż Trump i Vance, którzy jednak – najwyraźniej pod presją sondaży – bez wahania się go pozbyli. Tak czy owak, w tym, że mimo wszystko znaczna część amerykańskich obywateli wciąż jeszcze – przynajmniej w tej kwestii – ufa własnym zmysłom, sumieniu i rozumowi, jest coś elementarnie pocieszającego. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

Lepsze strony życia

Zamów nowe
Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSCHÓD SŁOŃCA NA ZACHODZIE

KOJI KAMOJI

YOSHIO NAKAJIMA

KEIJI UEMATSU

1.03 — 31.05.2026

Pawilon Czterech Kopuł

PAWILON CZTERECH KOPUŁ MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ ODDZIAŁ MUZEUM NARODOWEGO WE WROCŁAWIU
UL. WYSTAWOWA 1

MNWR.PL

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Narodowe we Wrocławiu
Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Mecenas Muzeum Narodowego we Wrocławiu
Bank Polski
Patronat honorowy Ambasady Japonii w Polsce
Partner
Konstnärsnämnden
The Swedish Arts Grants Committee
TVP 3 WROCŁAW
RADIO WROCŁAW
RADIO WROCŁAW KULTURA
ram
wroclaw.pl
SPOTKANIA Z ZABYTKAMI
REKLAMA